



SHANNON DRAKE



OCZAROWANA

PROLOG

Boże, nie chroń królowej!

Giles Brandon czuł swoją moc. Właśnie zbliżał się do końca. Wyciągnął z maszyny do pisania ostateczną wersję artykułu. To najlepszy i najbardziej prowokujący tekst, jaki do tej pory napisał. Odchylił się na oparcie fotela i skrzyżował ramiona na piersi, ogromnie z siebie zadowolony. Jego londyński dom stał, podobnie jak kilka sąsiednich, w głębi, odsunięty od ruchliwej ulicy. Nie docierał tu harmider i hałas. Ciężkie adamaszkowe draperie zasłaniały okna, co potęgowało wrażenie odosobnienia. Giles Brandon nie słyszał z ulicy najmniejszego szmeru.

- Piórem łatwiej zadać śmierć niż szpadą - powiedział na głos.

Nikt mu nie odpowiedział. Żonę, która wniosła majątek do małżeństwa, odesłał do jej siostry. Talent wymagał od niego niczym niezakłóconego skupienia. Giles dał też wolny wieczór tyczkowatej i pomarszczonej ze starości gospodyni.

Uniósł stroniczkę, dowodzącą jego geniuszu.

- Zakotłuje się na ulicy - stwierdził z satysfakcją.

Wprawdzie nie był pewien, czy sam chciałby znaleźć się w środku podekscytowanego tłumu, bez wątpienia jednak podobała mu się myśl, że może wzburzenie wywołać. Tyle razy go wydrwiwano, tyle razy pomijano na listach zaproszonych gości! Teraz mógł za to wszystko władzy odpłacić. Odczytał głośno nagłówek, nie zapominając o odpowiedniej intonacji:

- „Czy monarchia dopuściła się morderstwa z zimną krwią?”

Gdyby nie był dobrze wychowany, z pewnością zatarłby teraz ręce z radości. Wstał z fotela i rozejrzał się wokół zachwycony tym, do czego doszedł. Ten wspaniały dom przejął wprawdzie z dorobku rodziny żony, ale mniejsza o to. Biurko miał z najlepszego palisandru, lampę na blacie od Tiffany'ego.

Puszysty, bogato zdobiony dywan kupiono gdzieś na Bliskim Wschodzie. Niewątpliwie powiodło mu się w życiu, a wszystko dzięki błyskotliwości jego pióra. Jutro artykuł ukaże się drukiem. A po południu...

- Wielkie nieba, jestem genialny!

Odgłos oklasków tuż za jego plecami zaskoczył go do tego stopnia, że aż się wzdrygnął. Odwrócił głowę. Przecież od wielu godzin siedział samotnie, któż więc...?

Stojąca w głębi pokoju, gdzie zbiegały się regały z książkami, postać klaskała bynajmniej nie na znak entuzjazmu.

- Ej, ty! - syknął Giles.

Zerknął na drzwi gabinetu, które wciąż pozostawały zamknięte. Również drzwi wejściowych strzegł zasunięty rygiel, tego był absolutnie pewien. Jakim więc sposobem...?

- Genialne, Giles, masz rację, właśnie genialne - odezwał się nieproszony gość.

- Co tu robisz, człowieku? Jak, do diabła, tutaj wszedłeś?

Tajemniczy gość przemieścił się w krąg światła powstały za sprawą stojącej na biurku lampy. Giles mógł teraz przyjrzeć się natrętowi, a chociaż nie dostrzegł u niego broni, poczuł trwogę. W swoim azylu nie słyszał żadnego odgłosu zewnętrznego świata, ale też nikt stamtąd nie mógł jego usłyszeć.

- Służę największemu dobru tego kraju i robię to bez zarzutu! - wybuchnął Giles.

- Służysz sobie i jesteś egocentrykiem. Niebawem jednak wyświadczysz krajowi naprawdę wielką przysługę. W końcu, jak sam napisałeś, wszyscy musimy być gotowi na poświęcenia.

Właśnie w tej chwili Giles Brandon dostrzegł broń w ręce intruza.

- Nie! - wrzasnął.

- Ależ tak! Mogę ci obiecać, że twój panegiryk będzie genialny.

Nawet nie poczuł bólu. Uświadomił sobie jednak, że słyszy własny przeraźliwy krzyk. Poczł ciepłó zalewającej go krwi. Ciemność, otaczająca niewielki krąg światła wokół lampy, zaczęła się zacieśniać. Zasnuła mu oczy szarą mgłą.

Sięgnął po omacku w stronę biurka. Artykuł! Trudno mu było zapanować nad rękami, targanymi skurczami. Dotknął jednak kartki. Usłyszał, że jego krzyk słabnie. Dławiąc się, wydał makabryczny odgłos.

Na zewnątrz życie toczyło się swoim rytmem, wciąż rozbrzmiewały stuk podków na bruku i kroki na chodniku. Przeraźliwie zawył klakson. Z restauracji płynęła głośna muzyka. Zarżał koń. Za ciężkimi draperiami, w oddalonym od ulicy gabinecie, zapadła martwa cisza. Krew Gilesa Brandona wsiąkała w elegancki dywan z Bliskiego Wschodu, a on sam leżał ze znieruchomiałymi oczami.

RS

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Precz z monarchią!

Ally Grayson usłyszała krzyki, siedząc w powozie. Jechali główną ulicą niewielkiej osady Sutton, a chociaż zbliżali się do celu podróży, naszło ją podejrzenie, że szykują się kłopoty. Zasmucona nastrojami ulicy, lecz również zaciekawiona wyjrzała przez okno. Ciżba rozeźlonych ludzi falowała, a nad jej głowami widniały transparenty, na których wypisano „Skończyć z władzą złodziei!” i „Monarchia morduje!”. Niektórzy demonstranci szli w milczeniu, inni wznosili gniewne okrzyki.

Powóz powitano niechętnymi spojrzeniami, ale nikt nie próbował bardziej zdecydowanie zmanifestować wrogich uczuć. Ally jechała właśnie w odwiedziny do przybranego ojca, Briana Stirlinga, earla Carlyle, człowieka podziwianego, mimo że pozostawał on gorącym zwolennikiem pogrążonej w żałobie, starzejącej się królowej Wiktorii. Nikt nie ważyłby się choćby tknąć go palcem i to samo dotyczyło jego protegowanych, a herb na drzwiach powozu nadawał Ally taki właśnie status.

Ally dostrzegła w tłumie kilku znajomych. Przy odrapanym domu z epoki Tudorów, bardzo typowym dla tego rejonu, stał dziennikarz Thane Grier, który nie brał udziału w tumulcie, ale bacznie wszystko obserwował. Ten wysoki, przystojny mężczyzna ambitnie piał się w górę i konsekwentnie dążył do wyrobienia sobie marki godnego uwagi autora. Ally znała wiele jego tekstów, mogła więc przypuszczać, że Grier będzie starał się pozostać obiektywny.

- Hej, wy tam! - usłyszała grzmiący okrzyk szeryfa, który stanął na schodkach przed swoim biurem. - Skończcie z głupotami i zajmijcie się swoimi sprawami! Co wy wyprawiacie? To jakiś cyrk czy co?!

Ally zrobiło się bardzo nieprzyjemnie na myśl, że szeryf, sir Angus Cunningham, mógłby dysponować środkami do uciszenia tego tłumy. Był to

bohater wojenny, uhonorowany szlacheckim tytułem za służbę w Indiach. Krzepki mężczyzna wysokiego wzrostu, szeroki w barkach, z coraz pokaźniejszym ostatnio brzuchem, imponował grzywą białych włosów i bujnymi bokobrodami, miał też wąs przydający mu dostojność.

- Morderstwo! - wykrzyknęła jakaś kobieta. - Zamordowano dwóch ludzi, którzy głośno protestowali przeciwko marnotrawstwu na dworze królowej, a ona toleruje takie podłe, brudne czyny, a może za nimi stoi!

Twary kobiety nie było widać, skrywała ją woalka. Czarny strój sugerował żałobę. Ally poznała za to kobietę stojącą obok, próbującą uciszyć towarzyszkę i odciągnąć ją na bok. To była Elizabeth Harrington Prine, wdowa po Jacku Prinie, ofierze zamachów na antymonarchistów.

- Morderstwo! - krzyknęła ponownie dama w czerni.

Sir Angus nie zdążył zareagować, stanął bowiem obok niego sojusznik w osobie sędziego pokoju, lorda Lionela Wittburga. Starzejący się arystokrata był wyższy od szeryfa, ale chudszy. Znano go tutaj, ludzie cenili w nim lojalnego żołnierza. Lord Wittburg głośno i dobitnie powiedział:

- Jak pani śmie?!

Na schodach pojawił się trzeci mężczyzna, o wiele młodszy, bardzo przystojny. O tym dżentelmenie, sir Andrew Harringtonie, często można było przeczytać w gazetach na stronach poświęconych życiu towarzyskiemu, a miał on niezaprzeczną umiejętność obezwładniania innych swoim urokiem.

- Dajmy spokój, proszę. Takie zachowanie nie przystoi angielskiemu dżentelmenowi ani eleganckiej Angielce - powiedział z szelmowskim uśmiechem sir Andrew.

- Bardzo proszę wszystkich, aby wrócili do swoich zajęć. Niczego tutaj nie załatwimy, przecież świetnie o tym wiecie - zwrócił się do ludzi sir Angus.

Wciąż przetaczały się przez tłum pomruki, ale dał się też zauważyć ruch. Ciżba rozrzedziła się dostatecznie, by Shelby, stangret, osobisty służący, totumfacki i człowiek do wszystkiego lorda Stirlinga, uznał, że można ruszyć.

Gdy powóz drgnął i wolno potoczył się naprzód, Ally przyglądała się właśnie, jak Thane pracowicie zapisuje spostrzeżenia w notatniku, który wyciągnął z kieszeni kamizelki.

Gdy opuścili placyk przed biurem szeryfa i znaleźli się na drodze, biegnącej dalej przez las, Ally zasunęła w oknie firankę. Początkowo nie zwróciła uwagi na coraz szybsze tempo jazdy. Pochłaniały ją myśli, najpierw o stanie monarchii, potem o jej własnej sytuacji. Bardzo intrygowało ją otrzymane wezwanie do zamku. Bez wątplenia miało coś wspólnego z jej szybko zbliżającymi się urodzinami. Opiekunowie chcieli chronić ją przed światem tak długo, jak tylko to możliwe, i dopiero w dniu najbliższych urodzin zamierzali uznać jej dorosłość. Ally bardzo kochała bliskich, którzy zadbali o jej wychowanie i zapewnili jej opiekę, tęskniła jednak do chwili, gdy sama będzie mogła o sobie decydować. Choć mieszkała w odosobnieniu, z zapalem czytała gazety i książki, a każdą z kilku wypraw do Londynu, świata teatrów i muzeów, przeżywała z wielką intensywnością.

Dorastała pod opieką trzech przybranych ciotek, miała też z tego korzyść w postaci trzech par przybranych rodziców. Nawet nie zdawała sobie w pełni sprawy z tego, jak bardzo sprzyjał jej los. Trzy wspaniałe, pełne życzliwości wychowawczynie, a na ozdobę życia trzy pary arystokratycznych opiekunów, którzy pilnowali, by na niczym jej nie zbywało.

Te trzy kobiety - Maggie, Kat i Camille - zadziwiały ją na każdym kroku, często zresztą myślała, że w swoim czasie musiały robić wokół siebie niemało zamieszania. Lady Maggie rzuciła wyzwanie wszelkim normom przyzwoitości, otoczywszy opieką prostytutki z East Endu, Camille poznała arystokratycznego męża dzięki pracy w muzealnym dziale egiptologii, a Kat uczestniczyła w kilku ekspedycjach archeologicznych w rejon piramid i była nawet w Dolinie Królów.

W trakcie tych rozmyślań rozpędzony powóz zaczął niebezpiecznie podskakiwać na wybojach i kołysać się na boki. Ally, wyrwana z zadumy,

przeleciała nagle na siedzenie naprzeciwko. Nie przestraszyła się, bardziej zaintrygowała tym, co się dzieje.

Czyżby Shelby obawiał się, że demonstranci sprzed biura szeryfa będą ich ścigać? Niemożliwe. Musiał wiedzieć tak samo jak ona, że przestraszeni gospodarze i wiejscy sklepikarze nie przedstawiają żadnego zagrożenia, zwłaszcza gdy mają do czynienia z takimi znakomitościami, jak sir Andrew, sir Angus czy lord Wittburg. Dlaczego więc Shelby poganiał konie jak szalony?

Głośny huk obwieścił, że koło natrafiło na dużą nierówność, a Ally omal nie uderzyła głową w sufit. Co się dzieje? Shelby nie należał do ludzi łatwo ulegających panice. Nie przestraszyłby się grupki przestrzegających prawa demonstrantów. Inna sprawa, że to wcale nie demonstranci byli sprawcami obecnego napięcia, wyczuwalnego na ulicach i głośno komentowanego w prasie. Niepokoje wywoływali ci, którzy próbowali podburzyć tłum, wpajając mu przekonanie, że to monarchia stoi za morderstwami przeciwstawiających jej się polityków. Zbyt wielu ludzi było gotowych uwierzyć, że w tej sytuacji to rzeczywiście Korona po cichu pociąga za sznurki.

Ally nigdy nie spotkała królowej osobiście, ale to, co słyszała i widziała, nie pozwalało jej uwierzyć, że kobieta, której imperium zawdzięczało tak olbrzymi postęp i która wciąż nosiła żałobę po zmarłym przed dziesiątkami lat mężu, mogłaby być zdolna do takiej potworności. Cała jej wiedza historyczna i polityczna nie podsuwała jej jednak wytłumaczenia, dlaczego powóz, którym jechała, nabrał nagle takiej prędkości.

Tymczasem pojazd szarpnął i zaczął raptownie zwalniać.

To nie mogło mieć nic wspólnego z wrzawą, która podniosła się po podejrzeniu gardeł dwóm mężczyznom, politykom i literatom, bezlitośnie chłoszczących królową biczem krytyki. Ani ze wzburzonymi ludźmi na ulicy, dzierżącymi transparenty z hasłami skierowanymi przeciwko królowej Wiktorii i księciu Edwardowi. Nie, powód musiał być całkiem inny, a skoro tak...

Posuwali się teraz znacznie wolniej, konie zaledwie szły stępa. Usłyszawszy wystrzał, Ally zmartwiała. W pobliżu rozległy się krzyki. Shelby odpowiedział coś, ale jego słów nie dało się zrozumieć.

- Zatrzymaj powóz! - zagrział władczy głos.

Zdając sobie sprawę, że do zamku jest jeszcze kawał drogi, Ally pochyliła się ku oknu i odsunęła firankę. To, co ujrzała, sprawiło, że wytrzeszczyła oczy ze zdumienia, a włosy zjeżyły jej się na karku.

Tuż obok burty powozu zobaczyła mężczyznę na wielkim, czarnym ogierze, ubranego w czarną pelerynę, czarny kapelusz i maskę. Za nim przystanęli inni jeźdźcy, na nerwowo przestępujących w miejscu koniach.

Zbójcy!

Nawet w marzeniach nie przypuszczała, że w jej monotonnym życiu może kiedykolwiek zdarzyć się coś takiego. Jako zapalona czytelniczka gazet, słyszała naturalnie o tym człowieku i jego współnikach. W epoce coraz liczniejszych samochodów ona stanęła nagle twarzą w twarz z najprawdziwszym zbrojcem, siedzącym na końskim grzbiecie.

Przypomniała sobie, że człowiek ten nikogo dotąd nie zabił. W istocie niektórzy nawet porównywali go do Robin Hooda. Nikt jednak nie potrafił wskazać obdarowanych przezeń biedaków, chociaż wkrótce po zatrzymaniu hrabiego Warrena kościoły w East Endzie otrzymały nagle anonimowo znaczne sumy na nakarmienie i odzianie podopiecznych.

Koła zazgrzytały i powóz znieruchomiał. Konie zarżały na znak protestu. Ally usłyszała głos swojego stangreta.

- Ej, człowieku, panienki nie tkniesz. Musiałbyś mnie najpierw zastrzelić.

Drogi Shelby. Odkąd sięgała pamięcią, zawsze miała w nim obrońcę. Otworzyła szeroko drzwi powozu i zawołała:

- Shelby, nie będziemy narażać życia z powodu takich ludzi, jak ten zbrojca i jego kompani. Damy mu, czego sobie życzy, i pojedziemy dalej.

Jeździec zręcznym ruchem zeskoczył z potężnego ogiera na ziemię, ale jego współnicy pozostali w siodłach.

- Kto jeszcze podróżuje powozem? - spytał stanowczo.

- Nikt więcej.

Najwyraźniej jej nie uwierzył. Podeszedł do otwartych drzwi i nie pytając o pozwolenie, wsunął ramiona do środka. Chwyciwszy Ally w talii, bezceremonialnie wyciągnął ją na zewnątrz i postawił na drodze. Najwidoczniej sądził, że w pudle pojazdu znajduje się jakaś kryjówka, bo pracownicy przeszukiwali wnętrze. Wreszcie zeskoczył na ziemię i stanął obok Ally.

- Kim pani jest i co pani robi sama na drodze? - spytał.

Twarz zasłaniała mu atlasowa maska, widać było jednak, że ma ciemne włosy. Na jego głowie tkwiła wełniana czapeczka, a jeździeckie buty sięgały do kolan. Ally postanowiła, że nie pozwoli się zastraszyć. Jękliwe błaganie mijało się z celem.

- Tacy jak ty to zwykła hołota - oznajmiła bezceremonialnie. - Nie rozumiem więc, dlaczego miałabym ci się opowiadać.

- Panienko! - zawołał Shelby, pełen jak najgorszych obaw.

Zbójca skinął na jednego ze swoich ludzi, który podeszedł do Shelby'ego, usiłującego wydobyć pistolet.

- Nie rób tego - ostrzegł herszt. - Ani tobie, ani dziewczynie nic się nie stanie.

Ally zaczęła się zastanawiać, czy właśnie słowo „dziewczyna” w ustach człowieka, który nie miał pojęcia o jej osiągnięciach, tak bardzo ją zirytowało, że przestała się bać. Zawsze kiedy ją pomijano lub lekceważono, słyszała coś o „dziewczynie”. Znała łacinę, francuski i włoski, miała wiedzę z dziedziny historii, geografii i literatury. Umiała grać na fortepianie znacznie lepiej niż przeciętnie, śpiewać tak, jak uczyła ją pani d'Arpe, tańcem zaświadczyć o kompetencjach pana Lonville'a, a w jeździe konnej, tego była pewna, choć starała się zachować niezbędną skromność, żadna dama nie mogła się z nią

równać. Zdawała sobie sprawę z tego, że kobiety zaczynają zajmować miejsca w wielu wcześniej niedostępnych dla nich dziedzinach, w coraz większym stopniu mają wpływ na społeczeństwo, a w istocie na losy świata. Ally była zdecydowana zostawić swój ślad na ziemi.

- Nie dotkniesz panienki... - zaczął znowu gniewnym tonem Shelby, ale nie dokończył.

Zbójca zamachnął się i strzelił z bicia, a pistolet, po który sięgał Shelby wyleciał w powietrze i upadł na ziemię. Stangret krzyknął, bardziej z zaskoczenia niż z bólu.

- Mój przyjacielu - zwrócił się do niego człowiek w czerni. - Nie zamierzamy zrobić ci krzywdy. A tym bardziej panience. Zechciej, proszę, zejść z kozła.

Shelby nieufnie wykonał polecenie. Ally usłyszała cichy jęk i zobaczyła, że stangret osuwa się na ziemię, jakby nagle zmęczyło go stanie. Skoczyła ku niemu. Nie zdołała jednak do niego się zbliżyć, bo zbójca chwycił ją za ramiona. Zaczęła kopać na oślep, a gdy spróbowała go ugryźć, cicho zaklął.

- Co z tobą, dziewczyno? Igrasz z życiem.

- Coś mu zrobił?

- Zaraz się ocknie, nic mu nie będzie - zapewnił.

- Coś mu zrobił? Zabiłeś go!

- Słowo daję, że żyje.

Znowu spróbowała ugryźć napastnika w rękę.

- Śmieszna jesteś - syknął i zanim zdążyła się zorientować, wisiała na ramieniu obwiesia, który szybkim krokiem maszerował ścieżką w głąb lasu

Wbrew swemu niezłomnemu postanowieniu, Ally poczuła, że jednak się boi.

- Jeśli zamierzasz poderżnąć mi gardło w lesie, to pożałujesz - ostrzegła. - Złapią cię. Już i tak szukają cię za wcześniejsze zbrodnie. Będzie okazja do

przywrócenia publicznych egzekucji, rozciągania końmi i ćwiartowania.

Ostrzegam cię...

- Powinna pani raczej błagać o litość - odburknął zbójca.

- Dokąd mnie niesiesz? - spytała gniewnie. - Nawet nie wiesz, kim jestem.

Najwidoczniej dotarli do celu, bo mężczyzna dość bezceremonialnie posadził ją na pieńku nad niewielkim strumieniem. Ally ze zdziwieniem złapała się na myśli, że szum wody jest kojący. Dookoła było coraz więcej cienia, choć przez baldachim liści tu i ówdzie przebijało się słoneczne światło. Zbójca oparł stopę na zwalonym drzewie i pochylił się nad nią.

- To prawda, dziewczyno. Nie wiem, kim jesteś.

Gdybyś na początku odpowiedziała mi na to pytanie, zapewne jechałabyś już swoją drogą.

- Nie nazywaj mnie „dziewczyną”.

- Powiniem cię nazwać idiotką.

- Mnie? Idiotką? Dlatego, że stawiam opór podłemu obwiesiowi, który bez wątplenia dopełni żywota na szafocie?

- Jeśli nawet kiedyś zawisnę, jakie to ma znaczenie, gdybym chciał teraz dodać do swojej listy przestępstw twoje ciało?

- Zawisniesz, nie ma dwóch zdań - zawyrokowała Ally.

- To możliwe, ale nie dzisiaj.

- Jesteś miody i sprawny fizycznie. Mógłbyś łatwo znaleźć uczciwą pracę, ale zamiast tego wybrałeś życie przestępcy.

Roześmiał się cicho, szczerze rozbawiony.

- Muszę przyznać, dziewczyno, że jeszcze nie spotkałem w życiu nikogo równie zuchwałego.

- Przecież powiedziałam, żebyś nie nazywał mnie „dziewczyną”!

- Przecież nią jesteś.

- Wobec tego ty jesteś zwykłym chłopcem, który próbuje bawić się w dorosłego.

Nie obraził się, a wprost przeciwnie, znów się uśmiechnął.

- Czyżbyś miała tytuł? - spytał. Zmierzyła go chłodnym spojrzeniem.

- Możesz zwracać się do mnie per „pani”.

- Pani... Kim więc jesteś i dokąd jedziesz, a właściwie jechałaś?

- Czyżbyś był takim idiotą, że nie umiesz rozpoznać powozu earla Carlyle?

- Co robisz w jego powozie?

- Nie ukradłam go - odparła.

- To nie jest odpowiedź.

- Innej nie dostaniesz.

Pochylił się nad nią jeszcze bardziej.

- Mnie nie chodzi o taką odpowiedź.

- Och, jak mi przykro.

- Udziel mi informacji, której potrzebuję.

- Jesteś natrętem i złodziejem. Nie mam wobec ciebie żadnych zobowiązań.

- Jestem zbrojcem, a twoje życie i bezpieczeństwo znalazły się w moich rękach.

- Zastrzel mnie więc.

Pokręcił głową, zirytowany. Ally bała się, lecz jednocześnie odczuwała zupełnie niezwykle podniecenie. Nie wierzyła w to, żeby ten człowiek naprawdę chciał ją skrzywdzić. Było coś dziwnego w jego zachowaniu... A może spełniło się jej marzenie? Tak bardzo chciała, żeby w jej życiu coś się działo.

- Zacznę więc jeszcze raz. Droga mademoiselle, zechciej, proszę, jeśli łaska, powiedzieć mi, co robisz w powozie hrabiego.

- Niewątpliwie jadę do niego.

- Aha. Jesteście zaprzyjaźnieni?

- On jest dla mnie kimś w rodzaju przybranego ojca - wyjaśniła.

- Czyżby?

- Tak, więc lepiej uważaj. Hrabia dopilnuje, żeby nadziano cię na ostry szpikulec.

- Musi mnie złapać, nie sądzisz?

- Lepiej go nie lekceważ.

- Nie śmiałbym.

- Powiedz, proszę, czego właściwie ode mnie chcesz. Obawiam się, że nie mam z sobą żadnych bogactw.

Wciąż się uśmiechał, pochylony nad nią coraz niżej. Ally nie mogła pojąć, w jaki sposób taki człowiek, mówiący jak osoba wykształcona, porządnie ubrany, pachnący czystością, choć z nutą zapachów piżma i upręży, mógł tak nisko upaść.

- Pojęcie bogactwa jest względne. Jeśli jesteś kimś ważnym dla hrabiego, możesz być warta całkiem niemało.

- Taka ważna nie jestem - odrzekła ostro.

- Możesz mieć wartość jako zakładniczka.

- Och, jakim jesteś głupcem! - wykrzyknęła rozczarowana. - Co z tobą? Tyle ważnych rzeczy dzieje się na świecie. Grozi nam, że zapanuje anarchia. Mordują ludzi. Społeczeństwo się burzy, A ty myślisz tylko o sobie.

- Hm.

- Hm? Tyle tylko masz do powiedzenia?

- Czyżbyś zamierzała rzucić wyzwanie całemu złu tego świata? - spytał cicho.

- Czyżbyś zamierzał pozostać obojętny wobec całego zła tego świata? - zripostowała.

- Zastanówmy się... Czy mogę w tej chwili zmienić świat? Zapewne nie. Czy mogę zmienić swoją sytuację? Sądzę, że tak. I to dlatego, że mam ciebie, pasażerkę powozu hrabiego.

- Cokolwiek ci się wydaje, zapewniam, że nie zmienisz mnie w tłustą gąskę. Los dał mi bogatych przyjaciół, którzy zainteresowali się mną wtedy, gdy

byłam dzieckiem. Mieszkam w towarzystwie kilku wdów, poczciwych, życzliwych i stroniących od świata. One nie mają wiele, a ja rzadko wychyłam nos z lasu.

- Pracujesz dla hrabiego?

- Nie.

- Czy więc...? - Znacząco zmierzył ją wzrokiem.

- Co to za sugestia? - spytała oburzona do tego stopnia, że zerwała się z pnia i odepchnęła zbójcę. - Żona hrabiego jest jedną z najbardziej prawych i najpiękniejszych kobiet, jakie znam. Zapewniam też, że hrabia podziela ten pogląd. Jak śmiesz! Cóż, jesteś po prostu zwykłym przestępcą, a pozory wychowania to u ciebie tylko maska, o wiele bardziej zwodnicza niż ta na twarzy. Mam dość tego bezsensownego sam na sam i byłabym szczerze wdzięczna, gdybyś natychmiast odprowadził mnie do powozu.

Początkowo Ally obawiała się, że zareaguje przemocą, tym bardziej że kiedy go odepchnęła, omal nie stracił równowagi. Przez chwilę stała nieruchomo, zastanawiając się, czy jest w stanie zerwać się do biegu. Nie знаła otoczenia, ale wolałaby uciec byle gdzie, niż zostać jego więźniem.

O dziwo jednak, przemoc wcale nie była mu w głowie. Ze śmiechem usiadł na zwalonym pniu.

- Brawo!

- Brawo?

- Hrabia jest szczęśliwym człowiekiem, jeśli ma takiego zagorzałego obrońcę.

- Jest znany z wielkiej siły, zasad moralnych i uczciwości, co umiałbyś pewnie docenić, gdybyś nie był takim łajdakiem.

- Ach, gdybym mógł być do niego podobny.

- Każdy może dążyć do pielęgnowania w sobie jego cech.

- A czy każdy człowiek może mieć taki zamek? - spytał rozbawiony.

- Nie zamek czyni człowieka - odparła zasadniczym tonem.

- I nie bogactwa? - nie ustępował.

Nie bardzo wiedziała, jak zinterpretować jego ton, zdawało jej się, że słyszy w nim również gorycz, nagle jednak uświadomiła sobie, że może jej grozić całkiem realne niebezpieczeństwo. Zbójca rozsiadł się na pniu, pewien, że całkowicie panuje nad sytuacją. Wyglądało na to, że przyszedł odpowiedni moment na ucieczkę.

Dorastanie w leśnym otoczeniu miało swoje zalety. Ally spędziła dziesiątki dni na badaniu nieznanymi ścieżkami, nie raz i nie dwa biegała po lesie z wymagowanymi przyjaciółmi. Często też bawiła się z dziećmi mieszkającego w pewnym oddaleniu od jej domku leśnika. Miała więc podstawy sądzić, że uda jej się śmignąć między drzewa.

Nie zważając na wodę, pokonała w bród strumień i pognąła przed siebie leśnym szlakiem. Miała przy tym chwilę tryumfu, gdy jej uszu doleciało przekleństwo wyraźnie zaskoczonego zbójcy. Szybko jednak zorientowała się, że nie tylko wyruszył za nią w pościg, lecz bardzo skutecznie zmniejsza dzielący ich dystans.

Przedzierała się pod baldachimem liści, zręcznie przeskakując wystające korzenie i zwalone drzewa. Początkowo starała się trzymać ścieżki, potem nagle skręciła w gąszcz z nadzieją, że w ten sposób definitywnie zgubi prześladowcę. Odgłosy pościgu, początkowo bardzo wyraźne, stopniowo słabły. W końcu musiała przystanąć. Oparła się o pień, ciężko dysząc. Podczas ucieczki rozsypała jej się fryzura i kosmyk potarganych włosów łaskotał ją teraz w nos. Dmuchiła na niego ze złością, a potem energicznie odgarnęła do tyłu. Pomyślała, że musi teraz wyglądać wyjątkowo żałośnie, lecz mimo to rozpieła ją duma. Udało się. Uciekła.

Ledwie zdążyła ucieszyć się tą konstatacją, usłyszała cichy chichot. Odwróciła się raptownie. Zbójca stał oparty o pobliskie drzewo, ramiona skrzyżował na piersi i sprawiał wrażenie człowieka, który niczym się nie przejmuje. Posłała mu wyzywające spojrzenie.

- Nie uciekniesz mi, przecież wiesz - odezwał się.

- Przeciwnie, właśnie uciekłam.

- Nic podobnego.

Rozważyła swoją sytuację. Mogła naturalnie znowu zerwać się do biegu. Jak to się stało, że ten człowiek tak łatwo ją odnalazł? Uświadomiła sobie, jaki błąd popełniła. Kiedy dała nura w chaszczę, żeby utrudnić pogoń, musiała stracić poczucie kierunku i zatoczyła koło. Zbójca zorientował się w tym szybciej niż ona i poczekał na nią w wybranym miejscu.

Tej pomyłki nie wolno jej powtórzyć.

- Nie rób tego. Tracisz czas i energię - powiedział.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, że kiedy hrabia Carlyle zauważy zaginięcie powozu, rozpocznie poszukiwania?

- Z pewnością, ale musi minąć jeszcze trochę czasu.

- A to dlaczego?

- Podejrzewam, że hrabia jest w Londynie. Trwają uroczystości w pałacu Buckingham. Świętują czyjeś urodziny. Nie wydaje mi się, żeby hrabia wrócił do domu przed wieczorem.

- Dużo wiesz o hrabim Carlyle, co? - powiedziała, starając się zyskać na czasie. Stanowczo musiała jeszcze chwilę odpocząć. Nie zamierzała mu powiedzieć, że myli się co do miejsca pobytu hrabiego.

- Czytam gazety, panno... Ojej, jeszcze nie poznałem twojego nazwiska.

- Nie przypominam sobie, żebyś się przedstawił.

- Cóż ci po moim nazwisku? Zresztą gdybyś je poznała, stałabyś się dla mnie zagrożeniem.

- Wobec tego ja nie wyjawię swojego. Uśmiechnął się.

- Czy już odzyskałaś oddech?

- Owszem, dziękuję.

- Nie rób tego.

- Czego?

- Nie próbuj uciekać.
- Jakie jeszcze masz życzenia?
- Powiedziałem już, że nie zamierzam wyrzucić ci krzywdy.
- I mam ci zaufać?
- Jeśli zaczniesz uciekać, po prostu cię złapię.
- Może ci się nie uda. Westchnął i pokręcił głową.
- Uda się. I wtedy pożałujesz.
- Nie lubię, kiedy ktoś mi dyktuje, co mam robić, nie lubię być

zatrzymywana wbrew swojej woli, a najbardziej nie lubię prowadzenia konwersacji z bandytą. - Przeczesała dłonią włosy z nadzieją, że przynajmniej trochę je uporządkuje, a przy okazji odgarnie z twarzy kosmyki, zasłaniające jej widok. - Mógłbyś zrezygnować z podążania drogą przestępstwa, pozostać legendą i znaleźć sobie uczciwe zatrudnienie. Rozpocząć nowe życie.

- Przykro mi, ale jestem innego zdania.
- Och...

To doprawdy irytujący człowiek! Zauważyła, że nieznacznie się poruszył, i pojęła, iż za chwilę powinna spodziewać się ataku. Nie miała wyboru, znów zerwała się do biegu. Tym razem jednak schwytał ją szybko. Zanim jeszcze jej dotknął, poczuła jego obecność tuż za plecami. Owionęły ją ruch powietrza i bijące od jego ciała ciepło. Zaraz potem oboje runęli z impetem na ziemię, w błoto usłane sosnowymi igłami.

Kaszłąc i plując, Ally próbowała się odwrócić, ale to zbójca znalazł się na wierzchu. Zdołała się w końcu przekręcić na plecy, ale niczego więcej nie była w stanie osiągnąć. Napastnik siedział na niej okrakiem, a co gorsza, uśmiechał się.

Nie próbowała protestować ani zgłaszać żądań, po prostu z całej siły uderzyła go pięściami w tors, a jednocześnie rozpaczliwie się szarpnęła. Osiągnęła jednak tylko tyle, że zbójca chwycił ją za nadgarstki i przycisnął jej ramiona do ziemi po obu stronach głowy. Przynajmniej przestał się uśmiechać,

co zauważyła z niejakim zadowoleniem. Zaraz jednak zrozumiała, że to drobne zwycięstwo jest jedynie zwiastunem wielkiej porażki.

- Przystaniesz? - spytał.

Nie odpowiedziała. Leżała nieruchomo, z odwróconą w bok głową.

Pozwolił jej swobodnie odetchnąć, ale nadal siedział na niej okrakiem.

- Ostrzegałem, że nie spodoba ci się, jeśli drugi raz cię złapię - powiedział cicho.

- Co za cham!

- Jestem zbójcą - odparł zniecierpliwiony. - To nie jest towarzystwo dla damy.

- I co dalej? - spytała, nie patrząc na niego. - Do czego to wszystko zmierza?

- Przedstawisz mi się i powiesz, po co jedziesz do hrabiego. Tego chciałem dowiedzieć się od początku i nic się nie zmieniło.

Wlepiła w niego wzrok, zaskoczona nową myślą. Wiedziała, że powinna ugryźć się w język, ale nie była w stanie.

- Nie należysz do antymonarchistów? - spytała cicho.

Zdumiało ją, że zareagował uśmiechem, a co więcej knykciami niemal czule pogłaskał ją po policzku.

- Oczywiście, że nie. Boże chroń królową. Jestem poczciwym, kochającym tradycję angielskim zbójcą.

Uwierzyła mu. Leżała pod nim, zdana na jego łaskę i niełaskę, a jednak mu wierzyła. Cicho westchnęła.

- I nie zamierzasz mnie zabić?

- W żadnym wypadku, dziewczyno.

- Przestań nazywać mnie „dziewczyną”.

- Nie znam twojego imienia.

Spiorunowała go wzrokiem. Uzmysłowiwszy sobie, w jakiej pozycji się znajdują, spłonęła rumieńcem.

- Jeśliś tak łaskaw, to się odsuń, żebyś mogła się ruszyć - zaproponowała.

Wstał, a potem podał jej rękę i pomógł jej podnieść się z ziemi.

Przytrzymał przy tym jej dłoń nieco dłużej, niż było to potrzebne.

- Nazywam się Aleksandra Grayson.

- Jak? - spytał ostro z taką miną, że Ally znowu obleciał strach.

Dlaczego? Ani w jej nazwisku, ani w niej samej nie było niczego, co mogłoby mieć dla kogokolwiek znaczenie.

- Jestem Aleksandra Grayson, czyli nikt. Już mówiłam, że mieszkam w domku w lesie. Hrabia

Carlyle z żoną są dla mnie jak przybrani rodzice. Między innymi oni opiekują się mną, odkąd sięgam pamięcią.

- Pani... pani jest Aleksandrą Grayson?

- Jakie znaczenie ma dla ciebie moje nazwisko? - spytała niepewna, czy ten człowiek na pewno jest całkiem zdrowy na umyśle. Widziała, że dłonie zacisnął w pięści.

Pokręcił głową i rozchylił palce. Chwilę potem znowu się uśmiechał.

- Absolutnie żadnego.

- Wobec tego...

- Przypuszczałem, że jest pani kim innym - odparł, wyciągając rękę.

Spojrzała na nią dość zakłopotana. Mężczyzna był bardzo wysoki, mocno zbudowany. Czowała promieniujące od niego ciepło. Naszło ją bardzo dziwne przeświadczenie, że gdyby zrobiła krok i zbliżyła się... byłoby jej dobrze... wspaniale, podniecająco.

Zaraz jednak pochyliła głowę. Przecież ten człowiek jest tylko zwykłym przestępcą! Zerknęła na niego kątem oka i stwierdziła, że bacznie jej się przygląda.

- Chodźmy - powiedział w końcu. - Odprowadzę panią do powozu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Zwolniwszy zatrzymany powóz, Mark Farrow dosyć długo stał jeszcze na drodze i spoglądał jego śladem

- Mark - odezwał się Patrick MacIver, ściągając z twarzy czarną jedwabną maskę. - Musimy stąd zniknąć, i to szybko. Ten powóz należał do hrabiego Carlyle. Kiedy dotrze do zamku, hrabia rzuci się za nami jak pies gończy.

Trzej przyjaciele, a zarazem członkowie zbójczej bandy - Patrick MacIver, Geoff Brennan i Thomas Howell - uważnie przyglądali się swojemu hersztowi. Mark z aprobatą skinął głową.

- Rozdzielimy się - rozkazał, uznawszy zasadność uwagi. - Geoff i Thomas, wyierzecie drogą zachodnią. Ja z Patrickiem pojedę wschodnią. Pamiętajcie, żeby zatrzymać się po drodze i zmienić konie. My zrobimy to samo. Spotkamy się zgodnie z planem u O'Flannery'ego.

Skinęli głowami, ale żaden z nich się nie ruszył.

- Kto to był? - zapytał Thomas.

- Aleksandra Grayson - odrzekł Mark.

- Całkiem atrakcyjna - stwierdził Thomas.

- Niesamowita - dodał Geoff.

- Raczej dość pewna siebie - zauważył Patrick.

- Interesująca - uznał Geoff Brennan.

- Mam wrażenie, że czekają pana kłopoty, sir Mark - orzekł kpiąco Thomas.

- Może jednak opuścimy to miejsce, a z moich ewentualnych kłopotów będziemy śmiać się później? - zasugerował Mark.

Zawrócili konie, żeby dwoma różnymi drogami dojechać do Londynu. Mark i Patrick szybko pokonali drogę do przecinki leśnej, znanej pod nazwą Ennisfarn, gdzie rodzina Farrow od dawna utrzymywała domek myśliwski.

Chociaż stajni pilnował tam jedynie stary Walt, na wszelki wypadek dostali się do niej niepostrzeżenie od tyłu, tam zrzucili przebrania i rozsiedłali konie. Potem wzięli z wieszaków nowe uprząże i szybko przygotowali do drogi wypoczęte wierzchowce. Gdy wkrótce potem znów znaleźli się na szlaku, wioząc zbójce odzienie ukryte w jukach, Patrick zauważył:

- Muszę przyznać, że na twoim miejscu skorzystałbym z szansy bez wahania, chociaż naturalnie świat się zmienia. Twój ojciec myśli całkiem archaicznie, kiedy nalega, abys ją poślubił.

- Zawarł umowę z Brianem Stirlingiem, hrabią Carlyle, kiedy byłem dzieckiem, a ona niemowlęciem - odrzekł Mark. - Nie mam pojęcia dlaczego. Ona nie jest dzieckiem Stirlinga, raczej jego wychowanką.

Podejrzewałem, że kryje się za tym jakaś wstydliva historia.

- Bez wątplenia pochodzenie z nieprawego łóża. Mark zmierzył go groźnym spojrzeniem.

- Niech ci przypadkiem nie przyjdzie do głowy plotkować.

- Niezależnie od niechybnie wiszącego nad tobą małżeństwa, muszę powiedzieć, że wkrótce stracimy dobrą reputację. Nie ukradliśmy tej dziewczynie nawet pierścionka.

- Nie martw się. Jedziemy do O'Flannery'ego.

- I co? - zainteresował się Patrick. Mark uśmiechnął się szeroko.

- A jak myślisz, dlaczego ostrzegałem cię przed plotkowaniem? Sam zamierzam rozpuścić plotki. Możesz mi wierzyć, że wieczorem będziemy najgroźniejszymi zbirami w imperium od czasu Kuby Rozpruwacza.

Aleksandrze nie wydawało się, aby ucierpiała w jakikolwiek sposób. Co innego Shelby. Już przy bramie, zanim jeszcze wjechali na długi podjazd do zamku, zaczął wzywać pomocy, toteż gdy zatrzymali się przed frontowymi drzwiami, na zewnątrz oczekiwało ich już kilka osób, w tym sama hrabina.

- Trzeba wezwać policję, milady! - zawołał Shelby. - Zatrzymał nas ten nikczemnik, o którym piszą wszystkie gazety! Uderzył mnie tak, że straciłem

świadomość, a pannę Grayson porwał. Uciekł, ale nie może być daleko. Trzeba natychmiast zawiadomić pana hrabiego. Biedna panienska! Jak on śmiał?

Przecież każdy człowiek poznałby herb na powozie lorda Stirlinga.

Hrabina, lady Camille, bardzo się zmartwiła, na szczęście jednak należała do rozsądnych i zrównoważonych osób. Zanim poślubiła hrabiego, była zwyczajną dziewczyną, która pracowała na swoje utrzymanie, nadal zresztą nie zerwała kontaktów z muzealnym działem egiptologii.

- Shelby, zachowaj spokój, proszę, musimy ustalić fakty - powiedziała. - Ally, czy nie jesteś ranna?

- Nie.

Brian Stirling, wysoki, przystojny mężczyzna, wyszedł z domu i stanął za plecami żony.

- Jesteś całkiem pewna? - spytał z troską. - Cała jesteś w liściach.

- Słowo daję, że nic mi nie jest - odparła Ally.

- Wezwę policję - oświadczyła Camille i zawróciła na schodach do głównego wejścia. - Brian, dopilnuj proszę, żeby Ally jak najszybciej znalazła się w domu.

- Dobrze, za chwileczkę. Shelby, mój koń ma być osiodłany i gotowy do drogi. Jeśli ten człowiek jest teraz gdzieś na drodze, to muszę go ścigać.

- Och nie! - zaprotestowała Ally. - On jest uzbrojony i niebezpieczny.

- Wejdźmy do środka. Zanim koń zostanie osiodłany, musisz przekazać mi wszystko, co zapamiętałaś, każdy szczegół. - Podał jej ramię i zawołał przez ramię do stangreta. - Shelby, znajdź mi trzech ludzi do towarzystwa.

W holu hrabia kazał przywołać gospodynię, a potem zaprowadził wychowanek do obszernej kuchni. Uwielbiała to miejsce. Kiedy przyjeżdżała do zamku jeszcze jako dziecko, często tam się bawiła. Od olbrzymiego kominka było ciepło, a w garnkach zawsze coś się gotowało. Ostatnio były to fantazje kulinarne Theodore'a, „nowego” kucharza, jak go wciąż zwano, mimo że

urzędował w zamku już dziesięć lat. Rosły człowiek z rumianą, radosną twarzą zawsze przygotowywał na przyjazd Ally smakołyki.

- Bądź łaskaw przynieść brandy dla panienki - polecił hrabia.

Theodore, który siekał na zadziwiająco drobne kawałki jakiegoś zioła, wytarł ręce w fartuch i sprężystym krokiem podszedł do kredensu.

Chwilę potem Ally siedziała przy ogniu, a hrabia, Zajawszy miejsce obok wychowanki, ujął jej ręce i spojrzał prosto w oczy.

- Bez pośpiechu i dokładnie opowiedz, co się stało.

- Było tak, jak mówił Shelby. Zatrzymał nas po drodze zbójca.

- A czego chciał?

- Niczego nie zabrał. Chciał tylko przeszukać powóz, a potem pytał, jak się nazywam i dokąd jadę.

- I nie wyrządził ci żadnej krzywdy?

- Nie - bąknęła.

Hrabia wstał, przeczesując palcami włosy. Chociaż dzięki tytułowi mógł ograniczyć się do pomnażania majątku, nie pozwalał mu na to temperament uczonego.

Interesował się starożytnością i patronował badaniom archeologicznym, zawsze też był gotów włączyć się do rozwiązywania aktualnych problemów społecznych. Sumiennie wywiązywał się również ze swego obowiązku w wojsku. Ally, podobnie jak Camille, darzyła go niekłamanym uwielbieniem, często zresztą zastanawiała się, jak doszło do tego, że tacy ludzie postanowili wziąć ją pod opiekuńcze skrzydła. Wiedziała, że nie mówi teraz hrabiemu wszystkiego tak szczerze, jak na to zasługuje. Czy jednak zbójca wyrządził jej jakąś krzywdę? Cóż, jej dumę i poczucie własnej wartości uraził bez wątpienia, ale... Uświadomiła sobie, że wcale nie zależy jej na tym, aby zbójca został schwytyany.

- Milordzie, właściwie nie ma o czym opowiadać. Już po kilku sekundach wiedziałam, że nic mi nie grozi.

- Ten człowiek jest przestępcą - stwierdził surowo hrabia.

- Tak, naturalnie, ale nie zrobił mi krzywdy i niczego nie zabrał. Shelby jest dumny ze swojej odwagi i rzeczywiście zachował się wspaniale, lecz zbójca posłużył się biczem i przy jego pomocy bez trudu rozbroił Shelby'ego. Obawiam się, że to bardzo uraziło godność tego poczciwca.

Do kuchni weszła hrabina.

- Rozmawiałam z policją. Inspektor Turner już do nas jedzie. Niestety, powiedział mi bez ogródek, że niewiele mogą zrobić. Ten zbój i jego kompani dawno gdzieś się zaszyli, ale inspektor chce jak najwięcej dowiedzieć się o wyglądzie i zachowaniu tego człowieka. Ally, opowiedz mi teraz, co się wydarzyło.

Ally zerknęła na hrabiego.

- Obawiam się, że będziesz musiała opowiadać o swojej przygodzie jeszcze wiele razy, moja droga.

- Przygodzie? - powtórzyła Camille.

- Wygląda na to, że nic jej się nie stało, i do tego rzecz się sprowadza.

- To nie zmienia faktu, że biedaczka musiała przeżyć chwile grozy - sprzeciwiła się Camille.

- Ally!

- Ally!

Dwa głosiki zabrzmiały niemal unisono. Do kuchni wpadli Brent i William, jeden pięcio-, drugi sześciolatek, i obiegłszy z dwóch stron matkę, rzucili się na Ally.

- Chłopcy! - skarciła ich Camille.

- Wszystko w porządku - uspokoiła ją Ally i uściskała malców, urzeczona ich promiennymi uśmiechami.

Oni nie byli zatroskani, nie prosili, żeby cokolwiek powtórzyła, po prostu cieszyli się, że ją widzą. Brent, przyszły hrabia, nieustannie coś broił, a William z wielkim zapałem towarzyszył bratu w jego szaleństwach. Zdążył zresztą,

mimo zaledwie pięciu lat, oznajmić, że zamierza wybrać się do Ameryki i tam zgromadzić majątek.

- Brian - zwróciła się do męża Camille - powiedz, proszę, naszym młodym dżentelmenom, że nie wolno teraz przeszkadzać.

- Nic złego się nie dzieje - zapewniła Ally.

- Chłopcy, Ally przyjdzie do was pobawić się, kiedy będziecie już wykapani i gotowi do spania - oznajmił Brian, biorąc synów pod pachy.

Wyniósł obu chichoczących malców do holu. - A teraz zmykajcie do pokoju zabaw, kochani - polecił - i nie rozbierzcie przypadkiem na kawałki nowego aparatu telefonicznego!

- Na pewno nie, ojcze - przyrzekł William.

- To wcale nie jest epizod bez znaczenia - oświadczyła Camille. - A gdyby powozemjechały dzieci? Gdyby... gdyby próbowały uciec? Albo walczyć? - pytała wyraźnie strapiona.

- Dzieci nie było w powozie, tylko Ally, która najwyraźniej poradziła sobie całkiem dobrze - powiedział Brian. - Od tej pory powóz będzie zawsze eskortowany przez dwóch ludzi - zdecydował, zwracając się do żony. - Czy to cię uspokoi?

- Tak. Przynajmniej do czasu, gdy ten bandyta zostanie zatrzymany. W każdym razie Lucy przygotowuje dla ciebie kąpiel, Ally, i wyjęła już strój na dzisiejsze wieczorne przyjęcie. Bardzo chciałabym, żeby twoje ciotki zgodziły się przybyć; naturalnie, nie mogę pocziwin do niczego zmuszać. Szkoda, że w taki dzień ich nie będzie.

- Camille, porozmawiaj z inspektorem pierwsza, a potem może Ally przypomni sobie więcej szczegółów. Ja jadę.

- Co właściwie ma się dzisiaj zdarzyć? - spytała Ally, zadowolona, że opiekunowie wydają się nabierać pewnego dystansu do jej „przygody”. - Wezwanie, które dostałam, brzmiało dosyć tajemniczo.

- Coś niesamowicie ekscytującego - zapewniła ją Camille. - Może, zgodnie z sugestią Briana, zaczniemy się przygotowywać.

- Och, wykapię się z przyjemnością - przyznała Ally, która miała również wielką ochotę na kilka minut samotności.

- Chodź, Ally. Brian, czy ona na uspokojenie nerwów nie powinna dostać do kąpieli jeszcze jednej brandy?

- Wydaje mi się, że jej nerwy są w całkiem dobrym stanie - odrzekł hrabia. - Jeśli ma ochotę na brandy, to naturalnie nie widzę przeszkód.

Odwrócił się, kręcąc głową z niedowierzaniem, że zbójcy mogą jeszcze w tej epoce terroryzować kraj, a Theodore nalał kolejną szklaneczkę trunku.

- Dziękuję - powiedziała cicho Ally i szybko podążyła za Camille, spuściwszy wzrok, żeby earl nie mógł z niego zbyt wiele wyczytać.

- Ruszam szukać tego bandyty. Czytałem, że ma trzech kompanów. Czy to prawda, Ally?

Skinęła głową. Shelby i tak powie to hrabiemu. I na pewno z nim pojedzie.

- Tak, w sumie jest ich czterech - przyznała.

- Niczego więcej nie jesteś w stanie mi powiedzieć?

- Mieli peleryny, kapelusze i maski. Obawiam się, że mogę podać bardzo niewiele użytecznych informacji.

- „Mogę” czy „chcę”?

- Brian, ci ludzie to przestępcy - obruszyła się Camille.

- To prawda - potwierdził stanowczo Brian, patrząc na Ally.

- Przykro mi, milordzie, ale nie umiem nawet w przybliżeniu podać ich wzrostu czy też koloru włosów.

- Kiedy ten człowiek cię odprowadził na stronę... Co się stało?

- Byłam bardzo zła. Chodziliśmy w kółko i prowadziliśmy głupie rozmowy, póki nie podałam mu swojego imienia i nazwiska.

- A potem?

- Odprowadził mnie do Shelby'ego i przyjechaliśmy prosto tutaj.
Hrabia skinął głową i ruszył do wyjścia, a Camille ujęła Ally pod ramię.

- Chodź, bo ci kąpiel wystygnie.

- Jest Florence - ucieszył się Patrick, kiedy weszli w opary dymu,
wypełniające wnętrze pubu O'Flannery's.

Florence Carter, barmanka, krzątała się przy kranach z piwem. Ta trzydziestokilkuletnia kobieta po przejściach znalazła w pubie swoje powołanie. Pracowała ciężko wiele godzin dziennie, nigdy jednak nie zniżyła się do uprawiania prostytutki, typowego losu biednych, niewykształconych kobiet z East Endu. Robert O'Flannery, wielki Irlandczyk, właściciel lokalu, doskonale wiedział, że w osobie Flo znalazł prawdziwy klejnot.

Umiała poruszać się z szybkością błyskawicy i łatwo radziła sobie ze studentami uniwersytetu, którzy przychodzili tu po zajęciach. Florence umiała żartować, miała cięty język, ale potrafiła też rozładować konflikt, zanim jeszcze przerodził się w bójkę. Mimo że była szczupła i wydawała się dość krucha, jej siła wprawiła w zaskoczenie niejednego mężczyznę.

- Co dla was chłopcy? Po kufelku? - zawołała.

- Pewnie, Flo! - odkrzyknął Mark. - A nie widziałaś...?

- Wasi zbrodniczy wspólnicy siedzą w loży - zażartowała, wskazując właściwy kierunek.

- Trochę za blisko prawdy, co? - zauważył cicho Patrick.

- Ona tylko żartowała - odparł Mark.

Pub był zatłoczony, przy czym większość gości skupiła się przy barze. Mark i Patrick przecisnęli się między ludźmi - odpoczywającymi po pracy robotnikami, noszącymi z sobą książki studentami, żołnierzami i kilkoma młodymi członkami towarzystwa, którzy kiedyś mieli odziedziczyć ojcowskie tytuły - aby przysiąc się do Geoffa i Thomasa.

- Jakies problemy? - spytał Geoff.

- Żadnych - odparł Mark i zamachał na Flo, która podążała w ich stronę z tacą pełną piw. Gdy rozstawiała kufle, Mark spytał: - Słyszałaś? Minęliśmy na drodze człowieka, który opowiadał, że zbójca znowu się pokazał. Wykazał niemało zuchwałości, bo napadł powóz hrabiego Carlyle. Na szczęście dał spokój kobiecie, która nim jechała, puścił ją wolno i niczego nie zabrał.

- Słyszałem - podjął wątek Patrick - że zwykle nie jest taki litościwy.

- W gazetach bagatelizują ten temat. Zresztą, ludzie przeważnie podróżują uzbrojeni - półgłosem dodał Geoff.

- Gazety mogą sobie bagatelizować - włączyła się głośnym szeptem do rozmowy Flo. - Podobno zdarzało mu się mordować ludzi. Jedną czy dwie ofiary utopił, obciążając cegłami.

- Jeśli ludzie w powozie nie stawiają oporu, to zabiera kosztowności i puszcza ich wolno - wtrącił Mark. - Gdy protestują, próbują walczyć, to... Musi być dużo prawdy w tych opowieściach. Uważaj, Flo.

- Phi, O'Flannery może być wymagającym pracodawcą, ale pokój mam na górze, nie muszę tłuc się wieczorami po drogach - odparła Flo.

- Powinieneś dopić piwo i ruszać do domu - przypomniał Markowi Patrick. - Zdaje się, że wybierasz się na przyjęcie.

- To prawda, lecz kiedy Flo jest tutaj, nie mam ochoty nigdzie wychodzić.

- Jesteś pochlebcą, Marku Farrow. Będziesz dziś wieczorem u hrabiego Carlyle?

- Powiniennem tam być. Dopóki zbój jest na wolności, staraj się podróżować bezpiecznie. I ostrzeż przyjaciół przy barze.

- Dobry z ciebie człowiek - powiedziała, zaciskając dłoń na monecie, którą wręczył jej Mark. - Zaraz wszystkich ostrzeżę.

W tym momencie do pubu wpadł człowiek.

- Morderstwo! - wykrzyknął na cały głos. - Znowu zabili człowieka!

- Kogo? - odkrzyknął ktoś z okolicy baru.

- Gilesa Brandona. Policja właśnie znalazła ciało. Z podejrzanym gardłem, tak samo jak u innych.

W pubie zapanował harmider. Wreszcie głos przybysza znowu wziął górę:

- Miał w ręce swój ostatni tekst. Cios zadany monarchii.

- To jeszcze trafi do gazet - zawyrokował jeden z obecnych.

- A pewnie, słowa pisane krwią! - zawołał ktoś inny.

- Niech zaraza trafi królową Wiktorię! - rozległ się ochryply okrzyk.

Mark podniósł się, wyraźnie rozeźlony. Patryk położył mu rękę na ramieniu.

- Pozwól, że ja to zrobię. Jestem z gminu, chyba pamiętasz? - powiedział cicho.

Mark zdołał się opanować. Pochylił się i skinął głową.

Patryk wstał.

- Niech Bóg błogosławi Wiktorii. Królowa znajdzie sprawcę tej podłości.

Nagle zapadła cisza. Wreszcie ktoś przy barze oświadczył:

- Ona nie ma z tym nic wspólnego. Boże chroń królową.

Zaraz potem okrzyki „Boże chroń królową” nabrały mocy, głusząc głosy niezadowolonych. Mark wstał i potoczył wzrokiem po kompanach.

- Wygląda na to, że jednak nie dotrę dziś na przyjęcie. Niedługo porozmawiamy - zapowiedział.

Skinęli głowami.

Gdy Mark zmierzał do drzwi, pub huczał od dyskusji między zwolennikami a przeciwnikami monarchii.

Ally rozkoszowała się gorącą kąpielą tak długo, jak tylko się dało, wreszcie jednak musiała ją opuścić. Owinęła się w miękki płócienny ręcznik, podany przez Lucy, i wróciła do sypialni. Po jednej stronie na toalecie stała pokaźna figura Izydy, a po drugiej kanopa. Między nimi leżał zestaw srebrnych grzebieni i szczotek. Pokój zdobiły płaskorzeźby i statuetki, na ścianach wisiały

starannie oprawione w ramki papirusy. To był jej pokój i tak wyglądał zawsze. Podobnie jak resztę zamku cechował go wystrój złożony ze starożytnych i nowoczesnych przedmiotów pochodzenia egipskiego, w tym wielu dzieł sztuki. Rodzice hrabiego byli badaczami i to oni dali początek rodzinnej pasji, a Brian znalazł namiętnego jej kontynuatora w Camille. Rozumiał zresztą, że skarby ubogiego kraju nie powinny być beztrosko wywożone przez cudzoziemców i obstawał przy opinii, że te najbardziej wartościowe powinny zostać w miejscu pochodzenia. Chętnie jednak wywoził dla własnej przyjemności okazy o mniejszym znaczeniu, choć zawsze uczciwie za nie płacił. Kiedyś powiedział Ally, że choć kupuje dzieła starożytne, to interesuje się również pracującymi współcześnie artystami i rzemieślnikami i zamawia u nich przedmioty do swojej kolekcji.

Włożyła jedwabną koszulkę, majtki do kolan i pończochy. Była na wpół ubrana, gdy zapukała Molly, jedna ze służących, która przyszła pomóc w szykowaniu się do wieczornego przyjęcia.

- Czy panienka widziała suknię? - spytała z płonącymi od emocji niebieskimi oczami.

Ally spojrzała na wytworną kreację rozłożoną na olbrzymim łożu, suknię w złocistym odcieniu żółtego, z dyskretnymi szczypankami, mającymi służyć podkreśleniu młodzieńczych walorów właścicielki. Zdobiący ją kunsztowny haft był naprawdę najwyższej klasy.

- To dzieło ciotek? - spytała cicho. Molly skinęła głową.

- Kiedy ją przyniosły, chichotały zupełnie jak małe dziewczynki.

Ally dotknęła tkaniny i pokręciła głową.

- Ale i tak nie będą obecne dziś wieczorem - zauważyła ze smutkiem.

- Ich nie da się zmienić - stwierdziła Molly.

- Bardzo je prosiłam. Wiem, że hrabia z żoną też długo je namawiali, lecz poczciwiny są wyjątkowo uparte. Przysięgam jednak, że następnym razem będą musiały ustąpić.

- Takiej okazji już nie będzie - powiedziała cicho Molly i wzięła suknię z łoża.

Przez chwilę Ally nie mogła odpowiedzieć, gdyż uniemożliwiały jej to zwoje jedwabiu. Wreszcie jednak spytała:

- Co to właściwie za okazja, Molly? Po co mnie tu wezwano?

- To mogą wyjaśnić tylko panienki przybrani rodzice.

- Molly...

- Och, oni zaraz tu przyjdą - zapewniła służąca i schowała się za plecami Ally, aby zawiązać troczki. - Panienska naturalnie wie, że tę suknię zaprojektowała lady Maggie, i to ona wzięła ciotki na zakupy, żeby zdobyć materiał.

Ally uśmiechnęła się, dumna ze swoich opiekunek, zajmujących domek w lesie. Ciotki uwielbiały proste życie, choć z pewnością świetnie poradziłyby sobie również w wielkim świecie. One jednak wolały żyć po swojemu, spokojnie i szczęśliwie.

- Wiesz, ostatnio w świecie mody wiele słyhać o siostrze lady Kat. Miała pokaz w Paryżu, a jednak najważniejsze prace i tak powierza ciotkom.

- Wiem.

- Molly... - Ally postanowiła spróbować jeszcze raz, z zaskoczenia. - Co ma się dzisiaj zdarzyć? Czy to są wcześniej obchodzone urodziny?

- W pewnym sensie tak. Niech panienska usiądzie, zrobię jej fryzurę.

Ally posłusznie zajęła miejsce, gotowa do następnej próby.

- W kuchni jest mnóstwo dostawców.

- Kiedy lord Stirling wydaje przyjęcie - oświadczyła Molly z dumą - nie ma takiego człowieka, który nie rzuci wszystkiego w ką, byle móc przyjąć zaproszenie. Niech panienska siedzi nieruchomo. Zaczynają schodzić się ludzie, więc musimy niedługo być gotowe.

Rozległo się pukanie i do pokoju zajrzała lady Camille.

Była ubrana w granatową wieczorową, obcisłą suknię z niewielką turniurą. Hrabina jak zawsze olśniewała urodą. Camille urodziła się w ubóstwie

i awansowała na szczyty z samych dołów, dlatego w oczach Ally była dowodem na to, że szlachectwo pochodzi z serca i duszy i nie ma nic wspólnego z tytułami. Lady Camille była wspaniałą partnerką dla hrabiego, oboje bowiem wykazywali w życiu wiele determinacji, lecz zarazem umieli znaleźć współczucie dla innych.

- Ojej - zachwycała się Camille, stając obok służącej, by przyjrzeć się Ally. - Doskonała suknia. Bardzo jestem zła na ciotki, ale Maggie usłyszy ode mnie najwyższą pochwałę natychmiast, gdy tylko się zjawi. To ona wybrała materiał i kolor. Ally, twoje oczy są teraz złote, a włosy o ton ciemniejsze niż zwykle. Dorosłaś, moja droga.

- Dziękuję - odrzekła Ally. - Camille, cieszę się, że jestem dla ciebie taka ważna i Bogu za to dziękuję, ale...

- Wrócił Brian. Przejechali z Shelbym trasę powozu, a potem obszukali okoliczne leśne ścieżki, ale nie natrafili na żaden ślad. Theodore karmi tymczasem w kuchni inspektora policji. Później znajdziemy czas, żeby z tym policjantem porozmawiać. Zjawi się tutaj również Angus Cunningham, więc i jemu trzeba będzie opowiedzieć, co zaszło.

- No, ostatni akcent - oznajmiła Molly, wkładając we włosy Ally wsuwkę z drogim kamieniem. Cofnęła się o krok i zatarła dłonie. - Prawdziwa księżniczka! - zawołała.

Ally cmoknęła ją w policzek.

- Nie księżniczka, tylko najzwyczajniejsza kobieta, która bardzo cię ceni i bardzo ci dziękuje.

Molly niespodziewanie pociągnęła nosem i sięgnęła po chusteczkę.

- Przestań - skarciła ją Ally. - Może zostanę tu z tobą na górze?

- Niedorzeczność, naturalnie, że schodzisz na dół - oznajmiła Camille ze śmiechem. - Chodź, dziewczyno.

Znowu to samo. Nazwano ją „dziewczyną”. W oczach tych, którzy ją wychowywali, pozostanie nią zapewne do późnej starości.

- Muszę z tobą o czymś porozmawiać dziś wieczór - zwróciła się Ally do hrabiny.

- Naprawdę?

- Tak. Powinnam nawet powiedzieć ci to od razu. Dziś wieczorem będziecie tutaj razem, wszyscy, którzy okazali mi tyle dobroci i zajęli się mną jak własnym dzieckiem. Sir Hunter z lady Kat, lord James z lady Maggie i ty z lordem Stirlingiem.

- Miejmy nadzieję, że znajdziemy dla siebie kilka minut, zanim zamek zacznie się zapełniać - odpowiedziała lady Camille, zerkając na zegarek, zawieszony na złotym łańcuszku na szyi. - Najpierw jednak musimy iść do kuchni, gdzie czeka inspektor Turner.

- Mark, dopiero teraz?

Joseph Farrow stał przy ogniu. Był wysokim, dostojnym człowiekiem, wciąż przystojnym i fizycznie sprawnym. Mark był jego jedynym dzieckiem. Matka odumarła go na złośliwą gorączkę, kiedy był małym chłopcem, więc choć pamiętał jej ciepły uśmiech, miłość, jaką go otaczała, i zapach perfum, to przewodnikiem w życiu był dla niego ojciec.

Mark nie zbuntował się przeciwko zawartej umowie wyłącznie dlatego, że uważał ojca za wspaniałego człowieka. Wiedział, że złamałby mu serce, gdyby to przez niego rodzic nie dotrzymał danego słowa. A jednak...

- Ojczy, nie mogę dziś wieczorem uczestniczyć w przyjęciu - powiedział.

Na czole ojca natychmiast pojawił się głęboki mars.

- Mark, to przyjęcie było planowane od lat...

- Wiem.

- Miałem bardzo poważny powód, żeby dać w tej sprawie słowo.

- Nie zamierzam unikać spełnienia swojej obietnicy, ojczy, ale...

Zadzwoił telefon. Chociaż aparat pojawił się w ich domu, kiedy w Londynie był jeszcze prawdziwą rzadkością, Joseph Farrow wciąż sprawiał

takie wrażenie, jakby nie mógł przyzwycząić się do wynalazku. Wzdrygnął się, słysząc przeraźliwy dzwonek.

Jeeter, osobisty służący Josepha, wszedł do salonu, aby podnieść słuchawkę z widełek. Przyjął telefon z wielką godnością, oznajmiając, że dzwoniący połączył się z domem lorda Farrow. Potem na chwilę zamilkł, wreszcie odsunął nieco słuchawkę i spojrzał na Josepha.

- Detektyw Douglas - powiedział cicho. Joseph zerknął na syna i podszedł do telefonu.

- Lord Farrow, słucham.

Trzymając słuchawkę przy uchu, nie spuszczał wzroku z Marka.

- To prawda - rzekł w końcu.

Jeeter odebrał od niego słuchawkę, by odłożyć ją na widełki.

- No cóż, synu - odezwał się cicho. - Będzie mi bardzo niezręcznie usprawiedliwiać twoją nieobecność, ale... Do kroćset, to Giles Brandon - stwierdził ze smutkiem. - Jeeter, dopilnuj, żeby mój powóz był gotowy do drogi.

Kiedy służący opuścił salon, Joseph zerknął na syna.

- Idź więc. Wzywa cię martwy człowiek.

ROZDZIAŁ TRZECI

W kuchni panował rozgardiasz. Theodore wydawał liczne polecenia przynajmniej dwóm tuzinom kucharzy i służących. Wszyscy znieruchomieli na widok Camille, za którą weszła również Ally. Głowy skłoniły się przed panią zamku.

- Proszę, nie przeszkadzajcie sobie w pracy - powiedziała lekko onieśmielona Camille. Szybko poprowadziła podopieczną ku wielkiemu blatowi do rąbania mięsa, przy którym siedział inspektor Turner. Na widok kobiet podniósł się z krzesła.

- Przykro mi, że zakłócam taki wieczór - przeprosił z ukłonem.

Zdaniem Ally, miał wygląd starego basseta, do czego przyczyniały się ciemne oczy i poorana zmarszczkami twarz. Policjant był przy tym postawny, niemal dystyngowany, i mówił cichym, łagodnym głosem.

- Inspektorze, to moja wychowanica, Aleksandra Grayson.

- Dobry wieczór, panno Grayson... Rozmawiałem z lordem Stirlingiem, ale tak naprawdę to pani może mi pomóc. Potrzebuję opisu tego zbrojcy.

- Chciałabym okazać się bardziej pomocna, inspektorze, ale obawiam się, że niewiele mogę powiedzieć na temat jego wyglądu.

- Będę wobec tego zadawał pani pytania. Czy on był wysoki, czy niski?

- Wysoki.

- A jak zbudowany?

Zawahała się, więc inspektor pospieszył z sugestią:

- Chyba nie był chuderlawy? Chociaż oczywiście zdarza się, że całkiem niepozorni ludzie z bronią w ręku wydają nam się potężni.

- Nie, chuderlawy nie był - przyznała Ally. - Myślę, że posturą przypominał lorda Stirlinga.

- Dobrze jeździ konno? - spytał inspektor.

- Bardzo.

- Może to ktoś, kto służył w wojsku - powiedział inspektor bardziej do siebie niż do Ally lub Camille. - A co z jego twarzą? Jaką miał cerę? Karnację?

- Chciałabym panu pomóc, inspektorze, ale oni wszyscy mieli maski, kapelusze i peleryny.

- Stangret lorda Stirlinga, Shelby, twierdzi jednak, że zbójca uprowadził panią do lasu.

- Chciał tylko dowiedzieć się, kim jestem, a ja wykazałam się pewnym uporem. Niczego mi nie zabrał.

- I... nie skrzywdził pani w żaden sposób?

Gdyby nie to, że Ally była ogromnie skrepowana, szczerze współczułaby inspektorowi. Tak bardzo starał się, żeby to pytanie zabrzmiało delikatnie.

- Nie poniosłam żadnej szkody - zapewniła go, niepewna, czy przypadkiem nie spłonęła rumieńcem.

- I nic nie zostało skradzione?

- Nic. - Ally się zawahała. - Może zorientował się, że zatrzymał powóz należący do lorda Stirlinga, a ten, dowiedziawszy się o zajściu, będzie go zaciekle ścigał.

- Może - zgodził się z nią inspektor. - Nie potrafi mi pani podać koloru jego oczu?

- Wydaje mi się, że były ciemne, chociaż naturalnie kapelusz rzuca cień na twarz, a on dodatkowo nosił maskę.

- Musiałaś być bardzo przestraszona - dodała Camille, jeszcze zwiększając brzemień winy ciężającej na Ally.

- Z pewnością inne napadnięte osoby również opisały panu tego bandytę - powiedziała niepewnie Ally.

- Zawsze tak samo. - Inspektor Turner westchnął. - Nawet po napadach za dnia ludzie pamiętają maskę, pelerynę i buty jeździeckie. A kto w Anglii nie ma

pary butów jeździeckich? Proszę się jednak nie obawiać, panno Grayson, ujmiemy sprawcę.

- Chyba zaczynają schodzić się goście - stwierdziła Camille, zauważywszy, że kelnerzy wystrojeni w smokingi opuszczają kuchnię z kieliszkami szampana na tacach.

- Naturalnie, proszę iść ich przywitać. Sądzę, że panna Grayson wyjawiała mi już wszystko, co tylko mogła... Na co w tej chwili pozwala jej pamięć - zakończył inspektor Turner.

Ciekawe, co to właściwie miało znaczyć? - zadała sobie w duchu pytanie Ally.

- To zaskakujące - powiedział inspektor Turner, kiwając głową. - Pani, panno Grayson, nie wydaje się oszołomiona jak inne damy zatrzymane przez tego zbrojce. Wiele z nich sprawiało wrażenie, jakby dla tego spotkania warto było poświęcić drobiazg w rodzaju brylantowego naszyjnika.

- Co takiego?! - spytała zdumiona Camille.

- Opowiadają, że kiedy rabuje, jest uprzedzająco grzeczny, wręcz czarujący.

- Ally nie jest głupią gąską, żeby jakiś bandyta, choćby najuprzejmiejszy, zawrócił jej w głowie - stwierdziła Camille.

- Naturalnie - zgodził się inspektor. - W każdym razie dziękuję za pomoc i życzę udanego przyjęcia.

- Serdecznie zapraszamy, inspektorze. Może pan do nas dołączy.

- Bardzo dziękuję, lady Stirling, ale obowiązki wzywają. Już i tak nadużyłem pani gościnności. Tutejszy kucharz dopilnował, żebym dostał kolację, jakiej nie jadłem od... chyba jeszcze nigdy. Dobranoc.

- Dziękuję za odwiedziny, inspektorze - powiedziała Camille.

- Ja też dziękuję - zawtórowała jej cicho Ally.

Przesłała inspektorowi na pożegnanie niepewny uśmiech, a gdy szła po chwili z hrabiną do sieni, ta kręciła głową i mruzczała pod nosem:

- I wszystko w taki wieczór.

- Powiedz mi, co to za okazja - poprosiła Ally.

Camille nie zdążyła odpowiedzieć, bo właśnie zbliżył się do nich Brian, opuściwszy na chwilę krępego jegomościa.

- Moja droga, potrzebuję cię na chwilę. Ally, poznasz lorda Wittburga.

Ally nie zdołała jednak spokojnie przejść przez rozległy hol. Ktoś klepnął ją w ramię, więc odwróciła się i ujrzała Huntera MacDonalda, innego z jej samozwańczych opiekunów. Bardzo go lubiła, na równi z jego żoną Kat. Tworzyli zwariowaną parę, uwielbiającą brawurę, zawsze gotową rzucić się w nową przygodę.

- Wielkie nieba! Jak ty wyglądasz! - wykrzyknął wesoło Hunter. -

Całkiem dorosła. Wszędzie, gdzie się pojawisz, nie opędzisz się od wielbicieli.

- Dorosłam już dość dawno temu, czego nie zauważyłeś.

- Czuję się urażony. Roześmiała się.

- Cieszę się, że jesteś. Obawiałam się, że znów wypuściłeś się do Egiptu.

- Ally, czyżby wszystkie moje nauki poszły na marne? W Egipcie jest w tej chwili o wiele za gorąco. Nawiasem mówiąc, czy nie miałabyś ochoty pojechać tam z nami w tym roku? To może być twoja ostatnia okazja.

- Ostatnia okazja? - zdziwiła się.

Hunter nie odpowiedział, bo uprzedziła go Kat, która podeszła uściskać Ally.

- Niewiarygodne - orzekła zachwycona. - Muszę namalować ci portret w tej sukni. A może to mój ojciec powinien mieć ten zaszczyt - zastanawiała się Kat.

- Twój ojciec jest wielkim artystą, ale nie ma żadnej wątpliwości co do tego, że odziedziczyłaś po nim talent, kochanie - zapewnił ją Hunter.

Ally uzmysłowiła sobie, że i ona chciałaby przeżyć miłość, jaka stała się ich udziałem. Poznać kogoś, kto patrzyłby na nią tak jak Hunter na swoją żonę.

- Wszystko jedno - oświadczyła w końcu Kat - obojętne, czy będziesz pozować mnie, czy ojcu, portret trzeba namalować.

- Dziękuję. - Zanim którekolwiek z nich zdążyło podjąć inny temat, zapytała: - Jaką okazję mamy dziś wieczorem?

I tym razem nie doczekała się satysfakcjonującej odpowiedzi.

- Oto i ona! - rozległ się okrzyk i zaraz potem przyłączyła się do nich lady Lawinia Rogers. Jako wdowa po hrabim, który był właścicielem połowy ziem w północno-zachodniej części hrabstwa, miała prawo być wścibska i zupełnie bezceremonialna.

- Słyszeliście? - spytała, cmoknąwszy Huntera i Kat w policzki. - Naszą Ally napadł zbójca.

- Wielki Boże! - zdenerwował się Hunter i zrobił taką minę, jakby gotów był wypaść z domu i poruszyć niebo i ziemię w poszukiwaniu opryszka.

- Wcale nie zostałam napadnięta - oświadczyła Ally.

- Nie? - zdziwiła się Kat.

- On tylko zatrzymał powóz, to wszystko. Mnie nic się nie stało.

- O, w to nietrudno uwierzyć - powiedziała lady Lawinia.

Była niska, dość krępa, miała bystre niebieskie oczy i włosy, które wydawały się srebrne. Jej blado-fioletowa suknia przyozdobiona klejnotami sprawiała wrażenie przesadnie wystawnej. Lawinia zupełnie nie przejmowała się opiniami na swój temat. Znała swoją wartość. Kochała ludzi i życie i głośno dawała temu wyraz.

- Mnie również podobał się ten rozbójnik - oznajmiła, puszczając oko do Ally.

- Ciebie też napadł? - spytał z chmurną miną Hunter.

- Owszem, jeśli można to nazwać napaścią. W każdym razie policja niby go ściga, ale dla mnie to strata czasu. Powinni raczej znaleźć tego zwyrodnialca, który morduje ludzi. Wiecie już chyba, że popełniono trzecią zbrodnię?

Hunter i Kat skinęli głowami.

- Trzecią zbrodnię? - zdumiała się Ally.

- Tak, podejrzięto gardło Gilesowi Brandonowi. Policja nie wpadła na żaden trop, nawet najdrobniejszy, tak przynajmniej słyszałam - oznajmiła Lawinia.

- Och, daj im szansę - odezwał się Hunter.

- Dać im szansę? Zanim wytropią tego zbrodniarza, kraj legnie w gruzach. Wiesz, kim był Giles Brandon, kochana, prawda? - zwróciła się do Ally.

- Naturalnie. Czytywałam jego artykuły. Wydawały mi się raczej jątrzące. Lawinia skinęła głową z poważną miną.

- To dla mnie zadziwiające, że my, zwolennicy drogiej królowej Wiktorii i jej rodziny, musimy zachowywać się przyzwoicie, bez względu na to, jak bardzo jesteśmy prowokowani. Brandona znaleziono z ostatnim artykułem zaciśniętym w zakrwawionych palcach. Tekst ukaże się jutro, razem z wiadomością o kolejnym morderstwie. Antymonarchiści wpadli w szał, wyobrażasz sobie, ile zła może się jeszcze do tego czasu wydarzyć?

- Ally!

Tym razem głos należał do lady Maggie, która przeciskała się przez tłum, z wdziękiem pozdrawiając skinieniem głowy mijanych ludzi, za nią zaś postępował lord Jamie.

Maggie serdecznie uściskała Ally, a Jamie poszedł w jej ślady. Znowu wybuchło zamieszanie, bo w kolejce do powitań byli jeszcze Hunter z Kat i lady Lawinia. Wreszcie Maggie mogła w spokoju przyjrzeć się sukni Ally.

- Znakomicie ci w tym kolorze.

- Odpowiedni kolor na dzisiejszy wieczór - dodał Jamie i cmoknął ją w policzek.

- A co się dzieje dziś...? - spytała Ally.

- Słyszeliście o trzecim morderstwie? Właśnie o nim rozmawialiśmy - przerwała jej Lawinia.

- Ja dowiedziałem się przed chwilą - stwierdził Jamie.

- O morderstwie czy o zbójcy? - dopytywała się Lawinia.

- Dostałem telefon w sprawie morderstwa, a o zatrzymaniu Ally przez tego ohydneho złodzieja usłyszeliśmy przed chwilą - wyjaśnił.

- On wcale nie jest ohydny, mój drogi - sprostowała Lawinia. - Wręcz przeciwnie, robi ujmujące wrażenie. Co zaś się tyczy morderstw...

- Odrażające. Naturalnie znów podniesie się wielki krzyk przeciwko monarchii, jakby to królowa stała za takim nikczemnym aktem przemocy - powiedział z oburzeniem Jamie. - Możesz być jednak pewna, Lawinio, że ten człowiek zostanie ujęty.

- O ile pamiętam, Kuby Rozpruwacza też policja nie ujęła.

- Lawinio - powiedział cicho Jamie, wyraźnie zmieszany - morderstwa Rozpruwacza to odległa przeszłość, a nikt tak naprawdę nie wierzył w związek monarchii z tą sprawą.

- Nie bądź naiwny, Jamie. Ta teoria pozostanie w książkach historycznych na równi z innymi. Wszyscy jednak wiemy... - ciągnęła Lawinia.

- Morderstwa się skończyły. Moim zdaniem, jest oczywiste, że policja wie więcej, niż może powiedzieć - wtrąciła Maggie.

- Milczenie tylko jeszcze bardziej drażni ludzi. Tymczasem do rozdyskutowanej grupki dołączyła Camille.

- Może przejdziemy do wielkiej sali? Czas na kolację, a potem, po rozpoczęciu tańców, nastąpi obwieszczenie. Muszę teraz zaprosić wszystkich do jadalni. Hunter, Jamie, czy któryś z was byłby taki dobry i zaoferował swoje towarzystwo lady Lawinii?

- Jakie obwieszczenie? - spytała Ally.

- O - ucieszyła się Camille - jest lord Farrow, hrabia Warren. To dziwne jednak, że przyszedł sam. Chodź ze mną, moja droga.

- Camille, jakie obwieszczenie?

Hrabina uważnie spojrzała na Ally i wyraźnie się zarumieniła.

- Och, obawiam się, że powinniśmy byli już dawno ci o tym powiedzieć. Tylko że chcieliśmy być wtedy wszyscy razem, a ciągle coś wypadło...

- Uniosła dłonie. - Wiesz, jak to jest w życiu - dodała ciszej. - Jedno z nas powinno było z tobą porozmawiać. To wydarzyło się wiele lat temu, zanim jeszcze mogłaś cokolwiek z tego zrozumieć, a potem już mogłaś, ale zawsze wydawało się, że odpowiednia chwila jeszcze nie nadeszła.

- Camille, co to za obwieszczenie? Przerwało im nadejście dżentelmena.

- Najdroższa Camille!

Wysoki, siwowłosy mężczyzna z niesłychanie wyrazistą, poprzecinaną bruzdami twarzą, wydawał się należeć do ludzi, którzy nie potrzebują tytułu, by wzbudzać szacunek. Ally rozpoznała w nim lorda Farrow, którego Camille zaanonsowała chwilę wcześniej. Farrow zasiadał w Izbie Lordów, gdzie nieustannie walczył o skrócenie czasu pracy i lepsze płace robotników. O ile dobrze pamiętała z lektur, był parem i gorącym zwolennikiem królowej, lecz zarazem przyjacielem zwykłych ludzi. Ucieszyła się, że może go poznać.

- Lordzie Farrow, pozwól pan przedstawić sobie naszą wychowanicę, pannę Aleksandrę Grayson - powiedziała Camille.

Skłonił się elegancko i ujawszy ją za rękę, przyjrzał jej się z zainteresowaniem ciemnymi, łagodnymi oczami. Te oględziny wzbudziły u Ally dziwne doznanie, poczuła się tak, jakby była raczej niezwyklej rzadką kobietą niż fascynującym znaleziskiem wykopalisk.

- Miło mi pana poznać, milordzie - bąknęła.

- Mnie panią również - odrzekł. Uśmiechnął się i zerknął na Camille. - Panna Grayson istotnie cechuje się rzadką urodą. - Przybrał bardzo zasmuconą minę. - Jest mi niezmiernie przykro, że Mark nie może być obecny. Został wezwany w niecierpiącej zwłoki sprawie, dotyczącej królowej. Przysięgam uroczyście, że nic innego nie mogłoby mu przeszkodzić. Musisz mu to wybaczyć. - Ostatnie słowa lord Farrow skierował do Ally.

Nawet go nie znam, pomyślała, ale odpowiedziała uprzejmie:

- Naturalnie, sprawy królowej mają pierwszeństwo przed wszystkimi innymi, milordzie.

- Okropne zdarzenie, czyż nie? - zwrócił się do Camille. - Giles Brandon był chełpliwym osłem, obawiam się jednak, że jego śmierć wzburzy masy.

- Wszyscy tego się obawiamy - potwierdziła Camille.

- Mniejsza o to, nie będę rozwodził się nad przyziemnymi kwestiami w obliczu takiego piękna.

- Zechce pan towarzyszyć Ally do jadalni, milordzie? - spytała Camille. - Naturalnie macie miejsca obok siebie - dokończyła i już jej nie było.

Naturalnie?

- Giles Brandon był chełpliwym, ale pisać potrafił przekonująco - powiedziała z powagą Ally do lorda Farrow.

- Czytała pani jego artykuły? - spytał, marszcząc czoło.

- Czytałam wszystkie, milordzie. Chcąc z czymś polemizować, trzeba znać treść wyводу.

- Intrygujące. Znajomość z panią doprawdy coraz bardziej mnie fascynuje, moja droga. Wejdzmy do jadalni. Camille zależy na jak najszybszym usadzeniu gości.

Przyjęła jego ramię. Goście powoli gromadzili się w olbrzymiej sali jadalnej. Ally z lordem Farrow otrzymali miejsca w północnym jej krańcu, w otoczeniu Briana i Camille, Maggie i Jamiego oraz Huntera z Kat. Kiedy podano kolację, rozmowa zeszła na planowaną w następnym sezonie ekspedycję do Egiptu, potem na stan londyńskich muzeów, sztukę i literaturę, a nawet pogodę.

Ally uśmiechała się, odpowiadała na pytania, również sama dorzuciła do konwersacji jedną czy dwie uwagi. Prawdę mówiąc, miała jednak ochotę zerwać się z miejsca i głośno krzyknąć. Wiedziała, że ma dostatecznie silną wolę, by stanowczo zażądać odpowiedzi na pytanie, które zadawała bez skutku przez cały wieczór.

Co tu się dzieje? Jakie obwieszczenie?

Kiedy jednak rozejrzała się dookoła, zrozumiała, że nie ma szans. Lady Maggie i Jamie przyjęli ją pod swój dach, gdy pozostawiono ją pod opieką miejscowego księdza.

Kamerdyner Maggie, człowiek wielkiej poczciwości, nieżyjący już od kilku lat, był krewnym „ciotek” i w ten sposób trafiła do ich domku w lesie, gdzie mogła wychowywać się w spokoju, wolna od piętna sieroty. Ziemia, na której stoi domek, należy do lorda Stirlinga. Kat i Hunter, jako bliscy znajomi Stirlingów, również obdarzyli ją miłością i zaadoptowali. Wobec nich wszystkich miała dług wdzięczności.

Ally za nic nie chciała przynieść ujmy komukolwiek z przybranych rodziców, dlatego nie mogła zachować się niegrzecznie przy stole. Ogarniał ją niepokój. Zamierzała tego wieczoru wystąpić z własnym obwieszczeniem, wyznać, że postanowiła wziąć stery życia w swoje ręce, i to z pełnią zaangażowania. Coś jednak podszeptowało jej, że okazja do tego się nie nadarzy.

W kostnicy unosił się ostry odór środków odkażających, które jednak nie były w stanie zabić jeszcze mocniejszego smrodu śmierci i rozkładu. Mark stał przy stole operacyjnym, na którym ułożono doczesne szczątki Gilesa Brandona. Mimo oświetlających ciało żarówek pomieszczenie wydawało się zacienione. Markowi towarzyszyli: doktor Evan Tiel i detektyw Ian Douglas.

Detektyw Douglas należał do najprzystojniejszych ludzi znanych Markowi. Wielki, burkliwy w obejściu, potrafił poradzić sobie z każdym człowiekiem. Piąty syn drobnego szkockiego właściciela ziemskiego spędził trochę czasu na zgłębianiu tajników prawa w Eton, po czym zaczął studiować medycynę w Edynburgu. Kończąc studia, wiedział już, że najbardziej interesuje go oddawanie morderców w ręce wymiaru sprawiedliwości i pilnowanie, aby nie dochodziło do pomyłkowego skazywania niewinnych ludzi. Był przystojnym mężczyzną, barczystym i wysokim, zdradzał jednak oznaki kogoś, kto toczy walkę z góry skazaną na niepowodzenie, w tym wypadku polegającą na

bronieniu niewinnych ludzi i staraniach o wykorzenie zła. Gdyby chociaż żyli w jakiejś wspaniałej i chwalebnej epoce, ale nie, bieda w Londynie widoczna była na każdym kroku, a niedostatek to niechybna pożywka dla przestępstw.

Doktor Evan Tiel był nie mniej godnym szacunku człowiekiem. Niższy, szczupły, żyłasty, energią mógł konkurować z kolibrem. Fascynowało go coraz szersze zastosowanie nauki i medycyny w służbie wymiaru sprawiedliwości. Obaj z Douglasem studiowali w Edynburgu u doktora Bella, lekarza i wykładowcy, który Arthurowi Conan Doyle'owi posłużył za pierwowzór postaci Sherlocka Holmesa.

- Znalaziono go opartego o biurko, z palcami zaciśniętymi na kartce z ostatnim artykułem - powiedział Ian Douglas.

- Istotnie - przyznał Tiel. - Ze sposobu krzepnięcia krwi należy wnosić, że podrzynając gardło, morderca odchylił mu głowę do tyłu, a gdy ofiara wykrwawiła się na śmierć, ciało osunęło się na biurko.

- Walczył? - spytał Mark, wskazując rany cięte na ramionach.

- Zakładam, że zobaczył napastnika i walczył, ale mordercy udało się w końcu zaatakować go od tyłu. Musiał stanąć w ten sposób. - Tiel zademonstrował sytuację, wykorzystując detektywa Douglasa w roli ofiary. Zamarkował nóż trzymany w dłoni i pokazał, jak przejechał nim po gardle denata.

- No dobrze - zastanawiał się głośno Mark. - Giles Brandon siedział przy biurku i pisał na maszynie. Skończył artykuł. Morderca wszedł do pokoju, wywiązała się bójka, podczas której napastnik zaszedł go od tyłu i poderznął mu gardło.

Ian Douglas odchrząknął.

- Jest w tym pewien szkopuł. Drzwi na podwórze zaryglowano od środka. Furtka na podwórko też była zamknięta. Giles Brandon pracował w zamkniętym gabinecie. Nie sędzę, żeby morderca mógł zwyczajnie wejść i zaskoczyć Brandona. Wydaje mi się, że raczej czekał w pokoju na jego powrót.

- W takiej sytuacji morderca musiałby przez dłuższy czas czaić się w mroku pokoju - powiedział Mark.

- Mogło tak być - przyznał Ian.

- To nie wygląda na morderstwo pospolite, bardziej na polityczne - zastanawiał się głośno Mark.

- Niewykluczone.

Mark zerknął na doczesne szczątki Gilesa Brandona. To prawda, że wielu ludzi go nienawidziło, pomyślał, ale tylko nieliczni życzyliby takiego końca nawet najgorszemu wrogowi. Zbadał cięcia na ramionach i przyjrzał się głębokiej ranie na szyi.

- Nie ma innych ran na ciele? Nie uszkodzono ciała po śmierci?

- Nie - zapewnił go doktor Tiel. Mark się cofnął.

- Jeśli więc morderca był przez cały czas w pokoju, to musiał dysponować kluczem - uznał. - Albo morderczyni... - dodał po namyśle.

Ian Douglas pokręcił głową.

- Żona darzyła go uwielbieniem. On był według wszystkich świadectw wrzeszczącym bydlakiem, który potrafił lżyć ją nawet publicznie. Ale ona i tak go podziwiała. Uważała go za geniusza.

- On pewnie też karmił się tą myślą - stwierdził z ironią Mark.

Douglas skinął głową.

- Bez wątplenia. Ona fizycznie nie miała sposobu, żeby popełnić tę zbrodnię. Inna rzecz, że z pewnością by do niej nie dopuściła.

- Kto jeszcze miał klucz?

- Tylko sam Brandon i jego gospodyni, Tilly. Kiedy poznasz Tilly, zrozumiesz, że nie mogła tego zrobić. To skóra i kości, wprawdzie osoba ciężko pracująca, ale z pewnością niezdolna do osiągnięcia fizycznej przewagi nad Brandonem. Poza tym potrzebowała pieniędzy, które u niego zarabiała, a mimo że miał paskudny charakter, służba u niego była dla Tilly elementem prestiżu.

- Jeśli żona i gospodyni są niewinne, to albo jedna, albo druga została wykorzystana przez mordercę. Zaryzykowałbym przypuszczenie, że którejś z nich skradziono klucz, a potem odłożono go na miejsce. To nie był przypadkowy akt przemocy, więc morderca poświęcił sporo czasu na zaplanowanie zbrodni - powiedział Mark.

- To kolejny atak na antymonarchistów - ocenił Douglas, kręcąc głową. - Czyż ten dumy nadgorliwiec nie uświadamia sobie, że tylko pogarsza sytuację królowej?

Mark przez chwilę milczał.

- Sądzę - stwierdził w końcu - że morderca jest antymonarchistą.

- Co takiego? - zdziwił się Douglas. - Po co więc zabijać? - Urwał, odkrył bowiem drogę rozumowania Marka.

- Właśnie - powiedział Mark. - Moim zdaniem, ludzie mają myśleć, że to monarchiści zabijają tych ludzi dlatego, że odważają się głośno wyrażać swoje poglądy. Czyż jest lepszy sposób na przeforsowanie swojej sprawy niż stworzenie armii męczenników?

- Czyli... - Douglas zmrużył oczy.

- Myślę, że musimy przyjrzeć się przyjacielom i osobom z otoczenia Gilesa Brandona. Jestem bowiem pewien jednego - oznajmił Mark.

Czego mianowicie?

Giles Brandon znał swojego mordercę. Powiedziałbym, że znał go bardzo dobrze.

Po skończonej kolacji długi stół znikł tak szybko, jakby w ogóle go nie było. Rozstawiono inne stoły pod ścianami i wkrótce znalazły się na nich eleganckie filiżaneczki z kawą, talerzyki z deserami i aperitify. Odkąd rozpoczęły się tańce, Ally rozpoznawała coraz więcej gości znanych jej osobiście lub ze słyszenia.

Pierwszy porwał ją na parkiet Brian Stirling. Świetnie jej się z nim tańczyło, jako że pierwsze kroki taneczne poznała jeszcze jako dziecko, stojąc na jego stopach.

- O, jest ten dziennikarz, Thane Gier - szepnęła, gdy przemierzali parkiet.

- Ano jest. - Brian nie wydawał się zadowolony.

- Zaprosiłeś go?

- Oczywiście. Gdybym tego nie zrobił... Cóż, z wrogiem najlepiej się zaprzyjaźnić.

- A on jest wrogiem?

- Każdy, kto ma do czynienia z prasą, może być niebezpieczny - orzekł Brian. - Zaprosiłem go więc... zwłaszcza dziś wieczorem.

- Błagam cię...

Brian przystanął, bo właśnie ktoś poklepał go po ramieniu.

- Lordzie Stirling, czy można?

To był sir Andrew Harrington. Ally przypomniała sobie, że widziała go tego ranka na schodach przed biurem szeryfa, razem z sir Angusem Cunninghamem i lordem Lionelem Wittburgiem. Ich drogi przez lata skrzyżowały się kilkakrotnie, raz podczas balu dobroczynnego na rzecz muzealnego działu starożytności, a potem na jednym z przyjęć Maggie, mających zwrócić uwagę na problem biedoty z East Endu. Brian skłonił się dwornie, choć wydawał się dość sztywny, gdy przekazywał ją pod opiekę następnego tancerza. Sir Andrew uśmiechnął się czarująco do Ally, ujął ją za rękę, objął w talii i lekko poprowadził w walcu.

- Wchodzi pani w dorosłe lata pełna wyjątkowego uroku, panno Grayson - powiedział

- Dziękuję. A co u pana słychać? Widziałam pana dziś rano.

- Tak?

- Owszem, w osadzie.

- A, rzeczywiście. Wydawało mi się, że Angusowi przydałaby się pomoc.

- Żołnierze wspierają się wzajemnie - zauważyła Ally.

Uśmiechnął się, ale szybko spoważniał.

- Słyszałem, że napadł panią ten potwór.

- Nic mi się nie stało.

- Szkoda, że mnie tam nie było. Ktoś powinien w końcu nadziać tego drania na szpadę.

- Dziękuję bardzo, ale znakomicie sobie poradziłam.

- Nie docenia pani swojej urody i atrakcyjności, moja droga, a także podłych zamysłów, lęgnących się w głowach niektórych mężczyzn. Powiem pani, z pełnym zaangażowaniem, chociaż wiem, że ma pani silnych opiekunów, że w razie potrzeby zawsze chętnie przyjdę pani z pomocą.

- Dziękuję. - Ally uśmiechnęła się i skłoniła głowę.

- Cóż to za tajemnicze obwieszczenie ma dojść do skutku dziś wieczorem?

Nie zdążyła odrzec, że nie ma pojęcia, ponieważ jako następny porwał ją do tańca sir Angus Cunningham.

- Moja najmilsza dziewczyno - zagadnął pozornie szorstkim tonem - wstyd mi z powodu tego, co panią spotkało. Całkowicie zawiodłem jako szeryf osady i otaczających lasów. Proszę o wybaczenie.

- Angusie! - Znała go, odkąd była jeszcze małą dziewczynką. - Miał pan naprawdę dzisiaj rano pełne ręce roboty. Ten zbójca nie przedstawia poważnego zagrożenia. Co innego rozeźlony tłum.

- Widziała to pani - powiedział cicho.

- I byłam bardzo dumna z pana, a także z lorda Wittburga i sir Andrew Harringtona. Poradziliście sobie w tej sytuacji bardzo sprawnie.

Angus zerknął w drugi koniec sali i spochmurniał.

- Thane Grier też tam był. Zobaczymy, co wysmaży na ten temat w gazecie. Naturalnie jutro może być jeszcze gorzej, na przykład dojdzie do następnego mordu. Och, przepraszam. Nie mówmy o tym dziś wieczorem.

- To bardzo poważna sprawa - przyznała Ally.

Nagle zmarszczyła czoło, jej myśli podążyły bowiem w innym kierunku. Tego wieczoru zauważyła w zamku kilka dam w czerni. Odkąd królowa Wiktoria nosiła żałobę po swoim ukochanym księciu Albercie, chodzenie w czerni weszło w modę. Jeszcze teraz kobiety nosiły żałobę długo po stracie kogoś bliskiego. Nie było więc nic dziwnego w widoku kobiety w czerni. A jednak... Zerkając nad ramieniem sir Angusa dostrzegła kogoś, przez kogo zmyliła krok. Nagle przypomniała jej się kobieta widziana rankiem w osadzie, wykrzykująca oskarżenia przeciwko królowej.

- Sir Angusie? - spytała nagle.

- Słucham, moja droga.

- Kim była ta kobieta dziś rano?

- Jaka kobieta?

- W tłumie. Ta, która tak gniewnie krzyczała przeciwko monarchii.

- A kto tam gniewnie nie krzyczał? - spytał retorycznie. - Jestem przekonany, że ktoś podburzył tłum. Wszędzie dookoła były transparenty. Nasi obywatele są zwykle spokojni i przestrzegają prawa, jeśli nie liczyć tego zbrojcy. Co do niego jednak, sądzę, że przyjeżdża z Londynu na gościnne występy, żeby na moich drogach popełniać nieczne czyny.

- Jedna kobieta się wyróżniała, nie pamięta pan? Stała obok kuzynki sir Andrew, która próbowała ją uspokoić.

Otworzył usta, aby odpowiedzieć, ale swoich praw domagał się już następny tancerz. Tym razem był to lord Joseph Farrow, hrabia Warren. Angus ustąpił mu więc miejsca.

- Pięknie pani tańczy - pochwalił Ally hrabia.

- Dziękuję.

- Rozumiem, że ma pani również głos skowronka i świetnie gra na fortepianie.

- Owszem, gram na fortepianie, a czy pięknie, niech decydują słuchacze.

- Bardzo mi przyjemnie - oznajmił.

Muzyka wybrzmiała i nastąpiła przerwa w tańcach. Ally odwróciła się. Lord i lady Stirling, sir Hunter z lady Kat oraz Maggie z lordem Jamesem zgromadzili się przed orkiestrą. Brian, trzymając Camille za rękę, zaczął przemawiać.

- Przyjaciele, dziękujemy wam za przybycie. Jak wiecie, cała nasza szóstka miała zaszczyt pomagać w wychowaniu pewnej pięknej, młodej kobiety. Dziś wieczorem pragniemy obwieścić zaręczyny naszej wychowanicy, panny Aleksandry Grayson.

- Chodź, moja miła - powiedział Joseph Farrow, ujmując Ally pod rękę.

Była tak zaskoczona, że nie zaprotestowała, kiedy prowadził ją do Briana i reszty jej przybranych rodziców. Z nim? - pomyślała zdumiona. Chcą mnie wydać za lorda Josepha Farrow? Zauważyła, że lord Farrow zamierza przemówić. Ująwszy Ally za rękę, odwrócił ją do gości.

- Jestem zachwycony, że mogę tu być dziś wieczorem w imieniu mojego syna Marka, który, niestety, nie mógł przybyć. Ten wieczór planowaliśmy z lordem Stirlingiem od bardzo dawna. Dziś wieczorem chcemy obwieścić zaręczyny mojego syna Marka z panną Aleksandrą Grayson.

Rozległy się ogłuszające oklaski.

Zaręczona? Ona? Ally miała własne plany, marzenia, aspiracje. Co więcej, poczyniła już kroki, aby je zrealizować. Odebrało jej mowę. Nawet nie zdawała sobie sprawy z gratulacji, składanych jej przez przybranych rodziców. Prawie nie zauważyła też, że lord Farrow wyjął z kieszeni pierścionek i nałożył jej na palec. Nagle na jej dłoni zabłysnął brylant.

- A oto nasz pierwszy prezent dla narzeczonych - oznajmiła Camille, przekrzykując panujący na sali harmider. - Moja przybrana córka śpiewa jak anioł i czyni magię, gdy może położyć dłonie na klawiaturze, więc...

Shelby z pomocą kilku służących wtoczył na salę wspaniałą fortepian.

- Nie ma drugiej kobiety w Anglii, która wyglądałaby tak pięknie w sukni wieczorowej - oznajmiła z kolei Maggie. - Lord Jamie i ja zajęliśmy się wyprawą ślubną.

Pięknie uśmiechnięta Molly weszła i zaprezentowała wybór najprzedniejszych tkanin. Znowu rozległy się wiwaty, po czym przyszła kolej na Kat, która wystąpiła naprzód.

- Hunter i ja...

Przerwał jej przeraźliwy krzyk. Wszyscy obecni zmartwieli. Z holu dobiegł kolejny krzyk, a po nim strumień niezrozumiałych, histerycznych słów.

- Przepraszam państwa - powiedział Brian i skierował się w tamtą stronę.

Tłum gości ruszył jego śladem. Ally, wciąż oszołomiona, została nagle porwana przez morze ludzi. W holu Shelby usiłował przytrzymać i uspokoić kobietę. Mogła mieć jakieś czterdzieści lat i cała była odziana w czerń. Włosy miała szare, a oczy, w zbliżonym kolorze, zdawały się gorączkowo płonąć.

- Nie żyje! - krzyknęła rozdzierająco i w nagłym przypiływie siły, do jakiej zdolny jest człowiek szalony, wyrwała się Shelby'emu.

Brian uniósł rękę, dając znak służącemu, żeby dał spokój kobiecie.

- Eleanor - powiedział cicho.

Popatrzyła na niego, zmrużyła oczy i wydała kolejny przeraźliwy krzyk, potem obróciła się gwałtownie, otoczona falującą czernią.

- Nie żyje! A wy wszyscy popieracie królową. Przeklinam was! Będziecie zabijać i zabijać bez końca dla własnych celów. A on nie żyje. Mój mąż nie żyje. Giles Brandon, człowiek wart dziesiątków takich jak wy. Nie żyje!

- Eleanor - odezwał się znów Brian, ale kiedy Shelby chciał go wspomóc, dyskretnie pokręcił głową. Jeszcze raz pozwolił kobiecie dać upust bólowi i wściekłości. Znowu się odwróciła i omiotła wzrokiem tłum, jakby szukała konkretnej osoby. Ally bardzo się zdziwiła, gdy szalone oczy kobiety zatrzymały się na niej, a wdowa wyciągnęła przed siebie oskarżycielsko kościste, spowite w czerń ramię.

- Ty! - krzyknęła dziko. - Ty niedoszące dziecko elity, przeklinam cię! Niech śmierć dopadnie cię tysiąc razy! To mają być twoje urodziny? I zaręczyny? Wobec tego przeklinam cię raz jeszcze! Niech spotka cię najbardziej haniebna i żalсна śmierć, zanim doczekasz się dnia ślubu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Londyński dom Gilesa Brandona był pilnie strzeżony przez policjantów. Mark wszedł do środka w towarzystwie Iana Douglasa.

- Ile osób było tutaj, odkąd odkryto zwłoki? - zapytał.

- Gospodyni, posterunkowy, który patrolował ulicę i został przez nią wezwany, potem jeszcze trzech lub czterech policjantów. Po nich koroner i kilku jego pomocników - odparł Ian.

- Powiedz mi chociaż, że po odkryciu ciała zabroniono gospodyni myć podłogę i dotykać czegokolwiek w pokoju.

- Gdy tylko mnie wezwano, poleciłem, żeby niczego nie ruszać.

Zapytałem też o podłogi, gospodyni zapewniała, że ich nie myła. Przebywała w kuchni, uznała bowiem, że tam może zrobić najwięcej, nie przeszkadzając. Kiedy przyszła, sądziła, że Giles jeszcze pracuje.

Dokładne oględziny podłóg, ścian i mebli we frontowej części domu nie ujawniły ani śladów krwi, ani żadnego nieporządku. Gdy ruszyli schodami na górę, Ian nagle zawołał:

- Smuga!

Mark oświetlił latarnią wskazane miejsce. Istotnie, ślad wyglądał jak smuga krwi, ciągnąca się za butem. Był niewielki, wskazywał jednak na to, że sprawca opuścił dom frontowymi schodami.

- Brandon musiał mocno krwawić, ale wygląda na to, że na mordercę krew nie chlusnęła - powiedział Ian.

- Stał z tyłu, bez wątpienia za plecami ofiary.
- Wcześniej ten sam człowiek w podobny sposób zabił dwie osoby.

Na górze, w gabinecie Gilesa Brandona, stało się jeszcze bardziej oczywiste, że morderca wiedział, co robi. Brandon został zabity, kiedy stał za biurkiem. Morderca dopilnował, żeby był zwrócony w odpowiednim kierunku i upadł przed siebie. Na biurku pozostała kałuża skrzepniętej krwi.

Maszyna do pisania, broń ofiary, była umazana krwią.

- Umierając, trzymał w ręku ostatni artykuł, prawda? - spytał Mark. Ian skinął głową.

- Tekst przekazaliśmy do gazety, chociaż jak zwykle chłostał rząd. Komendant uznał, że zatrzymanie artykułu w sytuacji, gdy plotka o jego istnieniu na pewno by się rozeszła, przyniosłoby więcej szkody niż pożytku.

- Miejmy nadzieję, że ludzie wykażą dość rozsądku, aby ocenić go krytycznie - odrzekł Mark.

W głębi po lewej stronie, za biurkiem, stykały się dwie półki z książkami, pełne tomów w ciemnych oprawach. Jeśli ktoś stał całkiem nieruchomo... Mark wszedł do kąta i zerknął na biurko.

- Będę Brandonem - zaproponował Ian. Razem odegrali całą scenę.
- Myślę, że Brandon najpierw wstał, potem usłyszał mordercę i wtedy się odwrócił - powiedział Ian.
- Morderca ruszył więc naprzód.
- Brandon uniósł ramiona, o tak, kiedy zorientował się, że napastnik trzyma nóż... - podjął Ian.
- Ten podszedł jeszcze bliżej i zadał cios.
- Przeciął Brandonowi skórę na ramieniu, pociekła krew.
- Kiedy Brandon się zatoczył, morderca chwycił go za ramiona i obrócił.
- Potem poderznął mu gardło od lewej do prawej - uzupełnił Mark.
- Ofiara upadła do przodu, na twarz, a padając, chwyciła swój artykuł.

- Morderca natychmiast się cofnął. Krew chlusnęła do przodu. Nóż jednak nią ociekał.

- Dlatego sprawca zbrodni musiał szybko schować nóż, żeby nie zostawić śladów po wyjściu z pokoju.

- Znowu schody - mruknął Mark. Ian skinął głową.

Minęli smużkę krwi i zeszli na sam dół. Tam przystanęli.

- Tylne wyjście - zasugerował Ian.

- Spróbujmy.

Przeszli korytarzem, który mijał jadalnię, salon, kuchnię i spiżarnię. Przy drzwiach Mark przekrzywił latarnię, kierując światło na gałkę.

- Tak, tędy wyszedł.

- Nie rozumiem... - powiedział Ian. Plamka krwi była tak mała, że łatwo mogła pozostać niezauważona. - Aha, teraz widzę. Również te drzwi były zamknięte.

- Morderca miał klucz - stwierdził Mark.

Ian otworzył drzwi, Mark trzymał w górze latarnię. Wyłożony płytkami chodnik prowadził w głąb ogrodu. Pośrodku bulgotała mała fontanna. Na kamiennym obmurowaniu widniały ślady krwi.

- Tutaj czyścił narzędzie - domyślił się Ian. - Potem...

- Potem poszedł dalej - uznał Mark i ruszył żwirową ścieżką, wijącą się między poprzycinanymi dąbkami. Doszedł do końca ścieżki przy ceglany murze.

- Jak przesadził mur? - spytał Ian.

- Miał współnika, kogoś, kto czekał na zewnątrz i rzucił mu linę. Wspiął się na szczyt muru i zeskoczył po drugiej stronie. Potem razem ze współnikiem łatwo wmieszał się w tłum i udał w bezpieczne miejsce, bo przecież na pewno miał zakrwawione ubranie.

- W bezpieczne miejsce albo... - podsunął Ian.

- Albo do powozu - dokończył Mark.

- Do eleganckiego powozu, który może poruszać się po mieście niemal bez ryzyka, że zostanie zatrzymany przez policję - dodał Ian.

- Morderca mógł odjechać eleganckim powozem, tak jak mówisz. Czy jednak naprawdę wierzysz, że ryzykowałby pozostawanie w zakrwawionym ubraniu? Dlaczego nie miałby się go pozbyć? - spytał Mark.

- Ponieważ jeśli się czegoś pozbywasz, może to zostać znalezione. Myślę również... - Ian urwał.

- Co takiego? - zainteresował się Mark.

- Nie mam racjonalnych podstaw, by tak sądzić, ale nie wydaje mi się, żebyśmy mieli do czynienia z szaleńcem. To raczej chłodno kalkulujący sprawca morderstw o podłożu politycznym. Moim zdaniem, to również człowiek przekonany o własnej wyższości. Właśnie dlatego zachował podczas ucieczki wierzchnie odzienie, które posłużyło mu do schowania noża. To nawet może być dla niego powodem do dumy. Czemu tak mi się przyglądasz? - spytał nagle Ian. - Czy moja teoria jest absurdalna?

Mark pokręcił głową.

- Nie, skądże. Pomyślałem jednak o czym innym. Wiemy, że morderca jest sprawny fizycznie. Potrafi cicho się poruszać i wspiać na mur po linie.

- Owszem.

- Nie wiemy jednak, czy jest mężczyzną. Może powinniśmy szukać kobiety.

- Giles Brandon jest... był rosły i silny.

- Dlatego ma na ciele rany, które świadczą o tym, że się bronił. Może sądził, że jest w stanie odebrać nóż napastnikowi. Nie twierdzę, że na pewno szukamy kobiety, uważam jednak, iż nie należy tego wykluczać.

Klątwa wykrzyczana przez Eleanor Brandon zmroziła zebranych. Ludzie zamarli, wydawało się nawet, że przestali oddychać. Ally była wstrząśnięta, mimo to zdołała opanować się na tyle, by powiedzieć:

- Pani Brandon, proszę przyjąć wyrazy głębokiego współczucia. Mogę tylko się modlić, aby Bóg zesłał pani ukojenie.

- Eleanor, posłuchaj - włączył się Brian Sterling. - Nikt z tu obecnych nie pragnął śmierci Gilesa. Wszyscy ci współczujemy.

Eleanor Brandon straciła impet, ze szlochem osunęła się w ramiona Briana.

- Co ja teraz zrobię, lordzie Stirling? - Nagle się wyprostowała. - Każecie mnie aresztować.

- Ależ skąd! - Brian poszukał wzrokiem żony.

- Chodźmy, Eleanor - powiedziała, podchodząc Camille. W ślad za nią zbliżyła się lady Maggie. - Zaprowadzę panią na górę, zostanie pani w zamku na noc.

- Pisał artykuły przeciwko Koronie. Znam wasze zdanie na ich temat - obstawała przy swoim Eleanor.

- To jest Wielka Brytania - stwierdziła Camille. - Wolno nam swobodnie wyrażać opinie. Giles też miał prawo prezentować swoje przekonania. Eleanor, przyjmij naszą pomoc.

- Ale mój woźnica...

- Zajmiemy się nim - zapewniła ją Maggie.

- Szanowni państwo. - Brian zwrócił się do elegancko ubranych gości, wciąż w milczeniu tłoczących się w holu. - Dla tych, którzy zechcą pozostać, orkiestra będzie grała dalej. - Utorował drogę Camille i Maggie, prowadzącym wciąż wstrząsaną szlochem Eleanor, po czym podszedł do Lawinii. - Moja droga przyjaciółko, jeśli jeszcze nie wychodzisz, to zapraszam do tańca.

- Takiego zaproszenia się nie odrzuca - odrzekła figlarnie Lawinia. - Zatańczę z przyjemnością.

Gdy ruszyli ku sali balowej, za ich przykładem poszli Hunter i Jamie, którzy również znaleźli partnerki. Ally nie zdawała sobie sprawy z tego, że stoi jak skamieniała, dopóki nie podeszła do niej Kat.

- Wszystko w porządku, moja droga?

- Zastanówmy się. Właśnie dowiedziałam się, że jestem zaręczona, narzeczony nie zadał sobie trudu, aby pojawić się na zaręczynach, może zresztą podobnie jak ja nawet o nich nie wiedział, a do tego rzucono na mnie klątwę. Całkiem interesujący wieczór.

Kat roześmiała się cicho.

- Zapomniałaś jeszcze o zatrzymaniu powozu przez zbójcę. Och, Ally, bardzo cię proszę, nie przejmuj się histerycznymi wrzaskami Eleanor. Nie bierz ich poważnie.

- Ta klątwa zabrzmiała złowrogo.

- Nie wierzę w klątwy. Tymczasem nie dostałaś jeszcze prezentu od Huntera i ode mnie, więc... - Kat sięgnęła do kieszonki spódnicy i wyjęła puzderko. - Przyjmij to, proszę.

- Dziękuję - powiedziała cicho Ally i uniosła wieczko. W środku leżał skarabeusz niezwykle kunsztownie wykonany ze złota i klejnotów. Niewątpliwie był wart niemałą fortunę, więc Ally pokręciła głową. - Nie mogę tego przyjąć.

- Egiptologia to nasza specjalność - przypomniała jej Kat. - Poza tym dostajesz nie antyk, tylko współczesny wyrób na zamówienie. Hunter bardzo pilnował, żeby oryginał skarabeusza znalazł się w kairskim muzeum. Kopia jest naturalnie wierna, także co do układu kamieni, więc sędzę, że i ona ma siłę magiczną. Będzie cię chronić przed wszelkimi zagrożeniami. - Uśmiechnęła się. - Oryginał otrzymała w darze księżna Netahula-re. Żona jej brata podobno próbowała ją otruć, ale księżna nie umarła, tylko odchorowała truciznę, za to żonę brata ujęto, i to ją los pokarał, zresztą dość okrutnie. Jeśli istnieje coś takiego jak klątwa - w co, jak wspomniałam, nie wierzę - to jesteś teraz chroniona.

- Z całego serca dziękuję i tobie, i Hunterowi. Muszę porozmawiać z wami wszystkimi, Kat. Nie miałam zielonego pojęcia, co się właściwie dzisiaj dzieje...

- Kat, tu jesteś! - Hunter podszedł nieco zdyszany. - O, dałaś jej skarabeusza. Podoba ci się?

- Bardzo. Jest piękny. Nie zasłużyłam na tyle.

- Niedorzeczność. Wyrosłaś na kobietę, którą wszyscy darzymy wielkim szacunkiem - orzekł Hunter i cmoknął ją w policzek, a potem ujął żonę za rękę.

- Nie chcę być niegrzeczny, ale zatańczyłem już z tuzinem matron o ponadnormatywnej objętości, więc chciałbym raz zatańczyć z moją żoną. Wybaczysz nam, Ally?

- Tak, chociaż...

Hunter z Kat szli już jednak w stronę parkietu, więc pozostało jej tylko popatrzeć za nimi z lekką irytacją. Może jednak ten wieczór nie jest odpowiednią porą, aby porozmawiać z przybranymi rodzicami i spróbować im coś wytłumaczyć, pomyślała Ally. Jednak musiała ich przekonać, że skoro tak wspaniale zadbali o jej wykształcenie, nie pozostało nic innego, jak pozwolić jej z niego korzystać.

- Moja droga?

Odwróciła się i ujrzała lorda Josepha Farrow, hrabiego Warren, potencjalnego teścia.

- Niech pani nie przejmuj się wrzaskami wzburzonej i chorej kobiety - powiedział.

- Nie przejmuję się - odrzekła Ally, przypominając sobie, że ma skarabeusza.

- Czy zaszczyci mnie pani ostatnim tańcem? - spytał hrabia. - Zrobiło się późno i wkrótce wracam do domu.

- Naturalnie.

Gdy wchodzili na parkiet, zauważyła w jego oczach błysk rozbawienia.

- Pewnie nie wiedziała pani o tej umowie aż do ostatniej chwili?

- Jak pan się domyślił?

- Zwróciłem uwagę na szeroko otwarte usta.

- Och, przepraszam.

- Nic się nie stało. Proszę mi szczerze powiedzieć, czy jest pani zaniepokojona, czy raczej zadowolona z faktu, że któregoś dnia zostanie hrabiną?

- Nie wychodzę za mąż za pana, milordzie. Wydaje się pan całkiem krzepki, poza tym, naturalnie, życzę panu jak najdłuższego życia.

- Bardzo dziękuję, ale jedno pokolenie zawsze ustępuje miejsca następnemu.

- Mógłby pan ponownie się ożenić i mieć tylu synów, ilu tylko zapragnie.

- Nigdy ponownie się nie ożenię. A pani, moja droga, wymigła się od odpowiedzi. Co pani sądzi o proponowanym związku z moim synem?

- Trudno mi mieć jakąkolwiek opinię, skoro nawet go nie znam.

Zaskoczyło ją, że lord Farrow nie zaczął natychmiast wychwalać swojego potomka ani zapewniać o szacunku, jakim cieszy się wśród ludzi.

- Słusznie. Sądziłem, że któryś z pani opiekunów uprzedzi ją wcześniej.

- Myślę, że mieli taki zamiar, przynajmniej dzisiaj - odrzekła Ally. -

Niestety, z nikim nie mogłam porozmawiać, bo nieustannie ktoś komuś przerywał.

- A jakie są pani odczucia wobec samej idei małżeństwa, abstrahując od faktu, że nie zna pani mojego syna? Bądź co bądź, wiele dziewcząt poślubiłoby rozpadającego się ze starości imbecyla, byle tylko zdobyć tytuł hrabiny.

- Czy czuję się zaszczycona tym, że uznano mnie za osobę godną? Z pewnością. A czy głęboko kocham moich opiekunów i doceniam to, co dla mnie zrobili i nadal robią? Tak.

- Uroczym powiadaniem. - Lord Farrow nieznacznie skłonił głowę. - Bardzo się tym martwiłem. To wszystko ma związek z pewną przysięgą, o której, niestety, nie wolno mi otwarcie mówić.

- Jakiegokolwiek przysięgi złożono, aby zapewnić mi opiekę, to wychowywano mnie w taki sposób, abym potrafiła odnaleźć własną drogę w świecie. Pański syn z pewnością nie musi się ze mną wiązać.

- Przyszłość jest nieodwracalnie ustalona. Nagle Ally uświadomiła sobie, że muzyka ucichła i ludzie ruszyli ku wyjściu.

- Ale...

Tymczasem przeszkodzili jej goście, składający na odchodnym gratulacje.

- Muszę już iść - powiedział lord Farrow. - Bez wątpienia będziemy mieć jeszcze okazję do rozmowy. - Ująwszy dłonie Ally, cmoknął ją w policzek i odszedł.

Patrzyła jego śladem, gdy ktoś dotknął jej ramienia. Była to lady Lawinia.

- Mark jest wspaniałym i szlachetnym mężczyzną - oznajmiła. - Będziecie mieli niezwykle dzieci.

Andrew Harrington, który właśnie znalazł się obok, wybuchnął śmiechem.

- Wielkie nieba, Winiu. Zdarza się, że najwspanialszy ludzki płódz kreatury.

- Mówisz okropności, Andrew - odparła Lawinia.

- Ale prawdziwe. - Harrington szelmowsko się uśmiechnął i ujął Ally za rękę. - Niech mi pani wybaczy, przemawia przeze mnie zawiść. Sam chętnie starałbym się o pani rękę. To nieuczciwe, że lord Stirling przez tyle lat panią ukrywał, aż w końcu pozwolił nam zerknąć na taką piękność tylko po to, aby obwieścić jej zaręczyny.

- Bardzo jest pan uprzejmy - bąknęła Ally.

W pobliżu spostrzegła Thane'a Griera, pracownika wypełniającego notatnik zapiskami.

- Nie ma w tym cienia uprzejmości, to zwykła zazdrość - oznajmił Andrew. - No cóż, zobaczymy, co się zdarzy, czyż nie? Ja w każdym razie mam pośledni tytuł, a pani ma poślubić przyszłego hrabiego.

- Moim najgłębszym pragnieniem jest stać się kimś cenionym i zostawić swój ślad na ziemi dzięki własnym osiągnięciom, a nie z uwagi na tytuł lub czyjaś godność - oznajmiła poważnie Ally.

Thane Grier, który tymczasem schował notatnik, włączył się do rozmowy.

- Czy to znaczy, że skromny człowiek, niemający prawa nawet to tytułu „sir”, mógłby mieć u pani szansę?

- Mógłby - odparła ostro Lawinia - ale panna Grayson jest oficjalnie zaręczona z Markiem Farrow.

- Zaręczyny nie są tym samym, co ślub - zauważył Thane.

Ally spostrzegła, że jest ładnie zbudowany i ma regularne rysy twarzy, a jego uśmiech wydaje się szczery. Andrew Harrington z włosami w kolorze pszenicy, zielonymi oczami, godną postawą i wspaniale skrojonym strojem również wywierał niemałe wrażenie. A jednak żaden z nich nie mógł równać się ze zbrojcą... Złapała się na tej myśli i drgnęła, żywo nią zaniepokojona.

- Dobrze się czujesz, moja droga? - spytała Lawinia.

- Owszem, całkiem nieźle - odrzekła szybko.

- Wielkie nieba, chyba nie przestraszyła pani klątwa tej opętanej kobiety?

- spytał Andrew.

- Panna Grayson jest stanowczo zbyt trzeźwo myślącą i praktyczną młodą osobą, aby zachować się tak niemądrze - powiedział Thane, przyglądając się Ally z widoczną fascynacją.

Kiedy tak stali, podszedł do nich Shelby.

- Bardzo przepraszam - zwrócił się do obecnych z wyraźną atencją. - Lord Stirling wyraził sugestię, abym odwiózł panią do domu, panno Grayson. Obawia się, że ciotki zaczną się martwić.

- Tak, to prawda. Dobranoc - powiedziała, skłoniwszy głowę przed Thane'em, Andrew i Lawinią.

- Dobranoc, z Bogiem! - zawołał za nią Thane.

- Lady Camille powiedziała, że pani odmówiła przenocowania, kiedy planowano przyjęcie, i wyraziła stanowczo chęć powrotu do ciotek. Naturalnie jednak może pani zostać, póki czeka - poinformował Ally Shelby.

- Bardzo dziękuję za troskę i za odwiezienie. Kiedy ciotki zdecydowanie odmówiły udziału w przyjęciu, od razu wiedziałam, że muszę do nich wrócić - zapewniła go Ally.

Nie było łatwo wyjść. Wielu gości tłoczyło się jeszcze na schodach, czekając na powozy. Sir Angus przekazał jej gratulacje. Zatrzymał ją również wyglądający na bardzo zmęczonego i starego lord Lionel Wittburg, aby życzyć zdrowia, szczęścia i długiego życia.

Gdy w końcu Shelby pomógł Ally zająć miejsce w powozie, ozdobionym herbem lorda Stirlinga, zauważyła, że inny człowiek Briana, jeden z najroślejszych, który często strzegł bramy, siedzi już na koźle. Lord Stirling niewątpliwie bardzo pilnował, aby jego powozu po raz drugi nie zatrzymano.

Gdy Shelby ujął wodze w dłonie, Ally zerknęła przez okno powozu na zamek. Miała wrażenie, że przeżywa déjà vu. Dziennikarz Thane Grier stał oddalony o kilka jardów od zgromadzonej przy wyjściu grupy ludzi. Był tu sir Angus Cunningham, Andrew Harrington i lord Lionel Wittburg. Światło płynące przez prostokąt drzwi obejmowało właśnie tych trzech mężczyzn, dookoła nich układały się cienie. Ally wydało się, że widzi kobietę w czerni.

Otrząsnęła się. Uznała, że ma przywidzenia. Eleanor Brandon na pewno została położona do łóżka. Teraz powinna już mieć w sobie mnóstwo brandy, a gdyby znów zrobiła się niespokojna i wpadła w histerię, Brian Stirling z pewnością wezwałby lekarza.

Ally oparła się wygodnie, ale po chwili znów wyjrzała przez okno.

W mroku stała kobieta w czerni.

Mark nalał Ianowi whisky, którą detektyw przyjął z podziękowaniem, po czym przełknął ją jednym haustem. Mark z uśmiechem dolał mu do pełna.

- Prawda wyjdzie na jaw - zapewnił przyjaciela.

Ian ponownie wziął szklaneczkę, podszedł do zgrabnej leżanki w salonie, przysiadł na krawędzi i zaczął kołysać naczynie w dłoniach.

- Obawiam się, że nie na drodze prawnej - powiedział.

- Jakkolwiek się to zdarzy, poznamy prawdę - stwierdził z determinacją Mark.

Ian zmierzył go chłodnym spojrzeniem.

- A jeśli cię złapią? - spytał.

- Nie złapią. Będę musiał szybciej się przemieszczać. - Mark upił łyk whisky. - Trzy morderstwa, wszystkie jednakowe. Brak śladów włamania. Zupełnie jakby zabijał ich duch. W każdym przypadku morderca musiał mieć klucze, dostarczone przez kogoś z domowników lub im skradzione. Przyjdę, kiedy będziesz ponownie przesłuchiwał gospodynię. - Zawahał się. - Ian, sądzę, że morderca jest antymonarchistą. On lub ona, dla prostoty semantycznej zostanmy przy wersji z „on”, uważa, że zabijanie własnych sprzymierzeńców jest najlepszym sposobem na doprowadzenie do obalenia rządu.

Zanim Ian zdążył odpowiedzieć, z frontowej części domu dobiegł odgłos otwieranych, a następnie zamykanych drzwi.

Joseph Farrow powierzył płaszcz czekającemu na to Jeeterowi, podziękował służącemu i wszedł do pokoju. Nie wydawał się ani trochę zaskoczony widokiem Marka i Iana.

- I co? - spytał Joseph, zorientował się jednak, że uchybił zasadom. - Proszę mi wybaczyć. Witam, detektywie Douglas. Mam nadzieję, że mój syn dobrze wywiązał się z funkcji gospodarza.

- Naturalnie - powiedział nieco onieśmielony detektyw.

- Mamy kilka teorii, ojcze - oświadczył Mark i rozwinął temat.

- To wyjątkowo śmiało - przyznał Joseph. - Dlaczego antymonarchista miałby zabijać swoich?

- Potrzebuje męczenników idei, aby przerzucić winę na monarchię - wyjaśnił Mark.

Joseph nalał sobie whisky i zaczął chodzić po pokoju.

- Byli już tacy, którzy próbowali obarczyć monarchię winą za zbrodnie Kuby Rozpruwacza - przypomniał, kręcąc głową. - To śmieszne. Królowa nie poniosła uszczerbku. Nie ujdzie im to na sucho.

- Nie, ojcze, z pewnością nie - zapewnił Mark.

- Więc...

Ian spojrział z pewnym zakłopotaniem na Marka, a potem przeniósł wzrok na jego ojca.

- Lordzie Farrow, jestem przekonany, że zbrodni dokonuje człowiek dość zamożny. Moim zdaniem, udaje mu się uciec tak łatwo jedynie dlatego, że za każdym razem, kiedy popełnia swe haniebne czyny, czeka na niego powóz.

- Detektywie Douglas, myślę, że może pan mieć rację.

- Musimy podążać za wszystkimi tropami, póki nie znajdziemy właściwego - dodał Mark.

Ian Douglas odstawił szklaneczkę na palisandrowy stolik.

- Dziękuję za gościnę, pójdę już.

- Dziękuję, detektywie, za pomoc - powiedział Joseph.

- To mój obowiązek - stwierdził skromnie Ian.

Nadszedł Jeeter, gotów odprowadzić gościa do drzwi wyjściowych.

Zostawszy tylko z synem, Joseph Farrow spojrział na niego z uwagą.

- Nie spytałeś jeszcze o bal zaręczynowy.

- Przepraszam. Niewątpliwie był nadzwyczaj elegancki.

- Aleksandra Grayson to urocza osoba, a dodam, że również wytworna - stwierdził Joseph.

- Wiem.

- Naturalnie, przecież zdarzyło jej się spotkać zbrojce.
- Ojczy, nie wiedziałem, kto jedzie powozem.
- Panny Grayson raczej nie oczarował narzeczoną, któremu nie udało się pojawić na zaręczynach.

- Nic na to nie mogłem poradzić.
- Myślę, że powinniśmy dążyć do jak najszybszego sfinalizowania tego małżeństwa.

- Co takiego? - spytał Mark, zdumiony.
- Inaczej ją stracisz - wyjaśnił Joseph.
- Ojczy, opowiedziałeś mi o przysiędze, jaka związała cię z lordem Stirlingiem, a chociaż wiesz, że cały ten pomysł wydaje mi się archaiczny i śmieszny, to uszanuję go z uwagi na ciebie. Nie mogę jednak stracić kobiety, która jest moja wyłącznie wskutek machinacji osób trzecich.

- Obawiam się, że w przyszłości życie panny Grayson może znaleźć się w niebezpieczeństwie - zauważył lord Farrow. - Chociaż jeszcze jej nie poznałeś, nie muszę cię chyba przekonywać, jaka tragedia stałaby się, gdybyśmy ją stracili.

- Ojczy, dlaczego...
- Nie mogę ci powiedzieć. Musisz mi uwierzyć.
- Ojczy...
- Dziś wieczorem dowiedziałem się czegoś od Angusa Cunninghama. Słyszałeś o lady Rowennie, córce lorda Carnarenfew?

- Tak. Ma ziemię i dwór za zachodnim lasem.
- Omal jej wczoraj nie zabito.
- Jak?
- Ktoś strzelił w kierunku jej domu, a pocisk wpadł do wnętrza. Mark pokręcił głową.
- Może jakiś niefortunny myśliwy wystrzelił omyłkowo.

- Wydaje mi się, że próbowano ją zabić. Powszechnie wiadomo, że jest wnuczką z nieprawego łoża wuja królowej.

- Zupełnie nie rozumiem...

- Panna Grayson mieszka w domku w lesie. Oprócz niej są tam tylko trzy ciotki, nie ma nawet psa.

- Zgodziłem się ją poślubić, ojcze.

- Jak najszybciej - powiedział Joseph. - Jeśli nie jesteś ślepy, to rozumiesz chyba, że nie będzie to przykry obowiązek.

- Ojcze, dlaczego nigdy ponownie się nie ożeniłeś? - spytał Mark.

- Słucham? - Joseph zmarszczył czoło. - Wciąż ją kocham, synu. Żadna inna kobieta nie będzie moją żoną.

- Byłoby ładnie, gdyby i mnie pozwolono doznać takiego uczucia - powiedział Mark.

- Przykro mi, synu. Ta sytuacja jest zbyt poważna, aby kierować się wyłącznie uczuciami. Modłę się tylko, aby do ślubu doszło szybko i panna Grayson była wreszcie bezpieczna. Któregoś dnia zostaniesz hrabią, a jednak zdecydowałeś się podjąć tajnej misji w służbie królowej, wcielasz się w detektywa, ryzykujesz życie...

- Ojcze, ty służyłeś w wojsku.

- Tak, i przeżyłem, dzięki Bogu. Jeśli zamierzasz dalej nadstawiać karku, to chciałbym przynajmniej doczekać się wnuka.

- Wyraziłeś się dość bezceremonialnie. Dopilnuję, żeby pannie Grayson nic się nie stało. Czy jednak nie rozumiesz, ojcze? Im prędzej rozwiążemy zagadkę tych okropnych zbrodni, tym szybciej wszyscy będą bezpieczni. Jutro rano szczegóły śmierci Gilesa Brandona zostaną opisane ze wszystkimi krwawymi detalami w gazetach, a obok pojawi się jego ostatni artykuł. Oby znalazł się ktoś zręcznie władający piórem, kto wystąpi z sugestią, że to antymonarchiści kryją się za tymi morderstwami.

- Mark, wybacz mi. Jestem z ciebie dumny. Wychowywałem cię tak, żebyś był samodzielnym człowiekiem. Nie zniósłbym, gdybym miał cię stracić... to wszystko.

- Nie stracisz, ojczy - zapewnił go Mark. Joseph ruszył schodami na górę. Zegar nad kominkiem zaczął wybijać godzinę. Był ranek.

Do pokoju wszedł służący.

- Sir... mam pierwsze wydanie gazety.

- Dziękuję, Jeeter.

Mark wziął od niego papierową płachtę pachnącą świeżą farbą drukarską.

Tak jak oczekiwał, nagłówek ogłaszał morderstwo Gilesa Brandona. W połowie pierwszej strony na prawej kolumnie znajdował się ostatni artykuł ofiary. Natomiast na lewej kolumnie opublikowano inny artykuł. Jego początkowe wersy również były w oczy.

Czy monarchia ponosi winę? A może jest to działanie fanatyka, antymonarchisty, uciekającego się do zbrodni popełnianych na swoich przyjaciółach i towarzyszach, aby obalić monarchię i urzeczywistnić zmianę rządu?

Mark otworzył usta ze zdumienia. Przecież dopiero co powiedział, że potrzebują kogoś z takim piórem, i oto... Przeczytał cały artykuł. Był znakomity, wyłuszczał wszystkie powody, dla których należało uważać za mało prawdopodobne, aby królowa lub ktoś z jej otoczenia był zamieszany w sprawę morderstw. Autor wypunktował również powody, świadczące o tym, że za zbrodniami może stać niezrównoważony fanatyk. Mark szybko spojrzął na podpis: *A. Anonim*

Dobrze, że autor posłużył się pseudonimem. Gdyby jego nazwisko trafiło do wiadomości publicznej, A. Anonim wkrótce byłby zagrożony śmiercią z rąk krwawego mordercy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Idę na mały spacer po lesie i biorę szkicownik, tak samo jak robiłam to już tysiące razy - powiedziała Ally, przenosząc wzrok z jednej wyrażającej panikę twarzy na inną. Uśmiechnęła się i pokręciła głową. - Co z wami się dzieje, kochane?

Violet, wysoka i bardzo szczupła, splotła przed sobą ręce.

- Te wszystkie tysiące razy były, zanim porwał cię zbójca. - Violet zerknęła na Merry, Merry na Edith, a potem wszystkie trzy zgodnie spojrzały na Ally.

Uświadomiła sobie, że w dniach, które nastąpiły po balu, ciotki wynajdywały jej zaskakująco wiele zajęć. W niedzielę poszły we cztery do kościoła, potem ciotki zaprosiły proboszcza na obiad. W poniedziałek Violet potrzebowała pomocy przy szyciu sukni. We wtorek Merry chciała, żeby Ally pomogła w ogrodzie. W środę Edith znalazła jej pracę w kuchni. Zawsze znalazło się coś do roboty, aż nadeszła sobota.

- Czy chodzi o zbójcę? Dajcie spokój! To dlatego nieustannie wynajdujecie mi coś do zrobienia? Żebym nie wychodziła z domu? Przecież on już dawno uciekł nie wiadomo dokąd. Od czasu napadu minął tydzień.

- I od zaręczyn - dodała z rozmarzoną miną Merry. - Wciąż pamiętam, jak pięknie wyglądałaś, wracając do domu. Mogłabyś uchodzić za księżniczkę.

- Nie, moja miła, tylko nie za księżniczkę - sprzeciwiła się Ally, ale Merry już wirowała po izbie z wyimaginowanym partnerem w takt równie wyimaginowanego walca. Ally nie mogła się nie uśmiechnąć. Uwielbiała wszystkie ciotki, Violet, najsurowszą z tej trójki, Merry o wciąż młodzieńczym usposobieniu i Edith, która łączyła charakter obu i czasem weseliła się jak Merry, a czasem niezłomnie wspierała Violet w jej znacznie bardziej zasadniczych poglądach. Czekały na powrót Ally przed domkiem, nie mogły

jednak ustać w miejscu i niemal fruwały niczym trzy wyrośnięte wróżki, domagając się przy tym szczegółowej relacji.

Ally rozpływała się w podziękowaniach za suknię. Ciotki upierały się, że wszystko było dziełem Maggie, ale widziała radość w ich oczach, gdy opowiadała, jak wiele komplementów zebrała jej kreacja. Opisała też kolację, tańce... a także obwieszczenie, które wprawiło ją w osłupienie. Opuściła epizod związany z żoną Gilesa Brandona, jej histerycznymi wrzaskami i kłutwą. Gdy ciotki domagały się dalszych informacji, dodała kolejną ich garść, w końcu jednak stwierdziła stanowczo:

- Wystarczy. To było uroczne przyjęcie, z jednym małym wyjątkiem.

- To znaczy? - spytała zaintrygowana Violet.

- Was tam nie było. Postanowiłam ostatniego wieczoru, że już nie wybiorę się bez was na żadne przyjęcie ani bal, bez względu na to, jaką szczodrość okażą moi przybrani rodzice.

- Ojej, tak nie można! - zaprotestowała Violet.

- My... my źle czujemy się podczas przyjęć - wyjąkała Merry.

- Wobec tego ja też z nich rezygnuję - oświadczyła Ally. - Jeśli odważycie się wspomnieć, że w przeciwieństwie do mnie nie należycie do towarzystwa, to nigdy więcej nie pojedę do zamku! Uwielbiam moich przybranych rodziców, są wspaniałymi ludźmi i spotkało mnie wielkie szczęście w życiu, że zostałam przez nich otoczona opieką. Jednak moje rodzicielki to wy. Rozumiemy się?

Ciotki popatrzyły po sobie.

- Naturalnie, moja droga - powiedziały jednocześnie.

- Proszę, bądźcie miłe, idę tylko na spacer po lesie.

- Naprawdę nie możesz - oznajmiła Violet.

- Jesteś teraz zaręczona - wsparła ją Merry.

- Zaręczona - powtórzyła Ally. Pierścionełk niezaprzeczalnie tkwił na jej palcu. - Lecz nie poślubiona - dodała.

- Cóż to ma znaczyć? - Merry skierowała to pytanie do Violet.

- Nie ma co, ślub też niedługo się odbędzie - stwierdziła Violet i zmierzyła wzrokiem Ally. - Zamierzasz wziąć ślub, prawda?

- Ona po prostu musi wziąć ślub! - wykrzyknęła Edith, po czym wyraźnie strapiona popatrzyła po swoich towarzyszkach.

- Ally - zapytała Violet - co miałaś na myśli, mówiąc, że jeszcze nie jesteś poślubiona?

- To znaczy, że idę sama na spacer do lasu - odparła Ally z szerokim uśmiechem. - Bardzo was kocham - dodała i uściskała każdą ciotkę z osobna.

Wyszła, zanim zdążyły ją powstrzymać. Pobiegła prowadzącą od drzwi ścieżką. Zatrzymała się dopiero jakieś sto jardów dalej. Uśmiechnęła się, przekonana o darze losu, jaki otrzymała, mając za najbliższe osoby ciotki, a następnie ruszyła krętą drogą wśród starych dębów. Potem zboczyła na swoją ulubioną, dobrze wydeptaną ścieżkę nad bulgoczący w lesie strumień. Przy jednym z najstarszych i najbardziej masywnych dębów, stojących nad samą wodą, z ziemi wyrastała płaska skała, na której Ally nieraz siadywała. Mogła wtedy zdjąć trzewiki i pończochy i mocząc stopy, czytać lub szkicować.

Ciekawa była, co ukazało się tego dnia w gazecie, ale ciotki dostawały prasę dopiero późnym popołudniem, więc miała jeszcze czas. Tymczasem usiadłszy w zwykłym miejscu na skale, rozłożyła na kolanach szkicownik i rozpoczęła rytuał moczenia nóg. Sprawdziła najpierw dużym palcem, czy woda nie jest za zimna, a potem oparła plecy o pień dębu i poprawiła ułożenie szkicownika.

Na chwilę zamknęła oczy, aby przywołać wyobrażenia, które chciała utrwalić na papierze.

Najpierw osadę. Ta scena wydawała jej się najważniejsza. Ludzie zgromadzeni na placu, krzyki: Precz z monarchią! Oczami wyobraźni widziała szybko przesuujące się obrazy. Thane Grier, obserwujący z boku zdarzenia w niedbalej pozie. Sir Angus Cunningham, usiłujący uspokoić tłum, i krzycząca kobieta, odziana na czarno, z twarzą ukrytą za siatką woalki. Lord

Wittburg u boku sir Angusa, a także sir Andrew Harrington. Uspokojona ciżba wreszcie zaczyna rzędnąć, a Shelby rusza naprzód.

A potem... zbójca.

- Marzy pani o mnie?

Niespodziewane pytanie zadane niskim, pełnym rozbawienia głosem w środku lasu, gdzie nie powinno rozbrzmiewać nic oprócz szmeru strumienia i śpiewu ptaków, tak bardzo zaskoczyło Ally, że podskoczyła i omal nie spadła ze skały. W każdym razie szkicownik wysunął jej się z rąk, a ołówek potoczył w stronę strumienia i zatrzymał przy samej krawędzi.

- To pan?!

To naprawdę był on, ubrany tak samo jak wtedy, gdy zatrzymał powóz: czarne spodnie do konnej jazdy, koszula, jaką noszą poeci, buty z cholewami do kolan i czarna, jedwabna maska na twarzy. Stopę oparł na skale, łokieć na kolanie i stał tak nad nią.

- Owszem, ja - odrzekł.

Podniósł ołówek i odłożył go wraz ze szkicownikiem w bezpieczne miejsce, po czym usiadł na skale obok Ally.

Stwierdziła, że zbójca jest sam i nie ma złych zamiarów. Najwyraźniej przyszedł specjalnie do niej. Mimo woli zaczęła się zastanawiać, czy należy to do jego zbójceckich obyczajów.

- Czy to jest prywatna skała? - spytał.

- Właśnie.

- Czy wobec tego ta ziemia należy do pani?

- Nie. Do lorda Stirlinga.

- Czyli oboje weszliśmy bezprawnie na cudzy teren.

- Niech pan nie będzie śmieszny. Jestem w jego włościach gościem, w dodatku mile widzianym. Pan natomiast...

Roześmiał się bez troski i oparł o pień dębu.

- W istocie ta ziemia wcale nie należy do lorda Stirlinga - powiedział.

- O, czyżby? Wskazał na ścieżkę.

- Tylko do tamtego miejsca. A tu, gdzie siedzimy teraz... jeśli się nie mylę, grunt należy do lorda Farrow.

- Wydaje mi się, że lord Farrow również ucieszyłby się z mojej wizyty i bez zastrzeżeń pozwolił tutaj posiedzieć, natomiast pana z pewnością wyrzuciłby bez pardonu, a właściwie niezwłocznie kazał aresztować.

- To całkiem możliwe.

Wciąż wydawał się czymś bardzo rozbawiony.

Zwróciła uwagę na jego oczy. Szaroniebieskie, zmieniające odcień od bardzo jasnego po niemal granatowy, gdy znajdowały się w głębokim cieniu.

- Nie pojmuję, czego właściwie pan tu szuka. Jak widać, nie mam przy sobie niczego kosztownego oprócz szkicownika. Czy pan przypadkiem nie powinien być w tej chwili na jakimś trakcie i rabować kosztowności należących do niewinnych ludzi?

- Droga panno Grayson, proszę nawet nie próbować sobie wmawiać, że napadam jedynie na niewinnych - powiedział. - Poza tym bardzo mi się tutaj podoba. Ciężko pracujący zbójca też zasługuje na odpoczynek.

- Nie na mojej skale.

- Ustaliliśmy już, że skała nie należy ani do pani, ani do mnie.

Wiedziała, że powinna wstać i odejść. Zerknął na nią i przeciągnął się leniwie.

- Rozumiem, że należą się pani gratulacje.

- Skąd pan wie? - spytała ostro.

- Umiem czytać.

- To godne pochwały. Z pewnością powinien pan wobec tego znaleźć zatrudnienie.

Wzruszył ramionami i przeniósł wzrok na płynącą wodę.

- Dużo było na pani temat, panno Grayson, cała druga strona gazety. Jest pani zaraz po doniesieniach o morderstwie, artykule odsądzającym królową od

czci i wiary, i drugim, który jej broni. Ten drugi jest znakomity - dodał zadumany tonem. - Wiadomość o pani zaręczynach znalazła się przed wiadomością o zatrzymaniu pani przez zbójcę. To smutne, ale prawdziwe.

„Ten drugi jest znakomity”. Jak to możliwe, że komplement usłyszany z ust zbrojcy zrobił na niej takie wrażenie?

- Czyli wkrótce zostanie pani lady Farrow. Nie odpowiedziała.

- Spieszno pani do wejścia w rolę hrabiny? - spytał oschle.

- Czy w gazecie napisano również, że narzeczonego nie stawił się na uroczystość?

- Owszem. Gburowate zachowanie, nie sądzi pani?

- Prawdę mówiąc, nie ma to dla mnie najmniejszego znaczenia.

- Czy on panią zranił?

- Jak, u diabła, mógł mnie zranić ktoś, kogo nie znam? Nawet nie wiedziałam o tych zaręczynach, póki nie zostały ogłoszone.

- Brian i Camille nie powiedzieli pani? - spytał wyraźnie zdziwiony.

- Brian? Camille? Co za poufałość!

- Bardzo przepraszam. Proszę pozwolić, że się poprawię. Czy to możliwe, że ani lord Stirling, ani lady Camille nie poinformowali pani o czekającym ją losie?

Ally się roześmiała.

- O moim losie?

- A jak to nazwać?

Wbiła wzrok w wodę, nie zamierzała bowiem dzielić się swymi odczuciami z wyrzutkiem społeczeństwa, nawet najbardziej uroczym.

- Los gotujemy sobie sami, czyż nie? - odezwała się cicho.

- A więc nie powiedzieli.

- Czy to naprawdę pana obchodzi? - spytała zdziwiona Ally.

Uświadomiła sobie nagle, że ich ramiona się stykają, a chociaż powinna już dawno wyostrzyć czujność, a najlepiej się oddalić, to zaistniała sytuacja

całkiem jej się podobała. Nawet więcej, wydawała jej się ekscytująca. Przyjemnie było toczyć z nim spór, a i jego bliskość nie budziła w niej najmniejszego sprzeciwu. Jak na wyrzutka społeczeństwa, roztaczał miły zapach. Najwyraźniej rzemiosło, które uprawiał, nie przeszkadzało mu kapać się ani utrzymywać w czystości odzieży.

- Jestem badaczem ludzkiej natury, i to bardzo zapalonym - odrzekł.

- To był zupełnie wyjątkowy wieczór - wyjaśniła Ally. - Na pewno powiedzieliby mi o wszystkim wcześniej, gdyby nie pan. - Ze złością szturchnęła go pięścią w ramię.

- Mnie tam nie było! - zaprotestował, masując uderzone miejsce.

- Kiedy dotarliśmy do zamku, Shelby szalał z niepokoju, więc i Brian zachował się podobnie, wyjechał z zamku i doprawdy miał pan szczęście, że nie został wtedy ujęty. Lepiej jednak niech pan pamięta, że lord Stirling wciąż może pana odnaleźć.

- Proszę mi wierzyć, że nie ważyłbym się lekceważyć hrabiego Carlyle - odrzekł dość niefrasobliwym tonem.

- Z pewnością nie warto.

- Czuję się ostrzeżony. A więc nikt pani wcześniej nie powiedział?

- Nie. Potem musiałam przygotować się do przyjęcia, porozmawiać w kuchni z inspektorem Turnerem, no i wreszcie zaczęli schodzić się goście. Kiedy ogłaszano zaręczyny, hrabia Warren, który sprawia wrażenie bardzo przyzwoitego człowieka, mógł zobaczyć, jak jego potencjalna synowa stoi z otwartymi ustami i ma minę, jakby była niespełna rozumu.

- Nie wydaje się pani zachwycona perspektywą małżeństwa.

- Bo nie jestem.

- Większość młodych kobiet na pani miejscu byłaby bardzo rozemocjonowana szansą na zostanie hrabiną.

Lekceważąco machnęła ręką.

- To nie pańska sprawa.

Ku zaskoczeniu Ally, chwycił ją za rękę. Zapomniała, że na palcu ma pierścionek, ale nie zgłosiła nawet słowa sprzeciwu, kiedy z uwagą zaczął oglądać klejnot.

- Ładny - przyznał.

Raptownie cofnęła ramię i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że jej twarz płonie intensywnym rumieńcem.

- Jeśli pan pozwoli, nie będę o tym rozmawiać z przestępcą.

- Słyszałem, że istnieje zawarte wiele lat temu tajne porozumienie między lordem Stirlingiem a lordem Farrow - powiedział, ignorując uwagę Ally.

- Musi pan?

- Przez te wszystkie lata wychowywano panią na ideał hrabiny. Śpiewa jak skowronek, tańczy jak anioł i tak dalej.

- Może taniec nie byłby nawet dla pana takim złym zajęciem. Na pewno lepszym niż rabowanie powozów.

- Co skłania panią do przypuszczenia, że nie umiem tańczyć, panno Grayson?

Sprężystym ruchem zeskoczył ze skały. Stał przed nią i z galanterią się skłonił. Nie mogła się nie roześmiać.

- Jestem niebezpiecznym przestępcą. Nie powinna pani ze mnie się śmiać.

- Gdybym widziała w panu zagrożenie, dawno by mnie tutaj nie było.

- Rozumiem. Czy więc wydaję się pani zabawny? - Ujął ją za rękę i zmusił do wstania.

Nagle Ally znalazła się bardzo blisko niego i przemknęło jej przez myśl, że chyba postradała zmysły. Ale ten człowiek nie jest niebezpieczny, w każdym razie nie dla niej. Wiedziała to na pewno.

- Jest pan całkiem zajmujący - oświadczyła.

- To proszę ze mną zatańczyć.

- Nie ma muzyki.

- Proszę zanucić.

- Niech pan nie żartuje.
- Niech będzie, wobec tego ja zanucę.

Całkiem znośnie zaczął podśpiewywać wiedeńskiego walca i zanim się zorientowała, wirowali po okolicznym zagajniku. Czują dotyk męskiego ciała i odniosła wrażenie, że jeszcze nigdy nie była w takiej harmonii z partnerem, z każdym jego ruchem. Prowadził ją zdecydowanie, choć nie delikatnie. Tańczyć z przestępcą w środku lasu - to było coś zupełnie niedorzecznego.

Nagle Ally przestraszyła się tego, co robi. Wcale nie była pewna, czy może zgodzić się na małżeństwo, jeśli chce urzeczywistnić własne marzenia, ale tym zachowaniem bez wątpienia przynosiła hańbę opiekunom. Śmiech zamarł jej na ustach. Zatrzymała się i odsunęła. To naprawdę była niedorzeczność. Powinna się wstydzić.

- Nie mogę tego robić - powiedziała cicho.
- Nie może pani tańczyć w lesie? Och, słusznie. Jest pani zaręczona.
- Nie mam żadnych zobowiązań wobec syna lorda Farrow.
- Nie?
- Nawet go nie znam.
- Aha.
- Pan jest przestępcą - przypomniała.
- Ale za to mam gazetę.

Natychmiast zapomniała o wszystkim innym.

- Gdzie? Zawahał się.
- Zaraz przyniosę.

Znikł na jednej ze ścieżek, a ona czekała niepewna, co się wydarzy. Zapewne gdzieś blisko musiał ukryć konia, bo chwilę później wrócił z gazetą, którą mu niecierpliwie wyrwała.

W niedzielę ukazał się pierwszy artykuł A. Anonima. Obecne wydanie gazety otwierał tekst poświęcony morderstwu Gilesa Brandona i jego ostatniej opinii. Dalej zaś pojawiała się obrona monarchii pióra A. Anonima.

Dziś A. Anonim wrócił na łamy gazety, na jej pierwszą stronę. Ally szybko przeczytała jego przypomnienie, że antymonarchiści mogą być odpowiedzialni za ostatnie morderstwa, niestety, jeszcze niewyjaśnione. Potem przewróciła stronę i zauważyła następną wzmiankę o swoim planowanym małżeństwie. Dalej zamieszczono artykuł o zbójcy. W ciągu ostatniego tygodnia napadł on na kilka powozów, ale zamiast wywołać tym wściekłość, jedynie oczarował starszą damę z towarzystwa. Ally z zachwytem przeczytała, że zrabowany pierścionek trafił w tajemniczy sposób do Stowarzyszenia Kobiet Wiktoriańskich na rzecz Poprawy Naszych Sióstr. Dama zapłaciła za niego okup i w ten sposób sfinansowała jeden bezpłatny posiłek dla biednych na dziedzińcu kościoła.

- Ale pani jest szybka - zauważył zbójca, widząc, jak Ally kartkuje dziennik.

Zerknęła na niego kątem oka.

- Rzadko bawiłam się z innymi dziećmi, więc moimi towarzyszami były najczęściej książki i gazety - wyjaśniła. - Nawiasem mówiąc, pan jest nazbyt skromny. Pańskie wyczyny zyskują na popularności.

Ta dama nie mówi tego wprost, ale w jej słowach wyraźnie słyhać prośbę o to, aby znowu ją zatrzymał.

Ally nie zauważyła, kiedy ponownie usiadł obok niej na skale. Wydawało się to całkiem naturalne. Wsparci o siebie ramionami, wspólnie zaczęli przeglądać gazetę. Znow owionął ją jego zapach i wtedy pod wpływem nagłego przeblysku rozsądku nieco się odsunęła.

- A. Anonim - mruknął pod nosem zbójca. - Już jest martwy.

- Jak to? Zdawało mi się, że jest pan bandytą, ale lojalnym wobec królowej.

- Tożsamość A. Anonima zostanie odkryta. Kiedy to się stanie, antymonarchiści umieszczą go na liście pożądanых ofiar.

- Uważam, że ten człowiek ma święte prawo głosić swoje poglądy. Pan twierdzi, że mimo przestępczej działalności jest człowiekiem królowej, więc chyba mu przyklaskuje.

- Mówię, że powinien dobrze pilnować tajności swojego imienia i nazwiska albo dla własnego dobra zaprzestać pisania.

- Może nie chce tego zrobić, bo uważa, że publikowanie takich artykułów jest konieczne, mimo że życzy sobie pozostać anonimowy.

- Gazeta płaci za teksty - zwrócił uwagę zbójca.

- Jeżeli A. Anonim jest sprytny i każe sobie płacić za pośrednictwem poczty?

- A czy nie sądzi pani, że morderca to wie? Znajdzie sposób na poznanie prawdy. Może, na przykład, zdobyć dostęp do teczek w redakcji, odkryć, dokąd są wysyłane czeki, i wtedy pozostanie już tylko spokojnie czekać na okazję.

Ally przeszył zimny dreszcz, co nie uszło uwagi zbójcy.

- Zimno pani? Mam pelerynę w jukach.

- Nie, dziękuję, tu jest moja narzutka. - Wskazała miejsce, gdzie okrycie upadło na ziemię. Zbójca zwinnie zsunął się z kamienia, podniósł narzutkę i okrył jej ramiona. Ten moment bliskości wydał się Ally niesłychanie przyjemny. Natychmiast więc się odsunęła.

- Wspomniał pan o niebezpieczeństwie grożącym A. Anonimowi, ale co z panem? Przecież pana ktoś w końcu zabije.

- Umiem o siebie zadbać.

- Przestępcy, którzy uparcie kroczą drogą występku, w końcu zostają unieszkodliwieni.

- Przynajmniej nie jestem pospolitym przestępcą. Znam etykietę.

- To prawda. Dlatego nie widzę usprawiedliwienia dla wybranego przez pana powołania.

Ally odwróciła się i poszła zabrać pończochy oraz trzewiki.

- Niech pani jeszcze nie idzie - poprosił zbójca.

- Muszę. Proszę tu nie przychodzić. Ostrzegałam pana przed Brianem Stirlingiem. To niebezpieczny człowiek.

- Może pani w to nie uwierzy, ale ja też.

- On jest hrabią Carlyle.

- A ja złodziejem.

- Nie mogę być tutaj dłużej - stwierdziła stanowczo Ally. Obawiała się dalszego spoufalania ze zbrojną. - Muszę iść.

- Chwileczkę! - zawołał. Wbrew rozsądkowi zawahała się.

Podszedł do drzewa, przy którym stała Ally, oparł się o pień i pochylił ku niej. W jego oczach pojawił się nagle wyraz powagi.

- Muszę przyznać, że mam pasję zrodzoną z czystej potrzeby i że lubię być wyrzutkiem społeczeństwa. Gdybym nie był przestępcą, panno Grayson, to czy byłaby pani skłonna zaoferować mi choćby maleńkie miejsce w swoim życiu?

- W moim życiu?

- Idziemy przecież do przodu, zostawiamy wieki ciemnoty za sobą - odrzekł zadumanym tonem. - Czy pozwoliłaby mi pani od czasu do czasu złożyć jej wizytę?

- Niestety. Przecież jest pan przestępcą, a ja cudzą narzeczoną.

- Może jednak udałoby się pani skłonić mnie do pokuty za grzechy?

- Pan drażni się ze mną, obawiam się, że nie mogę podjąć tej gry.

Chcąc go wyminąć, położyła mu rękę na torsie, była to jednak tylko chwila. Desperackie pragnienie ucieczki pchało ją ku domowi. Zbrojca patrzył za nią, pragnąc, aby wróciła, jednocześnie zły, że została z nim tak długo. Poniewczasie zorientował się, że panna Grayson uciekła z gazetą. Taki drobiazg, a może sprawić tyle przyjemności. Zauważył też, że na skale wciąż leży jej szkicownik.

Powinien zostawić go w tym samym miejscu. Panna Grayson na pewno po niego wróci. Gdyby jednak spadł deszcz... Jeśli zaś weźmie szkicownik,

będzie mógł go zwrócić właścicielce, naturalnie w przebraniu zbójcy. Zabrał więc albumik i skierował się do miejsca, gdzie zostawił konia.

Mark nie bardzo wiedział, co właściwie sądzić o spotkaniu z Aleksandrą Grayson. Z pewnością nie powinna była tak przychylnie odnosić się do przestępcy spotkanego w lesie, a już na pewno nie jako narzeczona innego mężczyzny. Mimo to...

Zafascynowały go jej złotawobrazowe włosy, radośnie lśniące oczy i zapał, z jakim zabrała się do czytania gazety. Nawet wywody młodej panny zrobiły na nim wrażenie, a pojedynki słowny był dla niego źródłem przyjemności. Artykuł pochwalił szczerze, prawdą też było, że współczuł temu nieszczęsnemu autorowi, ponieważ dotarcie za pomocą niewielkiej zachęty finansowej do redakcyjnych teczek nie przedstawiało większych trudności. W redakcji gazety mógł pracować ktoś niezbyt uczciwy, kto byłby gotów za umówioną cenę ujawnić niepowołanej osobie tożsamość autora.

Usłyszał gwizd i powściągnąwszy konia, odpowiedział w ten sam sposób. Chwilę później nadjechał galopem Patrick.

- Ojciec cię szuka, jest w domku myśliwskim - powiedział.

- Po co? Nigdy mu się nie opowiadam.

- Najwidoczniej zakładał, że jesteś w domku i bawisz się którąś z, jak to nazywa, detektywistycznych zabawek. W każdym razie obiecał, że będziesz obecny na lunchu.

- Na lunchu?

- W muzeum.

- Myślałem, że będziemy patrolować drogi.

- Mark, ofiaruj to jedno popołudnie ojcu. My pojeździmy bez przebrania i zameldujemy dokładnie, co widzieliśmy. Możesz zaufać bandyckim kompanom - stwierdził z uśmiechem Patrick.

- W porządku, tylko dobrze się rozglądajcie. Chcę wiedzieć, kto i dokąd jeździ - zapowiedział Mark. Spiał konia ostrogami i zawrócił ku domkowi myśliwskiemu.

Ojciec stał przy biurku i trzymał długi szalik.

- Co to jest, synu?

Mark podszedł do biurka i wziął od ojca długi pas dzianiny, po czym zarzucił go na szyję, by zaraz zdjąć i zakreć jego obciążonym końcem w powietrzu.

- Zapasowa broń, ojcze.

Lord Farrow nie wydawał się zachwycony.

- Gdzie nauczyłeś się robić coś takiego?

- Z książki.

- Z książki o sztuce walki?

- Z przygód Sherlocka Holmesa. Arthur Conan Doyle jest bardzo pomysłowym człowiekiem.

Ojciec westchnął.

- Czy oprócz włóczenia się Bóg wie gdzie i naśladowania książkowego bohatera nie obracasz się przypadkiem w kręgach literackich, doprowadzając tego biednego autora do szału najdziwniejszymi pytaniami?

- Czasami.

Ojciec westchnął jeszcze ciężiej.

- Zdaje się, że powinienem wiedzieć jak najmniej o twoich wyczynach.

- Ojcze, przypominam ci, że służę królowej. Ty byłeś w wojsku, ja zresztą też. Teraz wydaje mi się, że znalazłem bardziej pożyteczną formę służby.

Chciałbyś, żebym jej zaprzestał?

- Nie - odrzekł Joseph. - Tylko życzyłbym sobie, żeby te przekłete konflikty wewnętrzne wreszcie ucichły. - Znowu westchnął. - Człowiek musi robić to, co dyktuje mu serce. Dzisiaj zgódź się odegrać rolę mojego syna. Czy poszedłbyś ze mną do muzeum?

- Tak.

- To znaczy?

- Pójdę, oczywiście. Joseph się uśmiechnął.

- Nie spodziewałem się tak łatwego zwycięstwa. Powóz czeka. Proszę, ubierz się tym razem tak, jak przystoi arystokracie.

- Będę nieskazitelny - obiecał Mark. W drodze do sypialni przystanął jeszcze. - Czy jedziemy tam na lunch?

- Owszem. Masz poznać swoją narzeczoną.

- Dzisiaj?

- Powinieneś był poznać ją w zeszłym tygodniu.

- Tak, ale...

- Czy stało się coś złego?

- Nie. Zaraz się przebiorę.

Ally zdziwiła się, widząc przed domkiem powóz lorda Stirlinga.

Wprawdzie musieli przedyskutować wszystko, co zaszło, ale zakładała, że po zamieszaniu związanym z przyjęciem Stirlingowie są zajęci własnymi sprawami. Odwróciła się przejęta nagłym niepokojem, czy przypadkiem zbójca za nią nie idzie. Zdecydowanie nie chciała, żeby wpadł w ręce Briana Stirlinga. Na szczęście nie zauważyła niczego podejrzanego.

Idąc ku drzwiom, miała nadzieję, że wygląda znośnie. Wciąż trzymała gazetę, uświadomiła też sobie, że zapomniała szkicownika. Ta paniczna ucieczka była doprawdy godna pożałowania, Ally zastanawiała się nawet przez chwilę, czy nie wrócić po zgubę, ale usłyszała trzask otwieranych drzwi.

- Ally? - zawołała Kat.

Nie było mowy o powrocie nad strumień. Ally wcisnęła gazetę do kieszeni, poprawiła spódnice i posłusznie skierowała się ku domowi.

- O, Kat - powiedziała radośnie - zauważyłam powóz Stirlingów.

- Tak, przyjechałam z Camille. Właśnie miałam wziąć się do przeszukiwania lasu. Mamy zabrać cię na lunch i małą uroczystość.

- Uroczystość? Lunch?

- Późny lunch. Ktoś chciał, żeby Brian przemówił na otwarciu czegoś tam, a przy okazji będzie mała zbiórka charytatywna - wyjaśniła Kat. - Camille wbiła sobie do głowy, że powinniśmy tam pojechać, a potem razem zjeść lunch w muzealnej kawiarni.

- To wspaniały pomysł. Uwielbiam muzeum.

- Wszyscy uwielbiamy, a kawiarnia ma nowy wystrój. Przybyły ostatnio skatalogowane urny grobowe. To idealne miejsce do spotkań.

- Mam nadzieję, że również do rozmów.

- Och, naturalnie.

- Musimy porozmawiać - cicho, lecz stanowczo stwierdziła Ally.

- To będzie znakomita okazja do spotkania - odrzekła dość mętnie Kat.

- Jakiego spotkania? Z kim?

- Twojego z narzeczoną, moja droga. Z Markiem, synem hrabiego Warren. Będziesz nim zachwycona. Jest bardzo przystojny i oczytany, a także bardzo odpowiedzialny. Jeśli akurat coś mu wypadło, musiała to być naprawdę ważna sprawa. Wiem przecież, że Joseph nie należy do ludzi, którzy z potrzeby chwili kłamią, nawet w interesie syna. Chociaż dzisiaj nie spotkacie się na takim magicznym balu, to i tak powinno być uroczo.

Uroczo? Ally czuła, że jeszcze chwila, a wpadnie w panikę.

Otworzyła usta, aby powiedzieć, że nie może poślubić obcego. Z pewnością Kat ją wysłucha i wykaże zrozumienie. Zanim jednak padło pierwsze słowo, w drzwiach pojawił się Brian Stirling, trzymając w ręku najświeższe wydanie gazety.

- Co za świństwo! - zagrział zirytowany. - Mówię o tym artykule Brandona. Muszę przyznać, że ten typ miał dobre pióro. Na pewno skłoni do wahania tych, którzy nie rozumieją, że nawet jeśli ma się złe zdanie o działaniach policji, to nie można o morderstwa obwiniać królowej.

- Jest też inny artykuł - powiedziała Ally, zapominając, że nie mogła przecież jeszcze widzieć gazety.

Na szczęście Briana za bardzo zaabsorbowała bieżąca sytuacja.

- Tak, dobra próba, ciekawy tekst niejakiego A. Anonima. Modłę się, żeby nikt nie odkrył jego tożsamości.

- Dlaczego?

- Bo wkrótce będzie trupem!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Brian Stirling, obawiając się napaści, zamiast usadowić się we wnętrzu powozu, wybrał miejsce obok Shelby'ego na koźle. Hunter wolał jechać konno za powozem i również rozglądał się na prawo i na lewo.

Jeszcze raz ciotkom udało się wymówić od uczestniczenia w uroczystościach, obiecały jednak nie zawieść za kilka dni, kiedy cała rodzinna grupa miała wspierać lady Maggie podczas dnia poświęconego opiece nad dziećmi z East Endu. Ally bardzo je namawiała, podobnie jak lady Camille, która potrafiła być wyjątkowo przekonująca. Starsze panie jednak twierdziły, że nie zaplanowały tego wyjścia, i jak miały się do niego przygotować, skoro o niczym nie wiedziały.

Już w powozie Ally przypomniała sobie o innym problemie.

- Camille, co się stało z Eleanor Brandon? Gdzie teraz przebywa? Czy ta biedaczka nie ma krewnych? Jej męża dopiero co znaleziono martwego, a ona przyjechała zaraz potem do zamku tylko z woźnicą, jakby nie miała nikogo innego, kto mógłby ukoić jej ból.

- Rano była w dużo lepszym stanie. To musiało być dla niej straszne, kiedy po powrocie do domu przekonała się, że trupa męża zabrano do kostnicy. Minał już tydzień, ale mimo to nie sędzę, aby w ciągu kilku najbliższych dni

oddano rodzinie jego ciało. W niedzielę rano Shelby odwiózł Eleanor i porozmawiał z jej gospodynią, która obiecała zamieszkać u niej na stałe.

- Żal mi tej biedaczki - wyjawiała Ally.

- A nie boisz się klątwy? - spytała Kat.

- Nie, skądże.

Patrząc przez okno, Ally pomyślała, że nie jest tego pewna. Na wszelki wypadek skierowała myśli na inne tory. Jechała powozem wyłącznie z Camille i Kat. Należało wykorzystać okazję, aby wyjaśnić, że chociaż docenia ich starania, to nie chce wyjść za mąż, nawet jeśli kandydat jest prawy, a jego ojciec uroczy. Przyszedł czas, aby podziękować przybranym rodzicom za liczne guwernantki i guwernerów, za lekcje, które umożliwiły jej zdobycie rozległej wiedzy.

Ally wiedziała, co chce robić w życiu, i była pewna, że jest w stanie się usamodzielić. Jak jednak mogła opowiedzieć bliskim o swoich zamiarach, skoro i zbójca, i lord, niezależnie od siebie, wyrazili tę samą opinię na temat A. Anonima? Może wystarczyłoby nadmienić, że pomysł małżeństwa uzgodnionego przez opiekunów wydaje się jej archaiczny.

- Camille, Kat... - zaczęła.

Wyglądało na to, że znowu jej się nie uda. Zanim Ally przeszła do sedna, powóz szarpnął i zaczął zwalniać.

- Osada - powiedziała Kat.

- Następny protest - dodała Camille.

- Naturalnie. W gazecie było aż za wiele o tym morderstwie - stwierdziła Kat.

- W dodatku zamieścili artykuł Gilesa Brandona przeciwko Koronie - podjęła Camille.

- Niestety. Ten człowiek miał zadziwiający talent do składania słów - wyraziła swoją opinię Kat.

- Tak, ale... ludzie nie myślą samodzielnie! - obruszyła się Camille.

- W gazecie był również drugi artykuł - włączyła się Ally. - Kolejny jest dzisiaj, napomina tych, którzy bezmyślnie ulegają cudzej agitacji, nie starając się poznać faktów.

- Czytałaś go? - zainteresowała się Kat. - Zdawało mi się, że gazetę dostarczono tuż przed naszym wyjazdem.

- Widziałam nagłówki.

- Brian bardzo się zdenerwował - frasowała się Camille. - Popatrzcie tylko na tych ludzi, a to przecież taka mała osada.

Ally odciągnęła zasłonkę. Tym razem zgromadził się jeszcze większy tłum niż poprzednio. Camille miała rację, że jak na taką niewielką osadę, ludzi jest mnóstwo. Minęło sześć tygodni od pierwszego morderstwa, trzy od drugiego, dwa od ostatniego, a policja wciąż bezskutecznie szukała sprawcy. Jeśli sądzić po liczebności zebranych, ktoś musiał zorganizować tę demonstrację i dowieźć uczestników również z okolicznych wsi. Angus znowu stał na schodach ceglanego budynku urzędu i próbował przemówić. Gdy poleciał w jego stronę pomidor, rozwścieczony ryknął na całe gardło.

Powóz stanął.

Brian Stirling zeskoczył z kozła, a Hunter wielkimi krokami ruszył za nim. Obaj zbliżali się do schodów. Zanim jednak dotarli do celu, jakiś człowiek stanął u boku Angusa.

- Przestańcie! Czyście wszyscy rozum postradali? - spytał.

Był młody, wysoki, prosty jak tyczka, miał bujne, ciemne włosy i wyrazistą twarz. Pałającymi oczami taksował tłum i widać było, że umie sobie z nim poradzić.

- Sir! - krzyknął jakiś człowiek. - Czy nie rozumie pan, że coś trzeba w tej sprawie zrobić? Na razie nie ma dosłownie nic, nawet poszlak. Policja pozwala mordować ludzi.

- Na nic takiego policja nie pozwala. Istnieją jednostki specjalne, które dzień w dzień z determinacją poszukują sprawcy. Zagląda pan do gazet? Nie

widzi pan, co można wyczytać między wierszami? - spytał. - Manipulują wami! Do diabła, przecież jesteśmy Brytyjczykami! Mamy prawo mieć przekonania polityczne, mamy prawo mówić, czuć i myśleć tak, jak chcemy. Wkrótce wejdziemy w nowy, wspaniały wiek, a dzięki brytyjskiej wynalazczości i umiejętnościom technicznym życie staje się łatwiejsze. Popatrzcie na królową. Zastanówcie się, jakiego dokonano dzięki niej postępu, z którego korzyść czerpią wszyscy. Nie próbuję wam powiedzieć, czy macie popierać monarchię, czy nie. Chcę wam przekazać, żebyście korzystali z własnych umysłów. Zgoda, popełniono kolejne morderstwo, i rzeczywiście było okropne. Dziś ukazał się artykuł wskazujący, że ktoś chce, abyśmy wyciągnęli szybkie i pochope wnioski, potępili policję. Przeczytajcie ten tekst napisany z taką przenikliwością, że wydawcy zdecydowali się dać go na pierwszą stronę. Czy nie jest przypadkiem tak, że ktoś z zimną krwią planuje te morderstwa w taki sposób, aby mówiono o męczennikach za sprawę? Czyż jest lepszy sposób, by wykorzystać ludzi do swoich celów? Przemyślcie to. Rozejrzyjcie się na wszystkie strony. Nie pozwólcie prowadzić się jak stado owiec. Zróbcie użytek z waszych umysłów!

Po tym efektownym przemówieniu zapadła cisza. Po chwili zaś tłum zaczął rzednąć. Człowiek, stojący w pobliżu powozu, rzucił transparent na ziemię. Słysząc było jeszcze obrońców tezy, że za morderstwami musi kryć się królowa. Odzywały się również głosy przeciwne, inni zaś głośno szemrali, że nie chcą stracić pracy. Ktoś powiedział wyraźnie:

- Nie wierzę w to tak samo, jak kiedyś nie wierzyłem, że królowa stoi za morderstwami Kuby Rozpruwacza. To prawda, manipuluje się nami.

- Nie pozwólcie się wykorzystywać. - Brian dotarł do schodów.

- Lord Stirling - poznał go ktoś z obecnych.

- Jak słusznie powiedział mój przyjaciel, zróbcie użytek ze swoich umysłów. Jesteśmy istotami myślącymi, mężczyźni i kobiety. Protestujcie, jeśli

chcecie, ale myślcie jasno i rozważcie wszystkie możliwości, zanim rzucicie oszczercze oskarżenia - powiedział.

Tłum zaczął się rozchodzić.

- I co o tym sądzisz? - spytała Camille, klepiąc Ally w kolano.

- Tłum został zgrabnie opanowany - odrzekła. Wbrew lękowi, który ostatnio tak w niej podsycano, poczuła dumę. Mówca polecił ludziom artykuł A. Anonima. - Kim był ten mężczyzna?

Camille zerknęła na Kat, a Kat uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Twoim narzeczoną, moja droga. To sir Mark Farrow.

- Sir...?

- Otrzymał tytuł szlachecki za służbę w Afryce Południowej - wyjaśniła Camille. - O, zobacz, jego ojciec czeka tam z powozem.

Ally ponownie wyjrzała przez okno. Nie widziała twarzy młodego człowieka, bo stał odwrócony do niej plecami. Rozmawiał z Brianem, Hunterem i swoim ojcem. Po chwili rozdzielili się i rozeszli do powozów.

- Myślałam, że oni są w Londynie - powiedziała Camille do Kat, gdy Ally zaciągnęła zasłonkę.

- Widocznie byli w domku myśliwskim lorda Farrow. Jego posiadłość graniczy z twoją, prawda? - zainteresowała się Kat.

- Tak sądzę. Naturalnie nie ma żadnych płotów. Sama nie wiedziałabym, gdzie kończy się nasza ziemia, a zaczyna ziemia lorda Farrow.

Rozległo się pukanie do okna. Ally tak podskoczyła, że omal nie spadła z siedzenia. Znowu pociągnęła za zasłonkę.

- Wszystko w porządku? - spytał Brian Stirling.

- Naturalnie, kochany - odrzekła Camille.

Brian uśmiechnął się i wrócił na miejsce obok Shelby'ego, a Hunter dosiadł konia. Powóz drgnął i potoczył się w dalszą drogę.

- I co sądzisz, Ally? - odezwała się Kat. - Czy on nie jest wart uwagi?

- Masz na myśli Marka Farrow?

- Naturalnie - potwierdziła Camille.
- Wydaje się osobą godną szacunku - powiedziała ostrożnie.
- To wszystko? - zapytała z uśmiechem Kat.
- Wciąż go nie znam.
- Ale go poznasz - zapewniła Camille.
- Jest bardzo przystojny - uznała Kat. - Naturalnie nikt nie jest tak czarujący i przystojny jak Hunter, ale...
 - Jest młodszy, akurat odpowiedni dla Ally - zwróciła uwagę Camille. Teraz albo nigdy, uznała Ally.
 - Wydaje się znakomitym mówcą. Jest też inteligentny, poza tym czytuje gazety i umie pochwalić to, co wartościowe - zaczęła - ale...
 - Ale? - spytała Camille, nagle pochmurniejąc.
 - Chciałabym...
 - On będzie jednym z najważniejszych ludzi w kraju - zauważyła Camille.
 - Nie jest dandysem, nie oczekuje, że inni zrobią coś za niego. Nie siedzi w wieży z kości słoniowej i nie korzysta z zajmowanej pozycji, aby uniknąć decydowania o swoim życiu - pochwaliła Kat.
 - Brian i lord Farrow przyjaźnią się od lat - wspomogła ją Camille. - Dlatego Brian wie, że syn lorda Farrow będzie wiarygodnym, odpowiedzialnym człowiekiem. Już jako dziecko wykazywał niezwykle poczucie godności.
- Czy właśnie z powodu takich banalnych zalet zakochałaś się w Brianie Stirlingu? - miała ochotę spytać Ally.
 - Daj spokój, Camille - powiedziała. - Wiem, że razem z Brianem od dawna troszczycie się nieustannie o mój dobrobyt, mimo że macie swoją rodzinę, a ja jestem po prostu dzieckiem oddanym przez księdza pod opiekę Maggie i Jamiego. Nigdy nie zdołam wam za to dostatecznie podziękować, wam wszystkim, ale...
 - Nam podziękować? - zdziwiła się Camille.
 - Podziękować? Nam? - powtórzyła Kat.

- Nie potrzebujemy podziękowań.

- Kochamy cię! - zapewniła ją Kat. - Dorosłaś i jesteś ucieleśnieniem ideału przyszłej matki.

- Właśnie dlatego związek twój i Marka będzie taki doskonały - podsumowała Camille.

- Nie wątpię, że on jest cudowny - zaczęła Ally świadoma, że z tonu jej głosu zaczyna przebijać irytacja.

- Możesz się zdziwić, kiedy stwierdzisz, że on naprawdę jest ideałem. Nie masz sposobu, aby się tego dowiedzieć, póki go nie poznasz.

- Myślałam o karierze zawodowej - powiedziała Ally.

- Karierze zawodowej? - powtórzyła Camille.

- Kat została artystką. Ty, Camille, jesteś egiptologiem. Ponieważ przez te wszystkie lata miałam to szczęście, że korzystałam z waszej troskliwości i opieki, to skoro dorosłam, nie chcę niczego innego, jak tylko żyć podobnie jak wy.

Obie wpatrywały się w nią w osłupieniu.

- Ja przecież poślubiłam lorda Stirlinga - powiedziała w końcu Camille.

- A gdyby nie Hunter, nie mogłabym zajmować się sztuką - stwierdziła Kat.

- Nie doceniasz się, Kat - skarciła ją Ally. - Twój talent przebiłby się i tak. Bez niczyjego wsparcia.

- O jakiej karierze myślisz?

- Chcę pisać.

- Pisać - powtórzyła Kat i popatrzyła na Camille. - Przecież ona może pisać, będąc żoną. - Przeniosła wzrok na Ally. - Wiele kobiet prowadzi dzienniki...

- Nie chodzi o dziennik. Chcę, żeby moje prace były publikowane.

Kolejny raz wlepiły w nią wzrok.

- Mimo wszystko mężatki również mogą przedkładać prace do publikacji.

- Naturalnie - potwierdziła Kat. - Pisanie jest pracą wykonywaną przy biurku.

- Albo na skale - mruknęła Ally.

- Słucham? - zdziwiła się Camille. - To jest praca wykonywana najczęściej w domu.

Obie poprawiły się na swoich miejscach i znów na twarz wrócił im uśmiech.

- Nie ma powodu, dla którego miałyby to nie wypalić - oznajmiła Camille.

- Najmniejszego - dodała Kat.

- Mówisz, że Mark Farrow będzie bardzo wpływowym człowiekiem - powiedziała Ally. - Jest wpływowym człowiekiem - poprawiła się, przypominawszy sobie jego mowę. - Tacy ludzie często nie chcą mieć żony, koncentrują się na dążeniu do własnych celów.

Camille pochyliła się ku niej.

- Nie żyjemy w średniowieczu. Nikt nie będzie ciągnął cię przed ołtarz i zmuszał do wypowiedzenia słów przysięgi. Posłuchaj jednak, Ally... - Urwała, jakby strapiona. - W takich czasach jak nasze wyraźniej niż kiedykolwiek widać, jak ważny w życiu jest mężczyzna.

- Słucham?

Camille wymieniła zakłopotane spojrzenie z Kat, a Ally odniosła nieodparte wrażenie, że czegoś nie chcą jej powiedzieć.

- Żyjemy w epoce imperium - oświadczyła lekkim tonem Kat.

- Ale świat wciąż pozostaje niebezpieczny - dodała Camille.

- O czym wy mówicie?!

- Czy nie chcesz... tego wszystkiego, czego zwykle pragnie młoda kobieta? - spytała cicho Kat.

- Domu, męża, dzieci? - ciągnęła Camille. Ally zawahała się. Po dłuższej chwili odpowiedziała ostrożnie:

- To może zabrzmieć dziwnie, ale jak powiedziałam wcześniej, pobierałam nauki od niezwykłych kobiet. Ważna jest miłość i wzajemny szacunek. Mam poczucie, że sama jestem w stanie stworzyć coś ważnego. Co do reszty, chcę tego, co wy. Chcę kochać tak, jak wy kochacie. I chcę mieć męża, który będzie patrzył na mnie tak jak Brian na ciebie, Camille, jak Hunter na ciebie, Kat, i jak lord Jamie na Maggie.

Obie milczały.

W końcu odezwała się Camille.

- Przecież nie zawsze tak było. Najpierw się zakochałyśmy.

- Ty też na pewno zakochasz się w Marku - zapewniła ją Kat. - Ja kiedyś zrobiłam z siebie idiotkę. Miałam Huntera na wyciągnięcie ręki, a omamił mnie ktoś, kto po kilku tygodniach boleśnie mnie rozczarował. Miłość nie zawsze pojawia się natychmiast. Czasem zaczyna się powoli, od jednego słowa, od nagłej myśli, od silnego wrażenia.

- Przynajmniej poznaj Marka - niemal błagalnie zwróciła się do niej Camille.

- Naturalnie. - Ally czuła, jak cięży jej pierścionek na palcu. - Mam jednak poczucie, że najpierw powinnam opowiedzieć o swoich planach Brianowi, Jamiemu i Hunterowi.

- Nie! - zaprotestowała Kat.

- Nie rób niczego, przynajmniej póki nie porozmawiasz z Markiem - wsparła ją Camille. - Proszę tylko, żebyś dała mu szansę. Zgoda?

- Jak sobie życzycie - poddała się Ally. Nie podobało jej się to, ale przynajmniej wyjawiała swoje zamiary przed Camille i Kat, a na ile je znała, to wkrótce i Maggie dowie się o wszystkim.

Pozna Marka Farrow, przyszłego hrabiego Warren. Nie zrezygnuje jednak ze swego marzenia.

Mark usłyszał cichy jęk ojca wtedy, gdy weszli na schody, prowadzące do muzealnych drzwi, a chwilę potem zrozumiał jego przyczynę. Przy samym wejściu, tuż za drzwiami, czekał na nich Ian Douglas.

- Proszę mi wybaczyć, milordzie. Gdyby nie była to sprawa najwyższej wagi... Niestety, komendant, który był u premiera, uważa, że musimy niezwłocznie porozmawiać z gospodynią oraz z Eleanor Brandon.

- W tej kryzysowej sytuacji policja ma do dyspozycji duże siły, w tym szeryfów, funkcjonariuszy miejskich i funkcjonariuszy z Wielkiego Londynu - przypomniał Ianowi Joseph.

Detektyw przestąpił z nogi na nogę i bezradnie rozejrzał się dookoła.

- Bardzo mi przykro, lordzie Farrow. Najwyraźniej to sama królowa uważa, że potrzebny jest do pracy jeszcze jeden umysł.

- I musi to być akurat mój syn, który przyjechał tutaj na spotkanie z narzeczoną, bo nie zdołał jej poznać podczas swojego przyjęcia zaręczynowego w zeszłym tygodniu.

- Zdaje mi się, ojcze, że mieliśmy najpierw obejrzeć wystawę, a dopiero potem iść na lunch - wtrącił Mark. - Muszę podporządkować się wezwaniu Iana, ale z pewnością zdążę załatwić sprawę i wrócić na posiłek.

Lord Farrow zmierzył Iana wyraźnie nieprzychylnym spojrzeniem.

- On musi wrócić na deser i kawę - oznajmił.

- Dobrze, milordzie. Konie czekają, w mieście przy takim ruchu sprawdzają się lepiej niż jakikolwiek powóz.

- Na pewno wrócę, ojcze.

Mark odwrócił się i wyszedł z Ianem. Czekały na nich dwa piękne konie policyjne, trzymane za wodze przez funkcjonariusza. Ian mądrze wybrał środek lokomocji, najpierw bowiem przejechali obok korka spowodowanego przez wozy, potem minęli zepsuty automobil. Wierzchem sprawnie dotarli do domu, w którym zabito Gilesa Brandona.

Od tego zdarzenia minęło już sporo czasu, wciąż jednak wejścia pilnowali policjanci, chociaż Markowi nie wydawało się to konieczne. Morderca zrobił swoje, Eleanor mogła dalej tu mieszkać i nic jej nie groziło.

Otworzyła im gospodyni. Była to chuderława kobieta z dużymi piwnymi oczami i zapadniętą twarzą. Jak na żyjącą istotę cerę miała stanowczo nadmiernie poszarzałą.

- Hattie Simmons - powiedział Ian z życzliwym uśmiechem i podał kobiecie rękę.

Prawdopodobnie nie była przyzwyczajona do takich uprzejmych gestów, ponieważ przyglądała się detektywowi przez kilka sekund, zanim odpowiedziała na powitanie. Ian zamierzał następnie przedstawić Marka, ten jednak pokręcił głową i sam wyciągnął rękę do gospodyni.

- Mark Farrow, panno Simmons.

- Pani Brandon czeka w salonie - oznajmiła Hattie.

- Czy ma pani może herbatę? - spytał Mark. Ian Douglas zmarszczył czoło, pojął jednak intencje przyjaciela.

- Posiedzę z panią Brandon, a ty pomóż tymczasem Hattie przygotować herbatę.

- Z przyjemnością - odrzekł Mark.

- Jestem tu gospodynią, więc przygotowanie poczęstunku należy do moich obowiązków - oświadczyła Hattie.

- W domu, gdy mama parzyła herbatę, zawsze jej pomagałem - wyjaśnił Mark. - Bardzo to lubiłem. A pani musi mieć za sobą trudny dzień i trudną noc. Proszę pozwolić, że się na coś przydam.

Nie odpowiedziała i nie okazała żadnego uczucia. Po prostu odwróciła się i poszła w stronę kuchni. Mark dał Ianowi znak wzruszeniem ramion, po czym podążył za Hattie. Postawiła na kuchni ciężki czajnik. Mark wypatrzył tacę i zanim usiadł, postawił ją na stole. Hattie zajrzała do puszki na chleb, zapewne w poszukiwaniu muffinek lub czegośkolwiek innego, co nadawałoby się do herbaty.

Ani ona, ani Eleanor Brandon nie sprawiały wrażenia osób, które pamiętają o posiłku z własnej woli.

- Hattie... Czy mogę nazywać panią Hattie?

- Wszyscy tak mnie nazywają - odrzekła kwaśno gospodyni.

- A więc, Hattie, przykro mi, że wracam do tych trudnych, chwil, ale wie pani, iż musimy porozmawiać, prawda?

Ponuro skinęła głową, wydymając wargi.

- Chcę się upewnić, czy wszystko dobrze zrozumiałem, więc opowiem pani, co mi przekazano. W dniu śmierci pana Brandona dostała pani wolny wieczór, bo chlebodawca nie życzył sobie czyjejkolwiek obecności. Chciał mieć ciszę i spokój do pracy.

Potwierdziła tym samym ponurym skinieniem głowy.

- Opowiedziałam już to wszystko innym policjantom.

- W zasadzie nie jestem policjantem, Hattie. Chcę posłuchać tego, co wszyscy macie do powiedzenia i sprawdzić, czy nie przeoczyliśmy czegoś, co pomogłoby wyjaśnić te straszne zbrodnie.

Przechyliła głowę na bok i wzruszyła ramionami.

- Czy kiedy pani wróciła rano, drzwi wejściowe były zamknięte na klucz?

- I furtka, i drzwi wejściowe.

- Te muffinki wyglądają przepysznie - wtrącił Mark.

Kobieta mogła wyglądać jak zagłodzona klacz, ale najwidoczniej była dumna ze swoich wypieków.

- Są sprzed dwóch dni, sir. Wolałabym poczęstować pana czymś świeżym - powiedziała, nakładając mu muffinkę na talerzyk.

- Jestem przekonany, że pani muffinki sprzed dwóch dni są lepsze od wielu dopiero co wyjętych z pieca - zapewnił. Ugryzł kęs i dodał: - Nie myliłem się, jest pyszna.

Okazało się, że mimo ziemistej cery służąca jednak jest w stanie się zarumienić.

- Dziękuję.

- Wróciła pani do domu z rana. Nawiasem mówiąc, gdzie pani spędziła noc?

- U mojej przyjaciółki Maude, gospodyni państwa Perry, mieszkających przy tej samej ulicy. Ona ma u nich własny pokój z osobnym wejściem.

Skinął głową, zapisując w pamięci, by porozmawiać z państwem Perry i Maude, aby potwierdzić słowa gospodyni.

- Czyli wróciła pani do domu i zajęła się pracą w kuchni.

- Tak. Pana Brandona nie słyszałam, wiedziałam jednak, że prędzej czy później zacznie krzyczeć, żebym przyniosła mu herbatę. Zwykle starałam się nie przeszkadzać mu w pisaniu.

- Rozumiem.

Ponieważ patrzyła na niego, Mark przełknął następny kęs muffinki.

- Hattie, o której godzinie poszła pani na górę do gabinetu pana Brandona?

- Chyba około dziewiątej.

- Czy drzwi gabinetu były zamknięte?

- Tak jak zawsze. - Zawahała się, popatrzyła na niego z uwagą, a potem zaczęła tłumaczyć. - Najpierw nie chciałam pukać i odeszłam, ale po jakimś czasie... - Znow się zawahała, co na jej twarzy odmalowało się bardzo wyraźnie. - Jednak wróciłam pod drzwi. Nie zaczął wrzeszczeć. Zapukałam mocniej, potem jeszcze raz i jeszcze. Wciąż nie odpowiadał, więc zesłam na dół po moje klucze.

- Poszła pani na dół po klucze? Gdzie jest ich miejsce?

Wskazała palcem kółko z kluczami, zaczepione o kolek wieszaka na ubrania, znajdującego się przy kuchennym wyjściu.

- Czyli wzięła pani klucze i wróciła na górę.

- Tak. Zapukałam znowu i zawołałam pana po nazwisku. Potem otworzyłam drzwi.

Trwoga, którą wtedy musiała przeżyć, wciąż była widoczna na jej obliczu.

- Tam było mnóstwo krwi... - powiedziała słabo.

- Wiedziała pani, że on nie żyje?

- O tak!

- Czy dotknęła pani ciała? Pokręciła głową.

- Nie musiałam. Nie było potrzeby go dotykać. Pan też wiedziałby od razu. Nie można go było uratować, to było oczywiste.

- A później?

- Wybiegłam. Biegłam całą drogę na posterunek policji. Policjant przyszedł tu ze mną, ale nie weszłam na górę. Nie potrafiłam się zmusić. W ogóle czułam, że nie mogę zostać w tym domu.

- Co pani zrobiła?

- Poszłam do Maude.

- Czy towarzyszył pani policjant?

Nieznacznie skinęła głową.

- Wróciłam dopiero dzisiaj rano, i tylko z powodu pani Brandon. Ona mnie potrzebuje. To dobra kobieta, poczciwa. - Hattie przez chwilę milczała, zaraz jednak dała upust długo skrywanym myślom:

- Naprawdę uczciwa kobieta. - Przeżegnała się.

- Bóg mi świadkiem, że żadnemu człowiekowi nie należy się taki los, jaki spotkał pana Brandona, ale... jej też nie należał się taki los, jaki miała przy nim.

- Nie mogli się porozumieć? Hattie pociągnęła nosem.

- Nie kłócili się. On bardzo głośno krzyczał, ona milczała. On rozkazywał, ona robiła, co kazał. Tak to wyglądało. - Hattie się uśmiechnęła. - Wie pan, to był jej dom. On mógł być pisarzem dzięki jej pieniądзом. Pani Brandon wcale nie jest jeszcze stara, mimo że na taką wygląda. To on ją tak zniszczył. Zdołał ją przekonać, że w hierarchii doskonałości znajduje się zaraz za Chrystusem Panem, a dla niej to wielki zaszczyt, że może chodzić po tych samych pokojach, co on.

Hattie niewątpliwie nie lubiła Gilesa Brandona. Wyglądało jednak na to, że właśnie on miał kontrolę nad pieniędzmi, bez względu na to, do kogo należały. Przyjrząwszy się służącej, Mark nabrał pewności, że nie byłaby w stanie zaatakować nożem mężczyzny. Z drugiej strony, od jej skrajnie wychudzonej postaci była wielka siła. Nie podejrzewał Hattie, nie chciał jednak również definitywnie wykluczyć jej z kręgu podejrzanych.

- Hattie, kiedy pani wychodzi w ciągu dnia, na przykład po zakupy albo żeby coś załatwić, to czy zabiera pani klucze z sobą?

- Tak, chyba że wychodzę po sprawunki dla pani Brandon. Kiedy ona jest w domu, nie muszę nosić tego ciężkiego kółka. Sama mnie wtedy wpuszcza.

- Kto jeszcze tutaj przychodzi oprócz pani i pani Brandon?

- Czy pan żartuje?

- Nie, Hattie, pytam całkiem poważnie.

- Nawet nie wiem, od kogo zacząć - powiedziała. - Najrozmaitsi ludzie tu się kręcą. Pan Brandon organizował spotkania. On pisał różne artykuły, także przeciwko królowej, i uczestniczył też w grupach planujących obalenie monarchii.

- Co pani o tym sądzi?

Uniosła rękę, a na jej twarzy odmalował się wyraz znużenia światem.

- A co obchodzi takich ludzi jak ja, czy będzie tak, czy inaczej. Miałam jednego pana, teraz będę miała innego. Pracuję, zarabiam na utrzymanie i nie ma dla mnie znaczenia, kto jest na szczycie. Ja zawsze pozostanę na dole.

Mark nie bardzo wiedział, jak zareagować.

- Jest pani dobrą gospodynią. Do tego też potrzeba talentu.

- Dziękuję - powiedziała zakłopotana. Potem wzruszyła ramionami. - Pani Brandon jest... no, w każdym razie zostanę tu dla niej.

- To ładnie z pani strony, Hattie. Bardzo ładnie. I proszę pamiętać, co powiedziałem: jest pani kobietą z talentem.

Uśmiechnęła się i właśnie wtedy zaczęła gotować się woda.

Muzeum było pełne. Dokonano otwarcia nowej wystawy, a Camille, która często współorganizowała podobne spotkania, pilnowała, aby obok elit brali w nich udział również najzwyczajniejsi ludzie. Miała nadzieję na datki ze strony bogatych, ale zależało jej na zróżnicowanej publiczności, szczerze bowiem wierzyła w dobroć ludzkiej natury. Chciała, żeby uprzywilejowani zobaczyli, jak na ich szczodrości mogą skorzystać ci, których los potraktował mniej łaskawie.

- Kawiarnia jest na dole - poinformowała Camille, gdy weszli do środka. - Najpierw trochę poudzielamy się towarzysko, a za jakąś godzinę zjemy lunch.

- Doskonale - zgodziła się Ally. - Nie mogę się doczekać, kiedy obejrzę nowe eksponaty. - Było to jawne łgarstwo, nie miała jednak wyboru.

- O, Magie i Jamie rozmawiają właśnie z lordem Josephem Farrow. Marka z nimi nie widzę, to dziwne. Może wszedł do sal muzealnych - powiedziała Camille.

Ally chciała do nich podejść, zawahała się jednak. Nawet z daleka usłyszała słowa lorda Farrow.

- Musiał jeszcze załatwić jedną sprawę i wygląda na to, że się spóźnia. Wkrótce powinien nadejść.

Wkrótce powinien nadejść? Wbrew sobie poczuła przyływ gniewu. Czyli ten wspaniały Mark

Farrow wciąż nie może znaleźć czasu, aby poznać swoją narzeczoną? Co za obraza! Nie zamierzała nad tym długo rozmyślać, musiała natomiast wykorzystać okazję i czas spędzany w muzeum. Upewniwszy się, że jej opiekunów głęboko pochłonęła rozmowa z lordem Farrow, prześlizgnęła się pod samą ścianą do drzwi i wyszła na zewnątrz. Nie biegła, żeby niepotrzebnie nie zwracać na siebie uwagi, lecz energicznym krokiem zeszła po schodach. Na szczęście była w muzeum już wiele razy i znała jego okolice.

Nie musiała nawet zatrzymywać dwukółki, pieszo mogła dotrzeć do celu znacznie szybciej. Miasto jak zwykle tętniło życiem. Dziarsko przedzierała się przez morze ludzi wśród powozów, wózków i automobili. Idąc, rozmyślała z żalem o pozostawionym nad strumieniem szkicownika. Miała w nim świetny tekst, aczkolwiek z tego, który niosła w kieszeni spódnicy, też była dumna.

Tego ranka, widząc narzeczonego na schodach biura urzędu szeryfa, nabrała jeszcze mocniejszego przekonania co do słuszności swojego wyboru. Czasem wydawało jej się, że ma talent do pisania, innym razem zaś wręcz przeciwnie. Chociaż jednak nie ulegało wątpliwości, że przed nią jeszcze wiele nauki, to pojęła teraz, że musi dalej pisać artykuły.

W gruncie rzeczy była wdzięczna Markowi Farrow za jego brak zainteresowania. Gdyby przyszedł na czas, nie mogłaby tak łatwo wymknąć się z muzeum. Musiała jednak przyznać, że mówcą Mark Farrow jest wyśmienitym. Nie wpadał w uniesienie, nie krzyczał. Miał mocny, pewny głos. Mówił mądrze, prosto z serca. W dodatku atrakcyjna powierzchowność pomagała mu przyciągnąć uwagę tłumu. Może jednak był całkiem przyzwoitym człowiekiem, a nie zblazowanym synem bogatego lorda.

Pogrążonej w myślach Ally nawet nie przyszło do głowy, żeby obejrzeć się za siebie i sprawdzić, czy ktoś jej nie śledzi. Za rogiem dostrzegła wreszcie urząd pocztowy. Weszła do środka i stanęła w kolejce, przykrywając głowę kapturem narzutki. Gdy dotarła do urzędnika przy kontuarze, podała mu list wyjęty z kieszeni, zapłaciła, po czym spytała o przesyłkę na nazwisko Oliwia Cottage. Otrzymała kopertę, podziękowała i szybko opuściła pocztę.

We wnęce przy drzwiach sklepu „Najprzedniejsze francuskie wykroje Madame LeDeveau”, obwieszczającego bliskie otwarcie, znalazła spokojne schronienie. Podekscytowana rozerwała kopertę i obejrzała znajdujący się w niej czek. Suma była daleka od imponującej, lecz Ally wydawała się oszałamiająca. A. Anonim opublikował dwa teksty i dwukrotnie zapłacono mu za pracę. Przez dłuższą chwilę rozkoszowała się poczuciem odniesionego sukcesu.

Nagle drgnęła. Zerknęła na zegarek i zrobiło jej się nieprzyjemnie. Znikła z muzeum na znacznie dłużej, niż zamierzała. W pośpiechu ruszyła z powrotem. I znów ani razu nie obejrzała się za siebie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Po wypiciu herbaty Ian i Mark zamienili się miejscami.

Eleanor Brandon wydawała się tego ranka całkiem zdrowa na umyśle, choć kompletnie wyprana z energii i uczuć. Na śniadanie prawie nic nie zjadła i wypiała zaledwie kilka łyków herbaty.

- Eleanor - rozpoczął łagodnie Mark - czy wie pani o czymkolwiek, co mogłoby nam pomóc w odnalezieniu mordercy?

Wydawało się, że jego słowa dobiegają z bardzo daleka, że Eleanor musi zmobilizować wszystkie siły, by się na nich skoncentrować.

- Opowiadałam już wszystko wiele razy. Słyszałam jednak, że policja czasem prosi pana o pomoc w przesłuchaniach.

- Pewnie dlatego, że lubię słuchać innych ludzi. W każdym razie próbuję poskładać kawałki tej łamigłówki.

Przyjrzała mu się dość sceptycznie.

- Rozumiem. Pytali mnie, czy dobrze żyłam z mężem. Wyobraża pan sobie?

- Wie pani, Eleanor, wielu współmałżonków kończy mamie właśnie dlatego, że miłość i nienawiść są ze sobą ściśle powiązane.

- Sądzi pan, że mogłam to zrobić?

- Nie - odrzekł.

- Rozumiem. Nie zapyta mnie pan, czy Giles miał wrogów? Ponieważ naturalnie ich miał. Bogatych, wpływowych wrogów, w dodatku chronionych przez Koronę.

- Eleanor, nie można czynić takich złożeń - zaproponował Mark.

Usłyszał jej cichy, gardłowy śmiech.

- Czy ja utrzymuję, że to Wiktoria zeskoczyła z tronu, żeby poderżnąć gardło mojemu mężowi? Nie. Czy uważam, że życzyła sobie jego śmierci? Tak.

- Eleonor się pochyliła. - Pan jest młody, może nie pamiętać morderstw Kuby Rozpruwacza. Krążyły wtedy plotki, że ma z tym związek księżę Albert, że była to zwykła intryga uknuta w celu odwrócenia uwagi ludzi od jego małżeństwa z kobietą z gminu, w dodatku katoliczką. Jak wyciągnąć księcia z takiej opresji? Wystarczy zamordować biedną dziewczynę i kilka prostytutek, żeby wyglądało to na sprawkę szaleńca. Zręczna robota!

- Wszyscy znają tę historię, ale ona nie ma sensu. Kobieta, z którą księżę rzekomo miał związek, była katoliczką, to prawda, ale nie prostytutką.

Pracowała u krawca.

Eleanor machnęła ręką ze zniecierpliwieniem.

- One wszystkie zaczynają od przyzwoitego zatrudnienia na East Endzie, prostytutkami zostają dopiero potem. Brudnymi starymi flądrami, myślącymi tylko o kolejnym łyku dzinu.

- Mary Kelly była młoda i podobno piękna.

- I bez wątplenia była prostytutką. Moim zdaniem, policja wie, kto był mordercą - powiedziała stanowczo Eleanor. - Tak samo jak teraz wiedzą, kto stoi za tymi morderstwami. Nie przekona mnie pan, że mojego męża nie zabili ludzie Korony.

- Jak może pani lekceważyć fakt, że śmierć pani męża czyni z niego męczennika sprawy? Poza tym - dodał cicho Mark - świetnie pani wie, że policja musi zbadać wszystkie możliwości, nawet... - Zawiesił głos i popatrzył na nią ze smutkiem.

Pochwyciła jego spojrzenie i głośno nabrała tchu.

- Czy wciąż jestem podejrzana? - spytała. - Przecież nie było mnie wtedy w domu.

- Policja rozmawiała z pani siostrą. Wszystkie alibi wymagają potwierdzenia.

- Nie pozostajemy z siostrą w dobrych stosunkach, ale wiem, żeby nie skłamała. Wcale nie była zachwycona, a ja nigdy bym do niej nie pojechała, gdyby nie...

- Gdyby pani mąż nie kazał pani opuścić domu.

- Pan nie rozumie takiego geniusza jak mój mąż!

- Przykro mi mówić źle o człowieku, którego stratę ostatnio pani przeżyła, ale jego geniusz był zabarwiony okrucieństwem i myślę, że pani o tym też wie.

Odwróciła wzrok.

- Eleanor, gdzie pani trzyma klucze do domu?

- Czasami w torebce, a czasami na toalecie w sypialni.

- Wspólna sypialnia? - spytał cicho. Zarumieniła się.

- Każde z nas miało swoją sypialnię, ale to nie jest niczym niezwykłym - stwierdziła. - Giles często pracował do późna. Potrzebował swobody, chciał móc wchodzić i wychodzić bez obaw, że może mi przeszkodzić.

- Były więc takie sytuacje, że każdy, kto przebywał w domu, mógł mieć dostęp do pani kluczy?

Wzruszyła ramionami.

- Rozumiem, że pani mąż często organizował spotkania grupy, dążącej do obalenia monarchii.

- Tak.

- Czy pani podejmowała zagorzałych zwolenników królowej?

- Nigdy!

- Wygląda na to, Eleanor - powiedział Mark - że klucz do tego domu został skradziony i skopiowany. Ponieważ pani nie podejmowała monarchistów... Nie narzucam, w co ma pani wierzyć, ale powinna pani dobrze się zastanowić. - Urwał i przez chwilę patrzył jej prosto w oczy. - A ja przysięgam, że złapiemy mordercę pani męża.

Strażnik z muzeum przyjaźnie uśmiechnął się do Ally i bez trudu weszła do środka ze szkolną wycieczką. Stała na końcu grupki i starała się wyrównać oddech, słuchając wykładu nauczyciela o starożytnych obrzędach grzebalnych. Nagle podskoczyła, bo ktoś poklepał ją po ramieniu, a gdy się odwróciła, ujrzała sir Andrew Harringtona.

- Jest pani, panno Grayson. Nie mogłem pani znaleźć. Już się obawiałem, że nawet nie zdążę powiedzieć „dzień dobry”, zanim wreszcie pojawi się ten pani zagubiony narzeczony. - Stał obok niej. - Gdzie pani była? - spytał. - Mógłbym dodać „przez całe moje życie”, ale to bardzo mamy tekst.

- Przecież już się spotkaliśmy.

- Wtedy była pani bardzo młoda, a poza tym który mężczyzna odważyłby się stanąć twarzą w twarz z tyloma groźnymi opiekunami? Nie tylko ja wierzyłem, że przyjdzie czas, kiedy będzie można uderzyć w konkury. Nikt nie przewidywał, że tego samego wieczoru, gdy zostanie pani przedstawiona w towarzystwie, odbędą się jej zaręczyny.

Uśmiechnęła się, choć wiedziała, że sir Andrew ma zwyczaj schlebiać wszystkim dookoła. Mimo to był sympatyczny, a jego zainteresowanie sprawiało jej przyjemność.

- Sir Andrew, jestem pewna, że na sam pański widok wiele młodych kobiet po prostu mdleje.

Roześmiał się i wzruszył ramionami.

- Może nie od samego widoku, ale dość żartów. Czy widziała pani nową mumię? Całkiem ją odwinęli. Chodźmy, to pani pokażę.

- Muszę sprawdzić, czy to nie czas, abym zeszła na dół do kawiarni. - Spojrzała z niepokojem na medalion z zegarkiem.

- Mamy jeszcze minutkę - zapewnił.

Ująwszy ją bardzo elegancko pod łokieć, zaprowadził do sąsiedniej sali. Ally natychmiast zauważyła tam Thane'a Griera, który stał oparty o ścianę w swej typowej pozie i notował spostrzeżenia. Nie wydawał się zainteresowany

wystawą, przyglądał się gościom. Gdy Ally weszła na salę, wyprostował się i choć towarzyszył jej sir Andrew, podszedł do niej bez wahania. Obserwując go kątem oka, Ally próbowała się domyślić, co Thane zamierza napisać.

- Panno Grayson. - Grier wyciągnął do niej rękę. - Dzień dobry.

Przepraszam, że przeszkadzam, ale pani zaręczyny bardzo interesują naszych czytelników.

- Dlaczego moje zaręczyny miałyby być ekscytującą informacją?

Grier uśmiechnął się szerzej.

- Z pewnością zdaje sobie pani sprawę, że Mark Farrow jest uważany...

- Za najlepszego kandydata na męża w tym kraju, jeśli nie liczyć rodziny królewskiej - dokończył oschle sir Andrew.

- Nie bardzo wiem, co chciałby pan ode mnie usłyszeć, panie Grier.

- Jeśli wolno spytać. Dlaczego spośród tylu kobiet w Wielkiej Brytanii, a nawet na świecie, właśnie panią spotkał ten zaszczyt? Z pewnością będzie pani wyjątkowo urodziwą oblubienicą, ale nie ma pani tytułu. Co więcej, jest sierotą.

Ally uważnie popatrzyła na Griera, świadoma, że każde jej słowo może zostać przekręcone. Pytanie było naturalnie w jak najgorszym guście, ale Thane jako dziennikarz nie przejmował się swoim grubiaństwem.

- Z prawnego punktu widzenia moim opiekunem jest hrabia Carlyle - powiedziała. - Jestem pewna, że zaręczyny są wynikiem jego przyjaźni z lordem Farrow.

- Mimo wszystko...

Grier drażył wyraźnie w poszukiwaniu drugiego dna. Jeśli jednak w ogóle istniało, to jej nic o tym nie było wiadomo.

- Obawiam się, że odpowiedziałam panu najlepiej, jak potrafiłam - oświadczyła. - Może powinien postawić pan to samo pytanie komu innemu, na przykład lordowi Stirlingowi albo lordowi Farrow, albo po prostu samemu Markowi Farrow.

- Próbowałem, ale Mark Farrow jeszcze nie odpowiedział.

- Może wobec tego musi pan poczekać?

- Niech pan posłucha, Grier - włączył się Andrew Harrington. - Czym innym jest zadać panie Grayson pytanie, a czym innym zachowywać się wobec niej natrętnie.

- Bardzo przepraszam - szybko zmitygował się Thane.

- Powiedziałałabym panu więcej, gdybym była w stanie - zapewniła Ally.

W tym momencie podszedł do nich lord Lionel Wittburg.

- O, jest pani, Ally. Lady Camille pani szukała.

- Już schodzę na dół.

Thane Grier uklonił się z szacunkiem lordowi Wittburgowi, który w odpowiedzi skinął głową, ale nie zainteresował się dziennikarzem.

- Ach, te pismaki - powiedział. - Będą zgubą nas wszystkich.

Ally nie całkiem się z nim zgadzała, ale pozwoliła mu odprowadzić się na bok. Po marmurowych schodach zeszli piętro niżej, gdzie w kawiarni zebrali się już darczyńcy, a także pozostali goście.

- Lady Camille siedzi przy stole dla gości honorowych, a pani ma miejsce obok niej.

Ally podziękowała lordowi Wittburgowi i poszła tam, gdzie jej wskazał, świadoma, że zebrani z uwagą śledzą ją wzrokiem. Wiele młodych kobiet, mających za sobą tegoroczny debiut, otwarcie się w nią wpatrywało, podobnie zresztą jak ich matki i opiekunowie. Do tej pory nie zdawała sobie w pełni sprawy z tego, że Mark Farrow naprawdę jest postrzegany jako *la creme de la creme*.

A jednak główny bohater dnia nadal pozostawał nieobecny.

Usiadła obok Camille, zwróciwszy uwagę na to, że krzesło po jej prawej ręce jest wolne. Brian miał miejsce obok lady Newburg, chyba najhojniejszej patronki muzeum oprócz Stirlingów.

- Przepraszam za spóźnienie - szepnęła Ally.

- Przyszłaś akurat w porę. Wielu ludzi jeszcze nie dotarło - zapewniła ją Camille.

W każdym razie nie było jeszcze Marka Farrow.

Brian, dla którego muzeum stanowiło część historii rodziny, wstał, aby wygłosić mowę powitalną. Był znakomitym oratorem, więc raz po raz wybuchały śmiechy i oklaski. Potem zabrał głos dyrektor działu starożytności, choć kompetentny, to mało atrakcyjny jako mówca, i Ally powędrowała myślami bardzo daleko.

Wolałaby siedzieć obok Kat, która miała jako sąsiada zaprzyjaźnionego z nią pisarza, Arthura Conan Doyle'a. Rozejrzała się i dostrzegła również inne znakomitości - autorów, polityków, aktora, którego знаła ze sceny, śpiewaka operowego. Był też fotograf z pomocnikiem, noszącym za nim cały ciężki przecież sprzęt.

Głos dyrektora szemrał monotonię, a tymczasem na stołach pojawiło się danie główne, ryba w pomidorowej odmianie sosu florenckiego. Na deser był mus morelowy, a dyrektor wciąż przemawiał. Ally udawała, że go słucha. Gdy podano kawę, zerknęła na Camille. Obie z pewnością myślały o tym samym: jeśli dyrektor wkrótce nie dojdzie do konkluzji, to wszyscy darczyńcy wycofają pieniądze, może nawet z odsetkami.

- Dobry wieczór.

Szept, który wypełnił ucho Ally, był tak nieoczekiwany, że omal nie krzyknęła. Na szczęście zdołała się opanować i tylko odwróciła głowę. Jej narzeczony wreszcie przybył. Zajął sąsiednie krzesło i przekonała się, że twarz ma miłą i wyrazistą. Szerokie ramiona korzystnie prezentowały się w smokingu. Brokatowa kamizelka była idealnie dopasowana, a spodnie spełniały wszystkie wymogi ostatniej mody. Oczy... Oczy zapadały w pamięć, wyróżniały się żywym odcieniem niebieskiego z ciemniejszymi obwódkami.

- Przepraszam bardzo i proszę o wybaczenie. Zatrzymały mnie pilne sprawy - szepnął. - Jestem Mark Farrow.

Ally na ogół nie miała kłopotów z prowadzeniem rozmowy, a jednak w tej chwili trudno jej było sensownie złożyć kilka słów. Wreszcie skinęła głową i powiedziała:

- Dobry wieczór. Miło mi poznać.

Idiotyczna konwersacja. Przecież prowadziła ją z narzeczonym. Nie, to jej narzeczeństwo było idiotyczne!

W sali wybuchły nagle burzliwe oklaski, dyrektor sponił się i skłonił. Biedak nie miał pojęcia, że ludzie cieszą się z końca jego przemowy.

- Mark - odezwała się zachwycona Camille - wreszcie pan się zjawił.

- Bardzo przepraszam. Proszę mi wierzyć, że zatrzymała mnie sprawa niecierpiąca zwłoki. Przyjechałem tutaj jako jeden z pierwszych gości - ciągnął, a jednocześnie przesłał ciepły uśmiech ojcu, który siedział za Camille. - Niestety, zostałem odwołany. Może jednak będę mógł teraz pokazać pani nowy eksponat, panno Grayson?

- Z przyjemnością - odparła Ally. Wstał i odsunął jej krzesło.

- Wybaczą nam państwo...

- Naturalnie - powiedziała Camille.

Ally podniosła się z miejsca i, z narzutką przerzuconą przez ramię, pozwoliła wyprowadzić się z kawiarni obcemu człowiekowi, który był jej narzeczonym. Gdy przeciskali się między stolikami, Mark pomachał ręką kilku osobom, tu i ówdzie zamienił z kimś słowo. Przy samych drzwiach oślepił ich flesz. Fotograf ciężko pracuje, pomyślała z irytacją Ally. Minęli Thane'a Grierę, który jak zwykle coś notował, a teraz przesłał Ally smutny uśmiech.

- Mark! - zawołał ktoś.

Ally z zaskoczeniem stwierdziła, że zbliża się do nich szeroko uśmiechnięty Arthur Conan Doyle.

- Droga Ally. - Wąsik mężczyzny połaskotał ją przy pocałunku w policzek. - Bardzo mnie ucieszyło to, co ostatnio usłyszałem, Mark. Powiem ci,

że niektórzy z tych ludzi nie potrafią dostrzec prawdy nawet wtedy, gdy mają ją przed samym nosem.

- Arthurze, jest pan genialnym człowiekiem - powiedział Mark, a Ally uznała, że pisarz całkiem jej się podoba, a przede wszystkim ujmuje ją jego naturalność. - Chciałbym, prawdę mówiąc, żeby wypowiedział się pan w kilku kwestiach. Czy ma pan czas w tym tygodniu?

- Musimy się umówić.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Gratulacje dla was obojga - dodał jeszcze pisarz, pożegnawszy ich na odchodnym skinieniem dłoni.

- Zna go pan dobrze? - spytała Ally.

- Wygląda na to, że nie lepiej niż pani - odrzekł oschle.

- Moim zdaniem, jest wspaniały.

- Czy jest pani ulubionym autorem?

- Tak, chociaż przyznaję, że podziwiam również Amerykanina, Edgara Allana Poe.

- Tak? Moim zdaniem, on ma niekiedy dość makabryczne pomysły.

- Mnie wydaje się zajmujący.

- Mnie też. Tylko życie mu się nie udało.

Zbliżali się do schodów. Ally wiedziała, że ich słowa są własnością publiczną, cieszyła się więc, że konwersacja jest tak oficjalna. Gdy znaleźli się na piętrze, gdzie urządzono nową wystawę, przystanęła i odwróciła się za siebie. Nie spostrzegła ani dziennikarza, ani fotografa. Uwolniła ramię.

- Mogę mówić szczerze? - spytała.

- Proszę bardzo.

- Nie musi pan na to się godzić.

- Słucham?

- Jak miemam, sir, jest pan na samym szczycie piramidy - dodała Ally.

Znowu przeżyła déjà vu. Uświadomiła sobie nagle, że niezwykle podobne oczy miał zbójca. To śmieszne, powiedziała sobie. Przecież tego bandytę widziała tylko w masce. A jednak te oczy... Obaj byli tego samego wzrostu i tej samej postury. I głos... Nie, to niemożliwe.

- Nie rozumiem tej sytuacji. Prawdę mówiąc, nie sędzę, żeby znalazł się w całej Anglii ktoś, kto mógłby ją zrozumieć. Najwyraźniej pański ojciec zawarł z lordem Stirlingiem jakieś porozumienie rodem ze średniowiecza. Oczywiście szanuję i podziwiam lorda Stirlinga, ale nie musi pan dotrzymywać tego zobowiązania. Nie jestem biedną, bezbronną sierotką. Potrafię sama pokierować swoim życiem.

- Czy odmawia pani poślubienia mnie?

- Nie, niezupełnie...

- Dobrze więc. Chodźmy obejrzyć wystawę.

Ruszył naprzód, a Ally nagle ogarnął strach. Stała w miejscu. Mark odwrócił się, ujął ją za ramię i pociągnął za sobą.

- Musi pani mieć niemało wiadomości z dziedziny egiptologii.

- Spędziłam sporo czasu w zamku, który ma czysto egipski wystrój.

Naturalnie bywałam też w pracowni Kat i... czy pan w ogóle zrozumiał, co powiedziałam?

- Że nie muszę pani poślubić.

- Właśnie.

- A ja spytałem, czy pani odmawia.

- Nie chodzi o to, że odmawiam.

- W porządku. Wobec tego plany małżeńskie będą realizowane.

Znowu znalazł się przed nią. Stał przy dużym głazie pokrytym hieroglifami.

- Potrafi to pani przeczytać? - spytał.

- „Kto tędy przechodzi, naraża się na gniew Izydy” - odczytała Ally. - Pan o mnie niczego nie wie.

Roześmiał się nagle.

- Wiem o pani wszystko. Możemy sprawdzić. Włosy ma jak złotą przedzę, o oczy mogłoby być zazdrosne słońce, a o głos skowronek. Wiem to bezpośrednio od lorda Stirlinga, a widzę, że nie skłamał.

- Dziękuję, czarujący komplement, ale mimo wszystko mnie pan nie zna. Podobnie zresztą jak ja pana.

- Jestem jedynym dzieckiem lorda Josepha Farrow, hrabiego Warren. Chce pani coś jeszcze wiedzieć, Ally?

Zmarszczyła czoło. Pytanie zabrzmiało oschle. Czyżby Mark naprawdę sądził, że tytuł czyni z niego absolutnie wyjątkową zdobycz i nic więcej nie powinno mieć dla niej znaczenia? Mylił się, i to bardzo. Rano, gdy przemawiał, czuła dla niego podziw. Zakładała, że jest człowiekiem myślącym, który będzie chciał jej wysłuchać. Teraz jednak...

- Obejrzałam już wystawę - skłamała. - Było mi niezwykle miło. Cieszę się, że mogliśmy się poznać - ciągnęła, dokładając do pierwszego kolejnego kłamstwa.

Nie mogła zrozumieć, skąd nagle wzięła się u niej całkiem nedorzeczną złość. Może stąd, że Mark Farrow tak bardzo przypominał jej zbójcę, a tymczasem okazał się arystokratycznym snobem. Oddalała się, nie dbając, dokąd idzie. W każdym razie po kilku sekundach już go nie widziała i tylko to miało znaczenie.

- Panno Grayson!

Nie usłyszała go albo raczej nie chciała usłyszeć.

Mark uznał, że postąpił głupio. Spróbował trochę zmienić ton głosu. Strój wybrał ze względu na krój, jak najmniej przypominający spodnie i buty do konnej jazdy oraz luźną koszulę. Dołożył wszelkich starań, żeby stać się innym człowiekiem. Najwyraźniej udało mu się całkiem dobrze. Panna Grayson lubiła zbójcę. Jego nie polubiła. Zmarszczył czoło. Gdy odchodziła, coś wypadło z okrycia, które trzymała na ramieniu. Podeszedł i szybko podniósł zgubę.

Koperta była zaadresowana do Oliwii Cottage na poste restante w pobliskim urzędzie pocztowym. Może nie była to jej przesyłka. Może zabrała ją przypadkiem, razem z okryciem. Otworzył kopertę i przekonał się, że zawiera czek, wypisany przez redakcję gazety na nazwisko Oliwii Cottage. Pokręcił głową w zadumie. Nigdy przedtem nie słyszał tego nazwiska, chociaż zdawało mu się, że zna wszystkich lokalnych dziennikarzy. Ruszył z miejsca, zły, że spieszył się do muzeum jak szalony tylko po to, by dostać kosza.

Nagle zmartwił. A. Anonim. Oliwia Cottage musiała pisać pod tym pseudonimem, a to znaczyło, że znajduje się gdzieś w muzeum. Gdyby niepowołana osoba znalazła czek...

Ogarneło go znużenie. Należało przerwać tę serię morderstw, bardzo się jednak bał, że zanim się to uda, morderca uderzy znowu. A. Anonim vel Oliwia Cottage musiała być pierwszym celem dla fanatyka, który z pewnością nienawidził osoby, umiejacej tak zręcznie określić motywy i tożsamość sprawcy. Jeśli Ally nie wzięła tej koperty przez omyłkę? Jeśli to ona była A. Anonimem?

Gdy Ally wybiegała, Thane Grier, zniechęcony i posepny, siedział na schodach. Z widocznym przygnębieniem podniósł głowę. Ally była pewna, że dziennikarz dostrzegł jej wzburzenie. Oboje jednocześnie się roześmiali. Thane plasnął dłonią w kamienny stopień.

- Wiem, że jestem tylko skromnym dziennikarzem, ale proszę usiąść. Z pewnością nieraz pani dopiekłem, lecz sprawia pani takie wrażenie, jakby potrzebowała azylu. Obiecuję, że nie będę dręczył pytaniami.

Wprawdzie ktoś przechodzący mógł ją zauważyć w niestosownej sytuacji, ale mało ją to obchodziło. Ally usiadła.

- Co stało się z pani narzeczonym? - spytał, natychmiast jednak uniósł rękę. - Przepraszam, obiecałem nie wypytywać.

- Dlaczego sprawia pan wrażenie załamanego?

- To z powodu A. Anonima.

- Słucham? - Ally z trudem pohamowała autentyczne zdumienie.

- Niby jestem znanym dziennikarzem, a tu anonimowy autor wyrzuca mnie na drugą stronę. Już dwa razy to się zdarzyło. W dodatku przysłali mnie tu dzisiaj, żebym zrobił materiał do kroniki towarzyskiej. Też coś!

Uśmiechnęła się do niego krzepiąco.

- Jest pan dziennikarzem, traktującym fakty wnikliwie i obiektywnie, lecz wydawcy powinni być sprawiedliwi. Dlatego bez względu na swoje przekonania polityczne musieli wydrukować obok artykułu Gilesa Brandona drugi, przedstawiający odmienny punkt widzenia, tym bardziej że pierwszą stronę zdominowała wiadomość o zbrodni. Może ktoś obdarzony rozsądkiem uznał, że jest to sposób na zapobieżenie wojnie domowej.

- Wojna domowa w tym kraju się nie powtórzy! - zaprotestował oburzony Thane.

- Sam pan widział, jak może zaognić się sytuacja - przypomniała mu.

- Racja, ale skąd pani to wie?

- Przyglądałam się panu w dniu, kiedy zabito Gilesa Brandona, no i dzisiaj rano znowu.

- Czytała pani ten kawałek o swoich zaręczynach? - spytał.

- Prawdę mówiąc, nie. Tak daleko nie dotarłam.

- Jednak artykuły polityczne pani czytała - stwierdził z naciskiem.

- Przepraszam, to dlatego że... Mniejsza o to, zwykle czytam gazetę od deski do deski.

- Artykuł o zaręczynach powinien się pani spodobać. Przyznaję, że wypomniałem pani narzeczonemu nieobecność na własnym przyjęciu zaręczynowym, ale napisałem też, że dużo stracił, bo nigdy wcześniej nie widziałem kobiety roztaczającej tyle piękna, wewnętrznego i zewnętrznego.

- Dziękuję.

Przyjrzał jej się z dużym zaciekawieniem.

- Przepraszam, że pytam, ale robię to całkiem prywatnie. Dlaczego właściwie uzgodniono te zaręczyny?

Ally westchnęła rozdrażniona.

- Mówiłam już o tym panu zupełnie szczerze. Jeśli zagrało tu coś więcej niż przyjaźń lordów Stirlinga i Farrow, to ja o tym nic nie wiem.

- I nie jest pani ciekawa?

- Mam inne sprawy na głowie.

- Wciąż przeżywa pani tę napaść zbrojcy? Uśmiechnęła się i ruchem głowy zaprzeczyła.

- Więc...?

- Życie mnie absorbuje.

- Życie? Zabrzmiało to tak, jakby pani miała o co się martwić. Czy pani zna wielkość majątku lorda Farrow?

- A czy ja jestem lordem Farrow? Nie znam i mało mnie to obchodzi.

- Przecież pani przeznaczeniem jest poślubić jego syna.

- Uważam, że moje przeznaczenie nie powinno ograniczać się do małżeństwa.

Wytrzeszczył na nią oczy, a potem zaczął się śmiać.

- Chce pani zostać sufrażystką?

- Kobiety naprawdę powinny mieć prawo głosu - stwierdziła z naciskiem.

- Niech pan weźmie pod uwagę, że dwa najdłuższe okresy władzy królewskiej w historii Anglii przebiegały pod rządami kobiet. Powszechnie wiadomo, że były to okresy wyjątkowo owocne.

- To znaczy, że zamierza pani zerwać zaręczyny?

- Nie chodzi o zrywanie - odpowiedziała niezbyt pewnie.

- Aha...

- Co to ma znaczyć?

- Przejmuje się pani lordem Stirlingiem i tym, co sobie pomyśli. I słusznie. Przecież spędziła pani całe życie w jego posiadłości.

- Moje ciotki trudno oskarżyć o brak zdolności. Zbiłyby majątek w każdym wielkim mieście. Znakomicie szyją... - Urwała, bo Thane znów zaczął się podśmiewać.

- Ho, ho, panno Grayson. Nie musi pani wygłaszać przede mną płomiennych kazań. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś pracował ciężiej niż moja matka. Ona nas uczyła, czytała nam książki, to od niej zaraziłem się miłością do słowa drukowanego. Jednocześnie szorowała, sprzątała, prała, prasowała i gotowała. Nigdy nie widziałem nikogo, kto zasługiwałby na więcej szacunku. W dodatku miała bardzo dojrzałe poglądy polityczne. - Przez chwilę milczał. - I już jej nie ma. Ale zdążyła przeczytać mój pierwszy artykuł.

- Cieszę się.

Uśmiechnął się z wdzięcznością.

- Wie pani? To, co o niej napisałem, było niedoskonałe pod każdym względem. Pani jest naprawdę urocza. - Energicznie uścisnął jej dłoń. - Jeśli kiedykolwiek waleczny dziennikarz mógłby pani pomóc, proszę bez wahania zwrócić się do mnie.

Odwzajemniła uścisk.

- Dziękuję. - Ally wstała i wygładziła zagniecenia na spódnicy. - A gdyby pan potrzebował pomocy, proszę dzwonić do mnie.

- Zrobię to natychmiast, jeśli odkryje pani, kim jest A. Anonim. Nic by mi bardziej nie pomogło.

- W tej kwestii proszę na mnie nie liczyć, ale gdyby było potrzebne coś innego...

- Pani opiekun stoi w drzwiach - zauważył Grier i szybko wstał.

Odwróciła się i ujrzała Briana Stirlinga, wychodzącego z muzeum razem z Camille. Rozmawiali z Maggie i Jamiem oraz Kat i Hunterem. Brian miał dość marsową minę i Ally nie wątpiła, że się za nią rozgląda. Pierwsza dostrzegła ją jednak Maggie.

- O, jest - powiedziała i pomachała ręką.

- Niech pani idzie - przynaglił ją Thane.

- Czyżbyście mnie szukali? - spytała niefrasobliwie Ally, podchodząc do opiekunów. - Przepraszam, musiałam zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Naturalnie. W każdym razie Mark też cię szuka, moja droga - oznajmiła Maggie. - Weźmie powóz ojca i odwiezie cię do ciotek.

- Cudownie.

Gdy to mówiła, z muzeum wyszedł Mark Farrow.

- Ach, tu pani jest, Ally.

Uśmiechnęła się słodko, choć miała szczerą ochotę powiedzieć mu, że jest dla niego „Aleksandrą” a może nawet „panną Grayson”. W porę jednak ugryzła się w język.

- Mój stangret stoi trochę dalej. Nie ma pani nic przeciwko małej przechadzce? A może woli pani, żeby podjechał bliżej?

- Chodzenie nie sprawia mi trudności - odparła chłodno.

- Na to wygląda. - Ze zdziwieniem usłyszała, że w jego głosie pobrzmiewa nuta złości.

- Nie zapominaj, Ally, że przyślemy po ciebie powóz w piątek! - zawołała za nią Maggie. - To nasz dzień na East Endzie.

- Naturalnie, nie opuściłabym go za nic. Ciotki też obiecały pojechać.

- Pocziwe dusze. One jeżdżą tylko w takie miejsca, gdzie mogą popracować! - odkrzyknęła Maggie.

Mark Farrow stanął obok Ally. Gdy przyjęła jego ramię, przez myśl przemknęło jej, że jest bardzo muskularne. Przypomniało jej się też poranne wystąpienie Marka. Niestety, nie okazał się równie zdolny, gdy przyszło do konwersacji w cztery oczy. Ally szanowała wielu członków arystokracji, ale nie tych, którym zdawało się, że są lepsi od innych jedynie przez sam fakt przyjscia na świat w określonej rodzinie.

Zerknęła przez ramię na gromadkę swoich opiekunów. Sprawiali wrażenie rozpieszczających córkę rodzicieli, dumnych i zadowolonych. Oni

naprawdę bardzo chcieli tego związku. Wydawali się wierzyć, że stworzyli jej świetlaną przyszłość. Z zamyślenia ocknęła się w chwili, kiedy Mark pomagał jej wsiąść do powozu. Sam usiadł naprzeciwko. Usłyszała plaśnięcie wodzy i konie ruszyły. Stwierdziła, że Mark Farrow bacznie jej się przygląda swoimi niezwykłymi oczami.

- Ciekaw jestem, panno Grayson - odezwał się, a ona pożałowała, że nie zdążyła sama zasugerować mu tej formy grzecznościowej - co pani sądzi o tym papierusie.

- O jakim papierusie?

- Tym dużym, pośrodku wystawy.

- Ach, o ten panu chodzi. Bardzo niezwykły okaz. Także ze względu na rozmiar.

Uśmiechnął się.

- A te trzy sarkofagi tak do siebie podobne?

- Niesamowite, prawda?

- A jak pani znajduje wybór wystawionych kanop? Czy kiedykolwiek widziała pani takie oryginalne formy?

- Nigdy dotąd. Pochylił się do niej.

- Panno Grayson, łże pani jak z nut. Wcale nie widziała pani tej wystawy.

- No, wie pan!

- Sądzę, że to nie jedyne pani łgarstwo. - Sięgnął do kieszeni. - Czy to należy do pani?

Ku jej przerażeniu pokazał jej kopertę, zawierającą czek dla Oliwii Cottage.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Oliwia Cottage? Dlaczego, u licha, ta koperta miałyby być moja?

- Wypadła z pani okrycia - wyjaśnił.

Wzruszyła ramionami, spojrzała w okno i stwierdziła, że od świata odgradza ją zasłonka. Znowu więc skierowała wzrok na Marka.

- Powinien pan ją przekazać komuś z dyrekcji muzeum. Właściciel na pewno będzie jej szukał.

Mark wytrzymał jej spojrzenie bez najmniejszego mrugnięcia.

Wreszcie schował kopertę do kieszeni.

- Dlaczego właściwie wystawa umknęła pani uwagi?

- A dlaczego pańskiej uwagi umknęła pora lunchu? - odparła pytaniem Ally.

- Na wystawie pani nie była - stwierdził stanowczo. - Ja natomiast miałem ważną sprawę.

- Wciąż sędzę, że powinniśmy porozmawiać o proponowanym małżeństwie - stwierdziła.

- Czy dlatego, że zostałem zatrzymany przez niecierpiącą zwłoki sprawę?

- Dlatego, że nie sędzę, abyśmy do siebie pasowali - stwierdziła Ally.

- Panno Grayson, zrobiłem wszystko co w mojej mocy, aby dzisiaj dotrzeć do muzeum.

Lekceważąco machnęła ręką.

- Nie zna mnie pan. Zaręczyny zostały uzgodnione wcześniej. Nie ma pan żadnych oporów, żeby podporządkować się cudzej woli?

Pochylił się ku niej, nagle poważniejąc.

- Znam swojego ojca i lorda Stirlinga również. Nie zawarliby umowy, gdyby nie mieli naprawdę ważnego powodu.

- Mimo wszystko - odparła łagodnie - jest to dziwne. Poznałam już pańskiego ojca. Wydaje mi się życzliwym i godnym szacunku człowiekiem. Czy jednak okazuje mu pan bezwarunkowe posłuszeństwo we wszystkich sprawach?

Mark wyprostował się z godnością. Bez wątplenia nie był to człowiek, który zwykł wypełniać polecenie, nie znając jego przyczyny. Ally zdążyła go znienawidzić, ale teraz nie była już całkiem pewna swoich uczuć. Odniosła wrażenie, że nagle ten mężczyzna się zmienił.

- Niech mi pani powie, czym zdążyłem ją obrazić tak szybko i głęboko?

- Żadnemu człowiekowi nie wolno zakładać, że jego wartość opiera się na tytule, który odziedziczy kiedyś.

- Aha - mruknął, po czym dodał: - Niech pani nie oczekuje, że przeproszę ją za ojca. On jest wyjątkowo porządnym człowiekiem.

- Owszem, ale syn nie powinien uważać, że należy mu się Bóg wie co z tytułu zasług rodzica.

- Rozumiem.

Nagle zaskoczył Ally, bo pochylił się i ujął jej rękę. Choć zrobił to delikatnie, poczuła siłę, kryjącą się w jego palcach.

- Proszę mi powiedzieć, czy jest ktoś inny? Wolałaby pani poślubić kogo innego? Kogoś, kto budzi odzew w pani sercu?

Zbójcę, pomyślała nagle, mężczyznę z pańskimi oczami.

- Nie - zapewniła go. - Nie ma nikogo takiego. Nie chodzi o to, że pragnę innego.

To dziwne, ale nawet jego dotknięcie wydawało jej się znajome. Długie, zgrabne palce oplatały jej dłoń. Pod wpływem ich bliskości rozeszło się po jej ciele miłe ciepło. Było prawie tak jak podczas sam na sam ze zbójcą.

Przypomniała sobie powieść Aleksandra Dumas „Człowiek w żelaznej masce”. Czy to możliwe, żeby Mark Farrow miał sobowtóra, zatrzymującego na drogach powozy, aby zemścić się na arystokracji, która wyłączyła go ze swojego grona?

- Wobec tego niech pani da mi szansę - poprosił. - Ślub odbyłby się zgodnie z planem. Co ma pani do stracenia? - spytał. - Jestem właścicielem bardzo ładnej kamienicy w Londynie, chociaż ostatnio bywam głównie w domu ojca. Mamy też domek myśliwski, gdyby zateęskniła pani za lasem. Są posiadłości na północy, między innymi zamek, równie stary i potężny, jak należący do Briana Stirlinga, choć przyznaję, że usytuowany znacznie dalej od Londynu.

- Pan mówi o nieruchomościach - zwróciła mu uwagę Ally, chociaż skwitowała to dyskretnym uśmiechem.

- Warto mieć gdzie zamieszkać. Mimo woli się roześmiała.

- Czego oczekuje pan w zamian? - spytała. - Nie posagu, jak rozumiem, chociaż - tu westchnęła - jestem pewna, że moi przybrani rodzice coś przygotowali. Nie mam tytułu, nie pochodzę z żadnej wybitnej rodziny. W zasadzie cały kraj zastanawia się, dlaczego bierze pan ze mną ślub.

- Może urzekło mnie odkrycie pięknego ducha i pięknej kobiecej twarzy. Poza tym opiekunowie nieustannie opiewają pani umiejętności. Nie ma lepszego balsamu na duszę niż sztuka utalentowanej adeptki muzyki.

- Stać pana na wynajęcie wszystkich muzyków w królestwie.

- Może jestem bardziej zainteresowany kameralną rozrywką przy kominku, związkiem z jedną śpiewaczką na całe życie, pieśnią serca i uczucia.

To śmieszne, ale nagle Ally przyszło do głowy, że to Mark Farrow jest zbójcą. Dlaczego jednak miałby dopuszczać się takiej maskarady?

- Urocze wyznanie - skwitowała. Czy naprawdę sądził, że ją zwiódł tylko dlatego, że wkładał maskę?

Najwidoczniej tak właśnie było.

- A pani uważa, że wyznanie padające z moich ust musi być fałszywe? - zainteresował się.

- Tymczasem nie wiem, co mam o nim myśleć. Dopiero pana poznałam. Na pewno jednak nie umiem pojąć, skąd u pana przekonanie, że mogę spełnić jego marzenia, ani dlaczego chce pan kontynuować tę grę.

- Po prostu chcę - oznajmił, co tym razem zabrzmiało jak niezłomne postanowienie.

Ally nie wiedziała, kiedy w ich rozmowie pojawiło się coś zwodniczego, co niechybnie doprowadziło ją do przeświadczenia, że jej narzeczony i zbójca to ta sama osoba. A zaczęło się wszystko od moralnie wątpliwej fascynacji przestępcą... Co to wszystko miało jednak znaczyć?

- Wydaje się pan bardzo zajęтым człowiekiem. Nie rozumiem, w jaki sposób małżeństwo może zmieścić się w pańskim rozkładzie zajęć - powiedziała i zwróciła się ku oknu.

- To już zależy tylko od nas - powiedział.

Ally odciągnęła zasłonkę w nadziei, że zobaczy znajomy krajobraz. Pragnęła znaleźć się w pobliżu domku, zanim zdradzi się ze swoimi myślami.

- Co się stało? - spytał.

- Chyba jestem trochę niespokojna. Pamięta pan przecież, że miałam spotkanie ze zbójcą.

- Szczerze wątpię, czy zdobyłby się na zaatakowanie tego powozu.

- Czyżby? On jest dość śmiały... a w każdym razie zuchwały. Napadł na powóz hrabiego Carlyle.

- Ale wtedy jechała pani sama.

- Skąd mógł o tym wiedzieć?

- Może panią obserwował?

- Mnie się wydaje, że on po prostu nie jest zbyt mądry.

- Niezbyt mądry? Ten człowiek skutecznie unika wymiaru sprawiedliwości... i hrabiego Carlyle, naturalnie.

- Wygląda na to, że pan go broni - zauważyła.

- W żadnym wypadku!

Ally była coraz bardziej pewna, że Mark Farrow jest zbójcą. Nie potrafiła tylko zgłębić powodów tego rozdwojenia jaźni.

- W końcu zostanie złapany - orzekła. - Zanim jednak to się stanie, może napaść również na ten powóz. Co więcej, zdaje mi się, że już go raz napadł. Słyszałam, że zatrzymał i obrabował pańskiego ojca. Potem rzekomo zbójca hojnie obdarował kilka kościołów na East Endzie.

- Och, całkiem o tym zapomniałem - odparł Mark bez mrugnięcia okiem.

- Jak mógł pan zapomnieć o napadzie na pańskiego ojca? - spytała z naciskiem.

Zbył to pytanie machnięciem ręki.

- Na moim ojcu nie zrobiło to większego wrażenia. Uznał, zdaje się, że ten zbójca czuje się współczesnym Robin Hoodem.

- Jesteście bardzo niezwykłymi ludźmi - powiedziała cicho. - Może pański ojciec po prostu pozwolił się zaskoczyć i dał zbójcy to, czego ten sobie życzył. Gdybyśmy teraz zostali zatrzymani, też dalibyśmy mu wszystko, czego zażąda.

- Myśli pani, że nie jestem w stanie się obronić? - spytał.

- On jest bardzo zręczny.

- Ja świetnie strzelam, panno Grayson.

- A on znakomicie włada batem, takim, jak widzi się na obrazkach z Ameryki.

- Zadbam i o siebie, i o panią, moja droga.

- Nie chciałabym, żeby zrobił panu krzywdę.

- Dziękuję przynajmniej za to.

- Ostrzegam, że zbójca może pana zabić, jeśli będzie pan próbował stawiać opór.

- Może to ja bym jego zabił?

- Może tak. Chyba ta rozmowa pana rozstraja. Bardzo przepraszam, nie powinnam była jej zaczynać. Wydaje mi się jednak, że jesteśmy bardzo blisko miejsca, w którym został zatrzymany powóz hrabiego Carlyle.

- Nie ma pani czego się obawiać. - Wydawał się lekko zirytowany. -
Gdybyśmy zostali zatrzymani, nie chodziłoby o popisywanie się zrećnością.
Jestem gotów umrzeć za panią.

- To bardzo honorowo. Ale gdyby pan za mnie umarł, zostałabym z tym
łajdakiem sama - zauważyła rezolutnie Ally.

- Panno Grayson, na pewno nikt na nas nie napadnie.

- Ale...

- Skończmy tę rozmowę, dobrze? - uciął stanowczo Mark.

Postanowiła uwzględnić jego życzenie. Popatrzyła na mijaną osadę. Na
szczęście tym razem nie odbywała się tu żadna demonstracja. Powóz zwolnił,
gdyż ruch się nasilił. Ludzie jak zwykle spieszyli za swoimi sprawami, a wśród
nich Ally zauważyła ze zdumieniem kobietę w czerni, stojącą przed wystawą
sklepową. Tłumaczyła sobie, że wiele kobiet nosi czerni. Pełną żałobę trudno
uznać za rzadkość. A jednak ta kobieta wydała jej się znajoma.

- Co się stało? - spytał Mark, przesiadając się na miejsce obok Ally.

- Nic takiego.

- Nieprawda, jednak coś się stało.

- Ale to głupie.

- Proszę mi powiedzieć.

Napór jego ciała wcale nie wydawał się nieprzyjemny. Zapach również
nie. Twarz znajdująca się tak blisko zachęcała, by jej dotknąć.

- I co? - ponaglił.

Ally spróbowała otrząsnąć się z wrażenia, jakie zrobiła na niej bliskość
Marka.

- Ciągle mi się zdaje, że widzę kobietę w czerni.

- Kobietę w czerni?

- Powiedziałam przecież, że to nic ważnego.

- Musi być ważne, skoro zwróciła pani na to uwagę.

- Zauważyłam ją wśród uczestników demonstracji przeciwko monarchii w zeszłym tygodniu. Stała obok niej w żałobie kuzynka sir Andrew Harringtona, Elizabeth Prine. Od tej pory wszędzie jawią mi się kobiety w czerni.

- Nie jest o nie trudno.

- Wiem.

- W każdym razie jest pani zaskakująco spostrzegawcza.

Czuła na sobie jego przenikliwe spojrzenie. Zbyt przenikliwe. Przecież nie mógł chyba wiedzieć, co jej chodzi po głowie.

- Czy małżeństwo ze mną naprawdę będzie aż taką karą?

Te jedyne w swoim rodzaju oczy z ciemniejszymi obwódkami niemal hipnotyzowały. Mark wyciągnął rękę i delikatnie przesunął palcami po twarzy Ally. Zaskoczyło ją, jakie bogactwo doznań wywołał u niej ten gest.

- Prawie pana nie znam - szepnęła.

- Zamierzam się postarać, żeby poznała mnie pani bardzo dobrze - odrzekł i zabrzmiało to trochę żartobliwie, a trochę melancholijnie. - Nie jestem taki okropny. - Ujął jej dłoń i musnął ją wargami. Wrażenie, jakie wywarł na niej ten drobny gest, było piorunujące.

- Prawie mnie pan nie zna - wyjąkała. - Może to ja jestem okropna - dodała.

Wolno pokręcił głową, a ją ogarnęła panika. Starła się ze wszystkich sił zachować rozsądnie i stosownie. Rzeczywiście prawie go nie znała. Spotkała go zaledwie trzy razy, w tym dwa razy jako zbrojce, w dodatku zupełnie nie mogła zrozumieć sensu jego podwójnej gry. Pochylił się ku niej. Miał kształtne usta, wargi pełne, zmysłowe.

- Jesteśmy zaręczeni - przypomniał, trzymając ją za rękę, a drugą dłonią głaszcząc po karku.

Ich wargi zetknęły się w pocałunku o wielkiej uwodzicielskiej sile, choć zupełnie niewymuszonym, niespiesznym. Ally nawet przez myśl nie przemknęło, by zaprotestować. Bez wahania przyjmowała pieszczoty warg i

języka, coraz bardziej rozbudzającego jej pragnienia. Położyła mu ręce na torsie, zafascynowana wyczuwalnym biciem serca. Wreszcie Mark cofnął usta, choć ich ręce pozostały splecione. Ally uświadomiła sobie, że powóz przystanął.

Doszła do wniosku, że widocznie postradała zmysły.

- Niestety, jesteśmy na miejscu - powiedział.
- To znaczy, że muszę iść - odrzekła.
- Dlaczego jest pani zła?
- Nie jestem zła. Jestem w domu. Czy możemy wysiąść?
- Mam coraz więcej przekonania do tego małżeństwa.
- Zobaczymy.

Zamierzała prześlizgnąć się obok niego, ale jej na to nie pozwolił.

- Jestem oczarowany - dodał Mark, a w jej uszach zabrzmiało to jak ostrzeżenie.

- A mnie jest bardzo niezręcznie pozostawać w tym powozie. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu...

- Nie ma w tym nic złego. Jesteśmy zaręczeni, nie musi pani się złościć.
- Nie rozumiem, o czym pan mówi.
- Nie jest pani zła na mnie, tylko na samą siebie.
- Nie jestem zła na nikogo.

Uśmiechnął się, czym, rzecz jasna, rozeźlił ją jeszcze bardziej.

- Owszem, jest pani. Nie zamierzała pani odpowiedzieć na mój pocałunek, ale mimo wszelkich prób nie udaje się pani wmówić sobie, że jestem odrażający.

- Może zacznę próbować całowania wszystkich mężczyzn, którzy nie wydają mi się odrażający?

- Jesteśmy zaręczeni. Nosi pani na palcu mój pierścionek.

- Mogę go zdjąć. - Okazało się jednak, że nie potrafi zsunąć pierścionka z palca. - Mniejsza o to. Czy możemy wysiąść z powozu?

Wreszcie się ruszył, ale i tak Ally miała wielką ochotę spoliczkować go za tę ohydnie pewną siebie minę. Zresztą podobną widziała już u zbójcy. Wsiadł bez dalszych prowokacji, a potem odwrócił się i ujawszy ją w pół, postawił na ziemi.

- Dziękuję za odwiezienie. Jestem już w domu i nic mi nie grozi.

Miała nadzieję, że wreszcie zdoła uciec, ale właśnie przed chatą pojawiły się ciotki.

- Ojej! - zawołała Edith. - Toć to Mark Farrow.

Violet, która omal nie zderzyła się z nią na progu, wykazała się taką samą spostrzegawczością.

- Mark, jak to miło! Odwiozłeś naszą Ally do domu.

Merry, która wysunęła się zza pleców Violet, zaproponowała:

- Zanim odjedziesz do siebie, musisz wstąpić na herbatę.

- On jest za bardzo zajęty - szybko wyjaśniła Ally.

- Ależ skądże, z przyjemnością napiję się herbaty - powiedział Mark i nie ulegało wątpliwości, że napawa się jej zakłopotaniem.

- Przecież pański stangret może być potrzebny...

- Och, on też powinien napić się herbaty - uznała Violet.

- Arthur? - zawołał Mark i stangret, potężny, barczysty mężczyzna z lekko siewięjącymi włosami i naturalnym uśmiechem, zszedł z kozła. - Arthur, czy wstąpisz na filiżankę herbaty?

- Herbata to bardzo dobry pomysł, sir. - Zwrócił się do Violet. - Naturalnie jeśli nie sprawię kłopotu.

- Dom mamy skromny, ale wszyscy goście są w nim mile widziani - zapewniła Violet.

Merry klasnęła w dłonie.

- Już podajemy herbatę.

- Och, naturalnie, jak to miło. Proszę wejść - zaprosiła Edith.

Mark podał Ally ramię i dopiero w domu udało jej się uwolnić od tego kłopotliwego wsparcia.

- Kochane moje - zwróciła się do ciotek. - Porozmawiajcie sobie, a ja tymczasem przygotowuję herbatę.

- Nie ma mowy, moja droga. Musisz posiedzieć z narzeczonym - sprzeciwiła się Violet.

- My już uroczu pogawędziliśmy w powozie. Teraz kolej na was, powinnyście go poznać.

Ally wyszła z pokoju, uprzedzając dalsze protesty. W kuchennym azylu gotowała się ze złości przez dobre kilka minut, zanim przypomniała sobie, że powinna wstawić wodę.

Przygryzła wargę, nasłuchując głosów, dochodzących z salonu. Mark swobodnie się roześmiał. Komplementował ciotki, zwracając uwagę na różne drobiazgi wystroju. Wydawał się też w jak najlepszej komitywie ze stangretem. To był człowiek, którego miała poślubić. Zamierzała sprzeciwić się temu rozwiązaniu, ale z drugiej strony, chociaż dotychczas żyła na uboczu, to przecież zdarzało jej się spotykać z mężczyznami i przy żadnym nie doznała takich magicznych wrażeń jak przy Marku.

- Trudno, zasługuje przecież na wszystko, czym mogę mu się odwzajemnić - powiedziała do pustej kuchni i nagle głośno się roześmiała.

Była dziwnie pewna, że wkrótce znowu zobaczy zbójcę.

W niedzielę Mark był w złym humorze. Nabożeństwo w wiejskim kościółku na obrzeżu osady ciągnęło się bez końca, a kazanie, podczas którego proboszcz bardzo zdecydowanie namawiał parafian do powściągliwości, stanowiło idealny środek zaradczy na bezsenność.

Z miejsca zajmowanego obok ojca widział Violet, Merry i Edith, siedzące w swojej ławie, a obok Violet zauważył również Ally. Postanowił po skończonym nabożeństwie zaprosić je wszystkie na lunch do domu ojca i serce zabiło mu mocniej. W pewnej chwili złapał się na tym, że obserwuje Ally. Gdy

tylko zauważyła jego zainteresowanie, splonęła rumieńcem i odwróciła spojrzenie. Podczas śpiewania ostatniego hymnu Mark obiecywał sobie, że zaraz do niej podejdzie. Niestety, kiedy szedł nawą, ktoś klepnął go w ramię.

Odwrócił się i ku swemu rozczarowaniu zobaczył detektywa Iana Douglasa. Musiało stać się coś ważnego, uznał.

- Czy możemy porozmawiać? - spytał Ian.

Mark zauważył, że ojciec poszedł przodem przywitać się z ciotkami oraz Ally. Stała odwrócona, mimo że wiedziała o obecności narzeczonego. Wyglądało na to, że pocałunek nie pomógł w przełamaniu lodów. A jednak... Nie potrafił zapomnieć chwili, gdy byli tak blisko. Miękkości jej warg. Ciepła zgrabnego ciała...

- Mark?

- Przepraszam cię, Ian. O co chodzi? Chyba nie dokonano następnej zbrodni?

- Mamy problem.

- Z kim?

- Z lordem Lionelem Wittburgiem. Pojedziesz ze mną?

Lord Farrow odwrócił się w ich stronę. Na widok detektywa Douglasa lekko się skrzywił, ale dyskretnie skinął głową.

- Zaczekasz chwilę? - spytał Mark.

Ian skinął głową, więc Mark wyszedł na zewnątrz kościoła, gdzie w słońcu stało już wielu parafian. Skoro patrzyła na niego cała osada, musiał przynajmniej przywitać się z narzeczoną.

- Moja droga - powitał Ally.

Wiedział, że w obecności ciotek i lorda Farrow nie narazi się na sprzeciw, więc ujął ją za ręce i pocałował w oba policzki, a potem patrząc jej w oczy, musnął wargi. Widział, że Ally raptownie zeszywniała, ale zgodnie z przewidywaniami, nie próbowała w żaden sposób mu przeszkodzić, choć obawiał się, że ma wielką ochotę go spoliczkować. Ciotki mógł zawojować

podczas krótkiej wizyty, Ally wciąż pozostawała niewzruszona. Cofnęła ręce i wymownym gestem wskazała w stronę kościoła.

- Zdaje się, że ktoś na pana czeka.

- Obawiam się, że istotnie mam spotkanie ze starym przyjacielem, chociaż muszę przyznać, że wystarczyło mi raz spojrzeć na panią, bym o tym zapomniał.

Merry zachichotała zachwycona jego słowami.

- To cudowne!

- Dosyć - mruknęła Ally.

- Pański ojciec właśnie zaprosił nas na pyszny lunch - poinformowała go Violet.

- Mam nadzieję, że wkrótce wrócę i będę mógł się przyłączyć.

- Pan jest zawsze taki zajęty. - Edith pokręciła głową.

- Kiedy już wezmą ślub, Ally każdej nocy będzie miała swojego ukochanego dla siebie i przestaną za sobą tęsknić.

- Merry! - skarciła ją wstrząśnięta Violet.

- Co takiego? Powiedziałam tylko, że po ślubie będą... ojej! - Merry spłonęła rumieńcem i zamilkła.

- Lepiej niech pan już idzie. Pański przyjaciel wydaje się niecierpliwić - zwróciła Markowi uwagę Ally. - Nawiasem mówiąc, wygląda jak policjant. Czy mam rację?

- Tak, jest detektywem. Skąd pani wie?

- Jego garnitur - wyjaśniła Ally. - Schludny, ale praktyczny i nieekstrawagancki. Poza tym wyraz znużenia na twarzy, a zarazem dumna postawa. I jeszcze buty. Są z solidnej skóry, a nie z koźlej skórki. Nadają się do chodzenia.

- Bardzo jest pani spostrzegawcza - pochwalił ją Joseph, a Mark tylko szeroko otworzył oczy ze zdumienia.

Wzruszyła ramionami.

- Uwielbiam Arthura Conan Doyle'a.

- I Poego - mruknął Mark.

- Jeden z nich prowokuje nasze lęki, drugi uczy nas czegoś o życiu - powiedziała Ally.

Uśmiechnęła się i wyminąwszy go, ruszyła z powrotem ku kościołowi.

Mark podążył za nią. Ally wyciągnęła rękę do Iana.

- Jestem Aleksandra Grayson. Miło mi pana poznać, detektywie.

Ian zaczerwienił się po cebulki włosów, ale szybko ujął wyciągniętą dłoń.

- Panno Grayson, cała przyjemność po mojej stronie.

- Rozumiem, że pan i Mark jesteście od dawna przyjaciółmi.

- Tak.

- Czy przypadkiem przyszedł pan tutaj w poszukiwaniu zbrojcy?

- Nie, ale wielu dobrych policjantów szuka w tej chwili tego złooczyńcy.

- Rozumiem. Wybieramy się na lunch do domku myśliwskiego lorda Farrow. Może zechce pan do nas się przyłączyć?

- Obawiam się, że...

- Zjemy gdzieś w pobliżu miasta, żeby Ian zdążył wrócić przed zmierzchem - przyszedł mu z odsieczą Mark.

- To prawda.

- Rozumiem. - Ally się uśmiechnęła. - Wobec tego musicie już jechać.

- Obawiam się, że tak - przyznał Mark.

- Nie będę zatrzymywać. Miło mi było poznać.

Chwilę później, gdy pożegnania dobiegły końca, chciała odwrócić się do nich plecami.

- Wybacz, moja droga, ale muszę dostać jeszcze pożegnalny pocałunek. - Mark musnął jej wargi.

Boże, jak podobał jej się ten zapach. Była w nim czystość, słodycz i... siła. W okamgnieniu uwolniła się z objęć Marka.

- Detektywie Douglas, cieszę się, że zawarliśmy znajomość. Mam nadzieję, że będzie okazja, aby ją podtrzymać - powiedziała Ally i już jej nie było.

Stojący nieruchomo detektyw nie mógł oderwać wzroku od oddalającej się sylwetki.

- Ian! - przywołał go do porządku Mark.

- Co takiego? Ach, tak, nasze sprawy.

Pojechali do dworu lorda Lionela Wittburga, stojącego na zachód od leśnego traktu, prowadzącego dalej do Londynu. Po drodze Ian wyjaśnił, że został wezwany przez osobistego służącego lorda. Strapiiony służący wyjaśnił, że Wittburg od dłuższego czasu nie wstaje z łóżka, leży i rozpamiętuje, że zabito jego przyjaciela Hudsona Portera, a stoi za tym królowa. Zachowuje się jak wariat, odmawia nawet przyjmowania pokarmu.

Mark od dziecka znał lorda i jego służącego. Keaton powitał ich kordialnie i zaprosił do komnat lorda Wittburga. Sypialnia była wielka, potężne łoże stało na podwyższeniu, a reszta przestrzeni była przystosowana do przyjmowania gości.

Lionel leżał z wzrokiem wbitym w sufit. Mark szybko wspiał się na podwyższenie. Dotknął Wittburga, przekonał się, że ciało ma chłodne i wilgotne. Mężczyzna chyba nie zauważył przybyszy i ani na moment nie przestał perorować:

- Znowu to samo. Zawiazali spisek. Wszyscy ludzie są ślepi. Wszyscy widzą to, co chcą zobaczyć. Wierzę, że tak było. Wierzę... Martwe kobiety. Tak wiele, a teraz martwi mężczyźni. Wielu martwych mężczyzn. Ustawieni w kolejności.

- Lordzie Wittburg - powiedział głośno Mark. Zerknął na Keatona. - Wezwałś lekarza?

- Doktor był w zeszłym tygodniu i przepisał mu pigułki. Lord Wittburg miał poważne problemy z zasypianiem.

Mark obejrzał fiołki po lekach i pokręcił głową.

- Opiaty. Za silne. Puls bardzo słaby, Ian, pomóż mi, musimy go podnieść.

- Podnieść? - zdziwił się Keaton. - Przecież on jest chory. Gdyby jeszcze pospał...

- Gdyby jeszcze pospał, mógłby się nie zbudzić. Masz kawę?

- Naturalnie. - Keatona oburzyła sugestia, że w domu mogłoby brakować tak podstawowego artykułu.

- Zaparz więc kawy. Ian, pomóż mi, proszę. Wittburg był roslym mężczyzną i ważył niemało.

Z pomocą Iana Mark zdołał jednak wyciągnąć go z łóżka.

- I co dalej? - spytał Ian, przygnieciony ciężarem mężczyzny.

- Pospacerujemy.

Zaczęli chodzić, a lord Wittburg przez cały czas ciągnął swoją przemowę:

- Grzechy ojców. Zawsze grzechy ojców. Historia dowodzi. Kain i Abel. Znowu to samo. Tyłu zabitych, a podobno każde życie jest bezcenne. Niektórzy w to nie wierzą. Niektórzy uważają, że cenniejsze jest życie szlachetnie urodzonych. Co znaczy jedna martwa prostytutka? prostytutka z czasem umrze na wątrobę. Zabije ją dzin. Może nóż jest bardziej litościwy. Te morderstwa były chore... chore. Ale nóż szybki. Boże wielki! Musiały być momenty trwogi. Cisza, ciach. Ciach! Gardło poderżnięte. Tryska krew. Tak zarzynano prostytutki. Tak zarzynano antymonarchistów. Och, Hudson. Tyle dyskusji. Jak ty atakowałeś, jak ja broniłem. I nigdy, przenigdy te dyskusje nie zniszczyły naszej przyjaźni. Mówili, że jesteś zajadły, ale wiedziałem, że to nieprawda. Nie oczekiwałeś pobłażania, kiedy poszedłeś do łóżka z żoną porucznika. Ciach, ciach... gardło poderżnięte. prostytutki. Ludzie myślący.

- O czym on, u diabła, bredzi? - spytał Ian.

- Jak wiesz, był dobrym przyjacielem Hudsona Portera, pierwszego z zabitych. Służyli razem w wojsku podczas wojny. Wittburg jest niezwykle inteligentnym człowiekiem. Hudson Porter studiował historię, to była jego pasja.

- Ale on mówi o morderstwach Rozpruwacza, a to dawne dzieje.

- Obawiam się, że łączy je z monarchią.

- Przecież jest zwolennikiem monarchii.

- Wygląda na to, że nawet on zachwiał się w swych przekonaniach - orzekł Mark.

Keaton wrócił, niosąc na srebrnej tacy naczynie z kawą.

- Posadźmy lorda Lionela na fotelu przy ogniu - zakomenderował Mark.

Gdy to zrobili, Keaton nalał kawy, a Mark uniósł kubek do warg Wittburga i zmusił go do wypicia łyku.

Lord Wittburg zaczął się krztusić i dławić, ale po chwili raptownie drgnął. Spojrzał na Marka, jakby widział go pierwszy raz.

- Człowiek podobny do twojego ojca... - wymamrotał. - Gdyby na świecie więcej było takich... - Zmarszczył czoło. - Kiedy przyszedłeś?

- Przed chwilą. Lordzie Wittburg, stanowczo przyjmuje pan za wiele leków - powiedział Mark.

- Chciałem zasnąć.

- Nie chcę obrażać pańskiego lekarza, ale środek, który panu przepisał, powoduje halucynacje.

Wittburg zerknął na służącego, który przyglądał się głęboko zaniepokojony. Po chwili ciepło się uśmiechnął.

- Już wszystko dobrze, Keaton.

- Czy mogę to wyrzucić, milordzie? - spytał służący, wskazując fiołki z lekami.

Lord Wittburg znów się uśmiechnął.

- Walczyłem w Indiach i Afryce, radziłem sobie z najbrutalniejszymi rozbojami w Indiach i w końcu dałem się pokonać duchom. Tak, Keaton. Jesteś

dobrym człowiekiem. Bardzo jestem ci wdzięczny za opiekę. Wyrzuć to
święństwo. - Zwrócił się do Marka: - To Keaton po ciebie zadzwonił?

- Zadzwonił do Iana, bo wiedział, że Ian był jednym z prowadzących
sprawę morderstwa Hudsona Portera, która tak cię dręczy - wyjaśnił Mark.

- Dziękuję wam obu za przybycie. Chyba jeszcze napiję się kawy.
Możecie powiedzieć Keatonowi, że coś zjem.

- Zostaniemy jeszcze trochę - zapewnił go Mark.

Zjedli z Wittburgiem lunch. Lord odzyskał trzeźwość myślenia,
rozmawiali więc o koniach, wyścigach, muzeum, a unikali jedynie tematów
związanych z nastrojami społecznymi. W końcu upewniwszy się, że Wittburg
ma się lepiej, Mark dał Ianowi znak do odjazdu. Jednak gdy zbierali się do
wyjścia, Wittburg zawołał Marka i wskazał, aby podszedł bliżej.

- Ty nie wiesz, chłopcze, jak historia się powtarza - szepnął. - Nie wiesz
nawet połowy.

Początkowo Markowi się zdawało, że Wittburg znowu stracił kontakt z
rzeczywistością, ale spojrzał mu w oczy i przekonał się, że nie tym razem.

Starszy pan mocno uściskał jego rękę.

- Dowiedz się prawdy o małżeństwie, Marku Farrow, wtedy wszystko
zrozumiesz. Dowiedz się prawdy o kobiecie, która zostanie twoją żoną.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Ally nie spieszyło się do spędzenia dnia w domku myśliwskim, chociaż bardzo polubiła lorda Farrow. Najchętniej wróciłaby do siebie i wybrała się nad strumień, aby poszukać szkicownika. Kiedy jednak dotarła na miejsce, ucieszyła ją wiadomość, że lord Farrow ma jeszcze jednego gościa. I to jakiego! Przed domem siedział Arthur Conan Doyle, przyglądając się psim harcom.

Krzepki mężczyzna w średnim wieku nie był zbyt wysoki, a jego twarz zdradzała oznaki upływającego czasu i towarzyszącego mu strapienia. Ally wiedziała, że wiele cierpienia sprawiła mu choroba żony. Podróżował, nie zważając na pogodę, do Europy i Egiptu, gdzie jako lekarz próbował znaleźć dla niej remedium. Louisa była uroczą i łagodną, choć zarazem silną kobietą. Kochała męża, którego nazywała Conanem, i ich dzieci, Kingsleya i Mary. Niestety, choroba coraz częściej uniemożliwiała jej opuszczanie domu.

Widząc Ally, pisarz wstał i przywitał się z nią przyjacielskim uściskiem.

- Wnioskuje, że znasz już moją przyszłą synową - powiedział Joseph Farrow.

- Tak, poznaliśmy się przez moją drogą przyjaciółkę, lady Kat.

Ciotki przyglądały się pisarzowi z niemalym zachwytem. Lord Farrow przedstawił je po kolei, a Conan Doyle obdarzył każdą z nich uroczym komplementem.

Lunch podawał mężczyzna imieniem Bertram, który pełnił jednocześnie funkcje koniuszego i majordoma, zresztą całkiem skutecznie. Ciotki uparły się, że pomogą w przygotowaniu posiłku; Ally się do nich przyłączyła. Wkrótce dania znalazły się na stole, ustawionym na trawniku za domem. Do uczestników lunchu dołączył sir Andrew Harrington.

- Jak miło brać udział w lunchu podawanym przez piękne kobiety - powiedział.

- Sir Andrew, jaka niespodzianka - ucieszyła się Ally. - Co pana tu sprowadza?

- Często odwiedzam rodzinę, mieszkającą w tej okolicy. Byłem w kościele i usłyszałem o spotkaniu, a wiem, że lord Farrow nie odmówi miejsca przy stole głodnemu wędrowcowi.

- Zawsze jest pan mile widzianym gościem - zapewnił lord Farrow. - Proszę pozwolić zatem, że przedstawię...

- Violet, Merry i Edith - dokończył sir Andrew i elegancko ucałował rękę wszystkich ciotek, przy czym Merry swoim zwyczajem zachichotała.

- O, jak uroczo - zapewniła go.

- To prawdziwa przyjemność - zawtórowała Edith.

- O tak - potwierdziła Violet.

Konwersacja toczyła się gładko, posiłek wszystkim smakował. Sir Andrew wyjawiał starszym paniom, że widział projektowane przez nie kreacje i był zachwycony. Po wstaniu od stołu lord Farrow zaproponował obejrzenie stajni, ale Conan Doyle i Ally grzecznie podziękowali. Ally miała dylemat, perspektywa rozmowy z sir Andrew wydawała się bowiem całkiem zachęcająca, uznała jednak, że woli spędzić trochę czasu ze znanym pisarzem. Gdy reszta towarzystwa się oddaliła, Doyle pochylił się ku Ally i powiedział:

- Ho ho, moja droga. Dopisało pani szczęście.

- Właściwie wcale nie chcę wyjść za mąż - odparła po krótkim wahaniu.

- Jak to?

- Może kiedyś, w przyszłości.

- Czyżby nie podobał się pani Mark Farrow? Zapewniam, że jest człowiekiem godnym najwyższego szacunku.

- Który często przepada jak kamień w wodę. Doyle pogroził jej palcem.

- Są tacy, co ze mnie kpią, i tacy, którzy mi wierzą, ale nikt jeszcze tak szczegółowo mnie nie przesłuchał, jak ten młody człowiek.

- Proszę?

- Jest wyjątkowo bystry. Ludzie szukający odpowiedzi w nauce bywają czasem genialni, czasem balansują na granicy obłądu, ale ci, którzy badają czyste fakty, dokonują więcej odkryć niż inni.

- Nadal nie do końca rozumiem.

- Bardzo dobrze zarabiam na fikcyjnej postaci Sherlocka, ale w rzeczywistości jest on wzorowany na doktorze Bellu, jednym z moich profesorów, bardzo błyskotliwym człowieku. Sam Holmes to fikcja, ale jego charakter nie. Mark znakomicie umie słuchać. Obserwuje, a potem zręcznie kojarzy fakty. To jest taka swoista matematyka, sumowanie wiedzy w celu wyciągnięcia wniosku. - Zawahał się i dodał: - To on mnie dziś tutaj zaprosił. Musiał mieć bardzo ważny powód, żeby się nie stawić.

- Poszedł na lunch z detektywem Ianem Douglasem - wyjaśniła Ally.

- O!

- To znaczy?

- To znaczy, że szuka mordercy.

- Przecież nie jest detektywem.

- Nie. Jest synem hrabiego Warren.

- Ale...

- Gdyby Mark mógł, z pewnością czułby się w swoim żywiole jako komendant policji. Ma jednak obowiązki, od których nie wolno mu się uchylić. Za to dzięki swojej pozycji ma wstęp tam, gdzie zwykłemu policjantowi dotrzeć trudno. Niech pani da mu szansę, Ally.

- Dręczy mnie pewne podejrzenie, ale musi mi pan obiecać, że zachowa ten sekret dla siebie.

Pisarz przyjrzał jej się z pewnym zdziwieniem.

- Sądzę, że Mark Farrow jest zbrojcą.

- Pst.

- Ale...

- Jeśli nawet nim jest, to z bardzo ważnego powodu, proszę mi wierzyć.
Ani słowa więcej na ten temat, bo wracają pani ciotki.

Chwilę potem całe towarzystwo znów było razem, w tym samym gronie.

- Ally, jakie piękne konie, powinnaś je obejrzeć - entuzjasmowała się Violet. - Z drugiej strony, w przyszłości nie zabraknie ci okazji.

- To ciekawe, że już zawiązaliście przyjaźń - zwrócił się lord Farrow do Ally i Doyle'a. - Pani ma wiele wspólnego z moim synem - dodał.

- Chciałbym być pańskim synem - wtrącił żartobliwie sir Andrew.

- Pan, sir Andrew, jest świetnym żołnierzem i niczego innego do szczęścia nie potrzebuje - zawyrokował lord Farrow.

- Jak zwykle dobrze powiedziane - przyznał.

- Cudowny dzień - odezwała się Violet. - Obawiam się jednak, że musimy wracać do domu, chociaż liczyłam, że doczekamy się Marka.

- W lesie po zmierzchu jest bardzo ciemno - poparła ją Edith.

- Mogę panię odprowadzić - zaofiarował się sir Andrew.

- Bertram się tym zajmie - zdecydował lord Joseph Farrow.

Rozmowa przedłużyła się jeszcze o kilka minut, ale Mark Farrow nie przyjechał. Ally nie żałowała, wystarczającą atrakcją był dla niej czas spędzony w towarzystwie Arthura Conan Doyle'a. Bawiły ją też komplementy i jawne pochlebstwa sir Andrew. Pisarz uściskał ją serdecznie na pożegnanie.

- Może pani mnie odwiedzić, kiedy tylko zechce - zapewnił, pomagając jej wsiąść do powozu.

Podziękowała mu ciepło.

- Również ja oddaję swoje życie do pani dyspozycji - dodał sir Andrew, dosiadając konia.

Ally rozlokowała się wygodnie obok Edith, a Violet cmoknęła na konie i uniosła wodze. Lord Joseph Farrow pomachał im na pożegnanie.

Mark wiedział, że od momentu wejścia do redakcji skupia na sobie wszystkie spojrzenia. Maszynistki i urzędniczki płoniły się rumieńcem, witały

go skinieniem głowy, a potem za jego plecami zaczynały wymieniać między sobą szeptane uwagi. Zauważył, że mężczyźni zachowują się podobnie.

Zaprowadzono go do gabinetu Victora Quayle'a, naczelnego redaktora. Wcześniej spotkali się kilka razy w różnych miejscach, mimo to Quayle wydawał się zaskoczony widokiem niespodziewanego gościa.

- Wielkie nieba! Lord Farrow.

- Bez przesady, Victorze. Jestem Mark.

- Co pana do nas sprowadza? Wydaje mi się, że relacja z pańskich zaręczyn odpowiadała faktom. Skoro nie było pana na przyjęciu, to nie mogę mieć pretensji do reportera, że o tym wspomniał.

- Przyszedłem, ponieważ w muzeum znalazłem coś takiego. - Mark wyjął kopertę zaadresowaną do Oliwii Cottage.

- Wysłaliśmy to do naszego współpracownika - wyjaśnił Victor.

- Pański współpracownik najwidoczniej był w muzeum.

- Na to wygląda.

- Kim jest Oliwia Cottage? - spytał Mark.

- Nie mogę powiedzieć.

- Wiem, że utrzymywanie pewnych źródeł w tajemnicy jest konieczne, ale wydaje mi się, że to jest nazwisko używane przez autora, występującego u was pod pseudonimem „A. Anonim”. - Mark podszedł do drzwi gabinetu i upewnił się, czy są dobrze zamknięte. - Chcę poznać prawdę jedynie po to, by móc zapewnić temu autorowi ochronę.

- Ma pan ochotę na kawę? - zapytał Victor. - Jest paskudna, ale na chwilę stawia na nogi.

- Może innym razem. Bardzo pana proszę. Przysięgam, że chcę jedynie pomóc tej osobie.

- Naturalnie. Pan jest monarchistą - zauważył Victor.

- Antymonarchistom pomógłbym tak samo, gdybym tylko umiał przewidzieć, gdzie morderca planuje teraz uderzyć.

- To straszne, prawda? - Wydawało się, że Victora dręczy poczucie winy.
- Moje poglądy nie mają znaczenia. Muszę publikować to, co w danej chwili wyraża nastroje panujące w kraju.

- Prowadzi pan znakomitą gazetę - stwierdził

Mark. - Zależy mi jedynie na tym, by zachować ludzi przy życiu.

- Pomógłbym, gdybym tylko potrafił.

- To znaczy?

- Nie znam tożsamości A. Anonima, czyli Oliwii Cottage, bo to tylko kolejny pseudonim. Mówiąc, że nie mogę ujawnić prawdziwego nazwiska, właśnie to mam na myśli. Artykuł został przysłany wraz z życzeniem, aby w razie opublikowania tekstu przekazać honorarium na pocztę na nazwisko Oliwii Cottage. Odnośny urząd pocztowy znajduje się niedaleko muzeum. Cieszę się, że pan to zwraca. Będę mógł wysłać ponownie. Chociaż...

- Chociaż... - powtórzył Mark.

- Zakładam, że ta osoba nie ma kłopotów finansowych, bo inaczej nie postąpiłaby tak niefrasobliwie z czekiem.

- Czy otrzymał pan nowe materiały od Oliwii Cottage?

- Jeszcze nie, ale mam nadzieję dostać.

- Nie chcę, żeby pan kogokolwiek zdradzał, ale czy zechce mnie pan zawiadomić, gdyby zamierzał pan opublikować kolejny artykuł tego autora?

- Dobrze, to mogę zrobić.

Mark podziękował wydawcy, spytał go o zdrowie rodziny i opuścił gabinet. W drodze do wyjścia otarł się o Thane'a Grier.

- Dzień dobry - powiedział, przyglądając się dziennikarzowi.

Grier wydawał się zdziwiony tym, że widzi go w redakcji.

- Czy coś złe...?

- Nic takiego.

- Nie przyszedł pan w sprawie mojego artykułu? Mark wybuchnął śmiechem.

- Pan jest dziennikarzem i pisze prawdę. Dlaczego miałbym mieć coś przeciwko temu?

- Wspomniałem o pańskiej nieobecności na przyjęciu zaręczynowym.

- Rzeczywiście mnie tam nie było.

- Jeśli czytał pan dzisiejsze wydanie... Jest tam kilka zdań na temat pana i panny Grayson; całkiem pozytywnych.

- Dziękuję. Ale, ale. Wcześniej pisał pan znacznie poważniejsze testy niż kawalki do kroniki towarzyskiej.

- Istotnie - przyznał Grier i dodał szybko: - Nie jest to mój ulubiony dział, przyznaję, ale reporterów jest wielu, a liczba tematów ograniczona. Napisałem większy artykuł o morderstwie Gilesa Brandona.

- Czytałem. Naprawdę dobra robota, bez gonienia za sensacją.

- Czasem ludzie wolą pogoń za sensacją.

- Osobiście wolę wiadomości podane właśnie w ten sposób. Co innego komentarz, czyjaś opinia. Natomiast sama wiadomość nie może być tendencyjna.

- Proszę wspomnieć o tym Victorowi przy okazji następnych odwiedzin - powiedział z goryczą Grier. - Przepraszam, ja tylko... Aha, proszę przyjąć moje gratulacje z okazji zaręczyn. Rzadko darzę takim podziwem kobietę, o której mowa w kronice towarzyskiej .

- Dziękuję.

- Jest bardzo lotna - stwierdził Grier.

Mark skinął głową i wymienili słowa pożegnania. Na progu przyszło mu do głowy, że dziennikarz miał rację. Ally jest błyskotliwa, bystra, dowcipna. A wszystko w pięknym opakowaniu. Thane Grier trafił w sedno. Zachwycić go mogło piękne opakowanie. Uwiódł go jednak lotny umysł.

Ally nigdzie nie mogła znaleźć szkicownika. Chociaż szukała na skale i pod skałą, nie natrafiła na albumik, w którym trzymała większą część swoich prac dziennikarskich. Bardzo tym zmartwiona usiadła na głazie. Była

przekonana, że poprzedniego dnia w powozie całkiem przekonująco odcięła się od wszelkich związków z kopertą zaadresowaną do Oliwii Cottage. Wczorajsze zaprzeczenia będą warte funta kłaków, jeśli to Mark, występując jako zbój, znalazł szkicownik.

Pierwotnie Mark zamierzał wyruszyć w drogę powrotną natychmiast po odwiedzeniu redakcji. Jednak w drodze do domku myśliwskiego uznał, że lepiej spożytkuje czas, jeśli złoży jeszcze jedną wizytę.

Elizabeth Harrington Prine miała około czterdziestu lat, wciąż jednak zachowała wiele ze swej urody. Była wysoka i cechowała się elegancją ruchu, która przyciągała uwagę.

Otworzywszy drzwi, wydawała się skonsternowana widokiem Marka, szybko jednak otrząsnęła się z zaskoczenia.

- Mark! - powiedziała. - Niech pan wejdzie. Bardzo przepraszam, ale ostatnio nie przyjmowałam gości.

- Mam nadzieję, że wybaczy mi pani to najście w okresie żałoby.

- Nie traktuję tego jak najścia. Z pewnością pan wie, że kiedy Jack został... zabity, policja była wszędzie. Cały dom przewrócili do góry nogami. Potem zjawili się przyjaciele. Chcieli pomóc przy pogrzebie, przynosili jedzenie, a ja musiałam robić dobrą minę do złej gry. Dopiero gdy wreszcie skończył się ten cały młyn, przyszedł czas na żal w samotności.

- Bardzo pani współczuję straty, Elizabeth.

Przyjrzała się jego twarzy lśnącymi zielonymi oczami.

- Wierzę panu, Mark. Pan nigdy nie poniżał ludzi z powodu odmiennych poglądów. Zanim jednak pan wejdzie, muszę ostrzec. Jeśli kiedykolwiek przekonam się, że monarchia maczała palce w tej niegodziwości, to skończę na szubienicy, bo będę szukać zemsty.

- Nie sądzę, żeby do tego miało dojść. Przeszli do salonu.

- Napije się pan herbaty?

- Dziękuję.

- Nie sędzę, żeby to była wizyta towarzyska.

- Elizabeth, pani tutaj nie było w tę noc, kiedy go zabito, prawda?

Pokręciła głową.

- Byłam w Londynie. Dostaliśmy zaproszenie na przyjęcie, ale Jack wolał zostać w domu, uznając, że musi pracować. Zachęcił mnie, żebym nie rezygnowała z zaproszenia.

- A wasza gospodyni?

- Przebywa w domu tylko w ciągu dnia. - Elizabeth się zawahała. - Znalazła go rano. Ja nocowałam w kamienicy w Kensington.

- Rozumiem, że nie było śladów włamania.

- Nie.

- To by znaczyło, że Jack znał mordercę. Elizabeth nagle się wyprostowała.

- Chce pan powiedzieć, że zabił go inny antymonarchista, tak jak sugerowano to w gazecie.

- Elizabeth, czy pani wpuściłaby pod swój dach monarchistę?

- Naturalnie, jeśli tylko znalazłbym tego człowieka. Wiem, że pan ma swoje poglądy, a mimo to umie zachować się przyzwoicie wobec kogoś, kto myśli inaczej. Jack przyjaźnił się z niejednym zwolennikiem monarchii. Zresztą, na przykład, lord Lionel Wittburg był bardzo blisko z Hudsonem Porterem, którego zabito jako pierwszego.

- Ile osób ma klucze do pani domu?

Do tej pory Elizabeth chętnie udzielała informacji, ale teraz nabrała rezerwy.

- Mąż miał klucze, to oczywiste. Ja i gospodyni też mamy po komplecie.

- Gdzie zwykle leżą?

- Nie zostawiam kluczy na wierzchu.

- Ale gdzie jest ich miejsce?

- W szufladzie mojej toaletki.

- A klucze gospodyni? Nawiasem mówiąc, czy mogę z nią dzisiaj porozmawiać?

- Dałam jej wolne popołudnie.

- Nie szkodzi, przecież mogę przyjść kiedy indziej - stwierdził Mar i wstał. - Bardzo przepraszam za najście, po prostu staram się ustalić prawdę. Elizabeth również się podniosła.

- Powinien więc pan szukać we właściwych miejscach.

- To znaczy gdzie? Spojrzała na niego ze złością.

- Mógłby pan zacząć od Korony!

Zanim Mark wyszedł, ostrzegł Elizabeth, żeby dobrze zamknęła drzwi. Po chwili usłyszał wyraźny trzask rygła. Już miał odejść, gdy wydało mu się, że słyszy czyjeś głosy. Albo Elizabeth skłamała i gospodyni była w domu, albo wdowa przyjmowała gościa.

Droga Ally!

Pojechaliśmy do Morton House. Państwo Mortonowie zachorowali i mają gorączkę. Siostra pani Morton jest w drodze, ojciec Carroll powiedział jednak, że tymczasem chorym potrzebna jest pomoc. Edith ugotowała więc zupę, wzięliśmy też kilka potrzebnych drobiazgów. Obawiam się, że wrócimy bardzo późno. Weź sobie coś do jedzenia, zamknij dom i nikogo nie wpuszczaj. Bardzo, bardzo uważaj, najdroższa. Kochamy cię.

Ciotki

Ally mimo woli się uśmiechnęła. Wszystkie listy pisała Violet, nigdy jednak nie stawiała pod nimi swojego imienia, zawsze sygnowała je „Ciotki”. Kiedy tylko to było potrzebne, śpieszyły, aby pomóc w okolicy - zająć się dzieckiem chorej matki albo zanieść coś do jedzenia głodnej rodzinie. Były naprawdę wyjątkowo poczciwe. Często myślała o tym, że chociaż w dzieciństwie pozwoliła sobie na kilka szalonych pomysłów, to na ogół

zachowywała się grzecznie. Nie z powodu obawy przed surową karą, lecz dlatego, że nie zniosłaby widoku zasmuconych ciotek ani świadomości, że wyrządziła im przykrość.

- Mądre - mruknęła pod nosem. - Muszę o tym pamiętać, kiedy sama zostanę mamą.

Zaparzyła sobie herbaty, a ponieważ stwierdziła, że któraś z ciotek zostawiła na małym ogniu potrawkę, nałożyła sobie miseczkę, wzięła jedną z ukochanych przez siebie powieści Daniela Defoe i usiadła przy ogniu. Jednak tym razem nie zdołała się skupić na lekturze.

Jeżeli jej podejrzenie co do losu szkicownika było słuszne, to zbójca prędzej czy później zainteresuje się jego zawartością i wszystko przeczyta. A jeśli to nie on go znalazł? Z zachowania Marka w powozie trudno byłoby się tego domyślić. Czyżby jednak kto inny? Ogień na kominku zdawał się przygasać. W domku nie było elektryczności i nagle Ally wydało się, że cienie, rzucane przez lampy oliwne na ściany niewielkiego pomieszczenia, wyglądają złowieszczo. Nie bądź śmieszna, skarciła się w duchu.

Niewątpliwie ponosiła ją wyobraźnia, a mimo to, odstawiając miseczkę, czuła się nieswojo.

Wstała i sprawdziła frontowe drzwi. Były zaryglowane. Szybko obeszła cały dom: salon, jadalnię, sypialnię. Wszędzie okna były dobrze pozamykane. Zachowuję się nedorzecznie, pomyślała. Idąc korytarzem w kierunku kuchni, usłyszała zgłuszony łoskot od frontu. Zamarła.

Czekała, ale nic więcej się nie stało. Podjęła obchód domu. Gdy weszła do kuchni i zmierzała do kuchennych drzwi, zauważyła, że gałka zaczyna się wolno obracać. Przez chwilę obserwowała to jak skamieniała. W końcu odzyskała władzę w nogach. Zbliżyła się i przekonała, że zapadka blokuje drzwi. Mimo to mosiężna gałka wciąż się poruszała, jakby ktoś sprawdzał, czy uda mu się wejść.

Nagle ruch ustał. Ally zdołała wzbudzić w sobie gniew, popychający do działania. Ktokolwiek znajdował się na zewnątrz, zrezygnował z wejścia tą drogą i odszedł szukać innej. W milczeniu, poruszając się jak najciszej, zabarykadowała drzwi krzesłem. Potem zaczęła się rozglądać za jakimś orężem. W domu nie było broni palnej, za to bez trudu można było znaleźć różne akcesoria do szycia. Gdy zmierzała do szwalni, w oczy rzucił jej się stojący przy kominku pogrzebacz. Podbiegła tam i zważyła go w dłoniach. Masywne żelastwo wydawało się całkiem odpowiednie. Rozejrzała się po salonie.

Lord Stirling postanowił założyć w domku telefon. Wprawdzie ciotki uważały go za dziwaczny wymysł, ale to, że królowa zaakceptowała aparat telefoniczny, wystarczyło jako argument za jego posiadaniem, chociaż liczba osiągalnych połączeń wciąż pozostawała niewielka. Ally zawahała się w obawie przed hałasem, jaki spowoduje, zdecydowała się jednak zaryzykować. Ginny, miejscowa operatorka, powinna wnet odpowiedzieć. Mogła ją połączyć z szeryfem, sir Angusem Cunninghamem, i z Brianem. Zakręciła korbką. Bez skutku. W słuchawce nie rozległ się żaden dźwięk. Widocznie intruz przeciął kabel. Znieruchomiała i zaczęła nasłuchiwać. Z sypialni Merry dochodziło ciche drapanie. Ściskając w dłoniach pogrzebacz, przemknęła korytarzem. Wślizgnąwszy się do sypialni przekonała się, że ktoś próbuje obluzować zapadkę przy oknie.

Potem znowu zapadła cisza.

Ally ledwie ważyła się odetchnąć.

W oddali rozległ się trzask. Najwyraźniej włamywacz mozolił się z zapadką okna w szwalni. Ally wybiegła z pokoju Merry i poruszając się na palcach, dopadła tamtego pomieszczenia. Przylepiona do ściany podsunęła się do okna i znieruchomiała w oczekiwaniu. Najchętniej szarpnęłaby za zasłonę, żeby zobaczyć, kto stara się za wszelką cenę dostać do środka. Chciała poznać twarz wroga.

Nie wolno jej było jednak zdradzić intruzowi, że wie o jego obecności. Mógł być przecież uzbrojony. A nawet jeśli nie, w okamgnieniu rozpląnąłby się w mroku. Wiedziała, że jej atutem jest zaskoczenie.

Nagle rozległ się głośny trzask. Zapadka musiała puścić. Zasłona zafalowała. Niewątpliwie ktoś próbował wpełznąć przez okno do środka. Nie czekała dłużej. Zamachnęła się pogrzebaczem...

- Ally! - rozległo się wołanie od frontu. - Ally! Z całej siły uderzyła. Intruz wydał okrzyk bólu.

Ally też wrzasnęła co sił w płucach, bo ktoś chwycił ją za nadgarstek.

- Ally!

Pod oknem rozległ się głośny tupot. Postać za firanką wydała zduszone przekleństwo i puściła jej rękę. Po chwili zasłona zafalowała swobodnie, poruszana podmuchem zza okna. A potem ktoś pociągnął za nią od drugiej strony. Ally znowu poderwała pogrzebacz.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Ally! - zawołał Mark, występujący znowu jako zbójca.

- O Boże! - jęknęła z ulgą.

Mark stwierdził, że mimo dramatycznych przejść Ally wykazuje zaskakujące opanowanie. Owszem, pobladła, wyraźnie poruszona, ale stała gotowa do walki, z pogrzebaczem uniesionym do ciosu.

Ucieszyło go, że zdecydowała się nie uderzać. Bądź co bądź, był zamaskowanym człowiekiem, wdzierającym się przez okno do cudzego domu. Mimo to zirytował się, że Ally gotowa jest powierzyć swoje bezpieczeństwo zbójcy.

- Nic się pani nie stało? - spytał.

- Nie.

- Proszę mieć oczy i uszy otwarte. Spróbuję go poszukać.

Pokpił sprawę. Ledwie zdążył zeskoczyć z konia na podwórku przed domkiem, gdy dostrzegł postać w ciemnym stroju, skradającą się ku tyłowi domu. Nie wiedział, czy został zauważony ani czy Ally zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Zaczął więc głośno krzyczeć, co dało intruzowi szansę na ucieczkę. Może jednak nie było za późno, by go dopaść, pomyślał.

Klnąc pod nosem, wyskoczył z powrotem na dwór i pognął w stronę, gdzie, jak mu się zdawało, znikła mroczna postać. Początkowo widział ścieżkę, a złamane gałęzie świadczyły o kierunku ucieczki. Gdy jednak zagłębił się w las, zrobiło się całkiem ciemno. Tu kryjówek były tysiące, a z każdej można było niespodziewanie zaatakować, chociaż Mark nie sądził, żeby niedoszły napastnik kręcił się jeszcze w pobliżu. Nie udało mu się, więc z pewnością uciekł. W tej sytuacji lepiej było się wycofać i uderzyć ponownie kiedy indziej. Wściekły na siebie Mark zawrócił ku domkowi.

Podszedł do okna, pewien, że Ally wciąż stoi na straży.

- To ja! - zawołał. Odciągnęła zasłonę. Chwytał za ramę okienną i wskoczył do wnętrza.

Nadal trzymała pogrzebacz. Minę miała mocno spłoszoną, ale oddychała już miarowo.

- Czy...?

- Nie.

Sięgnął po pogrzebacz.

- Już w porządku. Może to pani odłożyć. - Stali w półmroku. Światło wpadało z korytarza. Dotknął jej policzka. - Uciekł.

Zorientował się, że są w pracowni ciotek. Ustrojone w najrozmaitszy sposób manekiny stały w złowieszczym milczeniu.

Ujął Ally za ramię i wyprowadził na korytarz, a gdy weszli do salonu, pomógł jej usiąść na sofie. Natychmiast wstała.

- Okno... - zaczęła mówić.

- Zaraz się tym zajmę. Nie chciałbym, żeby do środka dostał się jakiś przestępca.

Popatrzyła na niego i się roześmiała.

- Pan jest zbójcą - przypomniała mu.

- Owszem, ale nie włamuję się do cudzych domów.

Zauważył aparat telefoniczny.

- Dlaczego nie zadzwoniła pani po pomoc?

- Kabel jest przecięty.

- Ach tak, proszę poczekać.

- I tak nie mam dokąd iść - odrzekła z uśmiechem. Jednak gdy zbójca ruszył ku frontowym drzwiom, wstała.

- Dokąd pani się wybiera? - spytał, marszcząc czoło.

- Z panem.

- Ally, temu, kto próbował się tu dostać, chodziło o panią, nie o mnie. Sprawdzę kabel i zaraz wrócę. Proszę, niech pani zostanie w środku i koniecznie zamknie za mną drzwi.

Przypuszczenie się potwierdziło. Szybko znalazł miejsce uszkodzenia kabla. Jego niepokój wzrósł jeszcze bardziej. Wrócił do domku i zaczął nerwowo przechadzać się po salonie.

- Nie może pani tutaj zostać. Pojedzie pani ze mną. Lord Farrow ma niedaleko domek myśliwski. U niego będzie pani bezpieczna.

- Nie - sprzeciwiła się stanowczo Ally.

- Nie? Czy pani oszalała? Przecież ktoś próbował się tu włamać, prawdopodobnie po to, aby panią zabić.

- Może tylko chciał coś ukraść - odparła. - Zaobserwował, że ciotki wyjeżdżają, i sądził, że domek jest pusty. Dlaczego nagle miałyby mi coś grozić?

- Właśnie, dlaczego? - powtórzył. - Mniejsza o to. Rzecz w tym, że nie może pani tutaj zostać.

- Przeciwnie, nawet muszę. Nie rozumie pan? Ciotki wrócą, a nie wiemy, czy i im coś nie zagraża.

- Wobec tego poczekamy.

- My?

- Naprawdę chciałaby pani, żebym sobie poszedł?

- A jak wyjaśnię pana obecność ciotkom?

- Dokąd one się wybrały?

- Do Mortonów, którzy zachorowali.

- Poczekamy, aż wrócą, a potem razem opuścimy to miejsce. Żadna z was nie może spędzić dzisiaj nocy w domku.

- Gdzie przenocujemy?

- U lorda Farrow.

- To wszystko pewnie przez jego syna.

- Co takiego?!

- Jestem przecież nikim i niczego nie mam. Całe życie mieszkałam w lesie i nic mi nie groziło. Teraz jestem zaręczona z Markiem Farrow i proszę zobaczyć, co się dzieje.

Rzadko wydawała mu się piękniejsza niż właśnie w tej chwili, gdy siedziała na sofie w całkiem zwyczajnej spódniczce i białej bluzce oraz z rozpuszczonymi włosami.

- Sądzę, że może w tym chodzić o coś więcej niż tylko pani narzeczeństwo z Markiem Farrow - oświadczył, starając się ukryć irytację. Czy Ally się domyślała, że zbójca i Mark są jedną i tą samą osobą?

- A dlaczego ktoś chciałby mnie skrzywdzić?

- Może pani mi to powie.

- Pan jest przestępcą - przypomniała mu.

Nie, nie domyślała się. Całe szczęście!

Westchnął, zastanawiając się, czy powinien wyznać jej prawdę. Zdecydował jednak, że tego nie zrobi. Przecież i ona nie była z nim szczerą.

- Wszystko jedno. Nie może pani tutaj zostać.

- Powiedziałam już, że się nie ruszę, póki ciotki nie wrócą.

- Może powinna pani spakować kilka drobiazgów, żeby być przygotowaną do szybkiego odjazdu?

- A pan tu poczeka? I je powita? Na pański widok dostaną palpitanję serca, to ręczę.

Znów zaczął nerwowo się przechadzać.

- Musi pan? - spytała.

- Czy co muszę?

- Kręcić się. Może pan usiądzie.

Zdziwiło go, gdy poklepała miejsce obok siebie.

- Niech pan siądzie. Denerwuje mnie pan.

Zmarszczył czoło, ale usłuchał. O dziwo, Ally oparła się o jego ramię.

- Taka jestem zmęczona - powiedziała cicho.

Mimo głębokiego niepokoju nie mógł oprzeć się temu zaproszeniu.

Odchylił się nieco i delikatnym naciskiem skłonił ją, aby położyła mu głowę na kolanach.

- Proszę więc odpoczywać. Jak pani sądzi, kiedy wrócą ciotki?

- Napisały, że późno - odparła i ułożyła się wygodnie. Czuł ciepło jej ciała na udach, patrzył na rozpuszczone włosy.

Pomyślał, że się zakochał, mimo że prawie jej nie zna. Miał jednak przeświadczenie, że wie wszystko, co potrzeba. Ally była mu przeznaczona. Czy jemu? Leżała ufnie na kolanach zbrojcy, chociaż została narzeczoną innego mężczyzny. Nigdy w życiu bardziej nie pragnął kobiety. Rozumiał jednak, że nie wolno mu niczego wymuszać.

- Jak długo, pani zdaniem, będziemy czekać na ciotki? - spytał.

- Nie wiem, która jest godzina.

- Prawie dziesiąta.

- Pewnie jeszcze godzinę... może dwie. A niech to!

- Czy pani wie, w co trafiła tego człowieka, gdy uderzyła go pogrzebaczem?

- W zasłonę - odrzekła smutno.

- Widziała pani jego twarz?

- Nie. W każdym razie był silny, chwycił mnie za nadgarstek. Pewnie musiałam go trafić w klatkę piersiową.

- Wolałbym, żeby uszkodziła mu pani nogę.

- Och, jak mi przykro - odburknęła. Mimo woli się roześmiała.

- Tak naprawdę była pani wspaniała. Nie schowała się w mysiej dziurze, nie wystawiła bezmyślnie na niebezpieczeństwo i nie wydzierała bez sensu. Uderzyła pani, zanim zdążył zaatakować. Tyle że gdyby kulał, łatwiej byłoby go wytropić.

- Czyżby znał pan gospodę, do której wszyscy kryminaliści zachodzą wieczorem na lufkę? Tam można byłoby zaczać się na tego chromeo.

- Wątpię, czy ten człowiek zadaje się ze zwykłymi kryminalistami, Ally.

- Im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem pewna, że to jakiś nieszczęśnik, który natrafił na domek w lesie i chciał znaleźć coś do jedzenia, a przy okazji zabrać parę drobiazgów.

- To nie jest prawda i pani doskonale o tym wie. Zmieniając pozycję, żeby na niego spojrzeć, przesunęła dłonią po jego kolanie.

- Przecież pan jest przestępcą - powiedziała - a ja niemal leżę w pańskich ramionach. Zatrzymał pan mój powóz, zachował się haniebnie, a mimo to... ufam panu - szepnęła.

- Pani jest zaręczona.

- Podobno.

- Ma pani pierścioneek na palcu.

- Całkiem ładny. Na pewno jednak zdjęcie go nie sprawi mi trudności.

- Musi pani poślubić Marka Farrow.

- Czyżby pan przedzierzgnął się w mojego opiekuna?

- Ktoś czyha na pani życie, więc ma pani zmacony umysł.

Wyciągnęła rękę i pogłaskała go po policzku.

- Przynajmniej jest pan szlachetnym przestępcą. Ech, te jej palce. I oczy...

Nagle odsunął Ally i zerwał się na równe nogi. Przyszło mu do głowy, że napastnik może wrócić, i to z posiłkami.

- Ally...

- Jeśli nawet mam poślubić Marka Farrow, to jeszcze nie jestem jego żoną, prawda?

- A cóż to ma znaczyć? - spytał z wyraźną irytacją.

- Mówię, że być może poślubię tego mężczyznę, ale jestem nowoczesną kobietą. Moje życie należy do mnie. Poza tym jeszcze nie jestem mężatką.

- Czy to jest propozycja, panno Grayson? - spytał bliski furii, bo jeśli Ally nie znała prawdy...

- Ależ skąd - zaprzeczyła. Odetchnął z ulgą.

- Nigdy nie ujęłabym tego w ten sposób - szepnęła. - Po prostu właśnie doszłam do wniosku, że... No cóż, mam rozpocząć życie, którego sobie nie wybrałam, zawrzeć małżeństwo, którego nie chcę. Zanim to się stanie, jestem wolną kobietą.

A niech to diabli! Z pewnością musi jednak wiedzieć. Robi to wyłącznie po to, aby go dręczyć. Musiał jakoś zareagować.

Nie zdążył. Usłyszał na dworze skrzyp kół i tętent kopyt.

- Jadą - powiedział.

Ally zerwała się na równe nogi.

- Musi pan iść. Ani drgnął.

- Nie.

- Jak to? Jak wyjaśnię pańską obecność? - spytała wyraźnie zdenerwowana Ally. - Wielkie nieba, a napisały, że będą późno! Musi pan natychmiast odejść!

- Nie. Kto je odwozi?

- Nikt. Na koźle zawsze siedzi Violet.

Skinął głową i ruszył ku drzwiom. Omal nie rzuciła się, by go powstrzymać.

- Nie!

- Nic nie da się zrobić. Wyszedł na zewnątrz, wołając:

- Proszę się nie bać!

Mimo tych słów Violet krzyknęła, siedząca obok Merry wydała jakiś gulgot, a Edith z tyłu zdawała się bliska omdlenia.

- Kochane, wszystko w porządku! - zawołała Ally.

Podbiegła, żeby pomóc Edith ustać na nogach. Zbójca uznał, że najodporniejsza z całej trójki jest Violet, ruszył więc w jej stronę.

- Szanowna pani, bardzo mi przykro, że przestraszyłem panie.
- To on. Zbójca! - sapnęła Merry.
- Przysięgam, że nie jestem niebezpieczny. Niestety, zdarzyło się dziś wieczorem coś naprawdę groźnego. Ktoś próbował włamać się do domku i omal mu się to udało.

- Co takiego?! - zdumiała się Merry.

Edith znów się zachwiała, bliska omdlenia, Ally musiała mocno ją podtrzymywać.

- Posłuchaj, proszę... Ten zbójca mi pomógł - tłumaczyła gorączkowo Ally. - Spłoszył włamywacza, kiedy ten prawie dostał się do środka.

- Rzecz w tym, że panie nie mogą tu zostać - wtrącił Mark.

To dopiero wywołało prawdziwy zamęt i jedną z najdziwniejszych rozmów, jakie Mark kiedykolwiek słyszał.

- Nie możemy tu zostać? - powtórzyła Violet.

- Ale dokąd pójdziemy? - spytała Merry.

- Nie zostawimy przecież tego wszystkiego - zaproponowała słabym głosem Edith.

- Musimy - powiedziała Merry.

- Oczywiście, że musimy - poparła ją Violet. - W żadnym razie nie możemy narażać Ally na niebezpieczeństwo.

- To zupełnie jasne, że nie możemy - przyznała Merry.

- Ale on jest zbójcą! - zawołała Edith.

- Obronił Ally - przypomniała Violet. - Tylko to się liczy. Dlatego nie przekazemy pana wymiarowi sprawiedliwości, młody człowieku!

- Muszą panie jednak spakować swoje rzeczy - zwrócił im uwagę Mark. - Odwiozę panie do domku myśliwskiego lorda Farrow.

- Do lorda Farrow? - zdziwiła się Violet.

- Nie ma potrzeby, żeby zostały tam panie na stałe, ale domek myśliwski jest niedaleko i zapewnia pełne bezpieczeństwo.

Violet przyglądała mu się długo i bardzo przenikliwie. Wreszcie pogroziła mu palcem.

- Musisz się poprawić, młody człowieku.

- Lord Farrow może zażądać, aby pana aresztowano - zauważyła Ally.

- Opuść panie, zanim mnie zobaczy - zapewnił ją Mark.

- Chodźcie, siostry, nie marudźcie - powiedziała Violet. - Ally, jesteś spakowana?

- Jeszcze nie.

- Musimy więc pospieszyć się wszystkie - zakomenderowała Violet.

Ally przesłała zbójcy bardzo surowe spojrzenie. W odpowiedzi wrzucił ramionami. Nie mógł inaczej postąpić. Za nic nie pozwoliłby im jechać przez las bez eskorty. Na pewno nie tej nocy.

- Nawet nie macie psa - wytknął, kiedy przechodziła obok niego Violet.

Uniosła głowę.

- Dawniej miałyśmy psy podwórzowe - odparła - ale kiedy traci się dobrego towarzysza, trudno go zastąpić.

Z tymi słowami wyminęła go i weszła do domu. Ally podążyła za nią, wciąż podtrzymując Edith, która po chwili poprawy znów zaczęła wyglądać na bliską omdlenia. Siostry okazały się dobrze zorganizowane. W równe trzydzieści minut spakowały wszystkie rzeczy potrzebne na noc. Mark pomógł im załadować bagaż do powozu, po czym dosiadł konia. Violet ujęła wodze, a Ally usiadła z Edith.

Latarnia umieszczona na koźle oświetlała drogę. Koń człapał naprzód wolno, lecz pewnie. Przejazd mimo niedużej odległości ciągnął się bez końca. Po drodze nie spotkali nikogo. Gdy wreszcie zbliżyli się do domku myśliwskiego, zobaczyli w środku światło. Na dźwięk nadjeżdżającego pojazdu z wnętrza wyszedł Bertram, człowiek do wszystkiego lorda Farrow. Za nim pojawił się Jeeter, a po nim również pan domu.

- Muszę panie opuścić - zapowiedział Mark i zawrócił konia. Wiedział, że ojciec nie pozwoli, żeby kobietom stała się krzywda.

Ally zrelacjonowała lordowi Farrow całe zajście, a ten natychmiast polecił Jeeterowi i Bertramowi pomóc gościom wygodnie się rozlokować. Wprowadził panie do środka.

- Co się stało z włamywaczem? Jak go pani spłoszyła? - spytał lord Farrow.

- Ojej, aż trudno to sobie wyobrazić - zaczęła Merry, ale Ally szturchnęła ją znacząco i przejęła inicjatywę.

- Akurat przejeżdżał przyjaciel - powiedziała. Czy lord Farrow wiedział o podwójnym życiu syna? Przecież zbójca oddalił się natychmiast, gdy tylko uzyskał pewność, że nic im nie grozi. - Potem towarzyszył nam prawie aż do pańskiego domu, ale miał pilne sprawy, więc gdy przekonał się, że jesteśmy bezpieczne, zawrócił.

- Bardzo przepraszamy za najście - wtrąciła Violet.

Lord Farrow był jednak stanowczo zbyt elegancki, by pozwalać na przeprosiny.

- Moje drogie, panna Grayson będzie wkrótce moją synową, a wy jesteście dla mnie jak siostry. Goszczę was z prawdziwą przyjemnością. Martwię się jedynie tym, co zaszło, i zastanawiam się, jak zapobiec podobnym wypadkom w przyszłości. - Zmarszczył czoło i dodał: - Ślub powinien odbyć się tak szybko, jak to możliwe.

- Co takiego?! - wyraziła zdziwienie Ally, ale powstrzymała się od dalszych protestów, gdy uświadomiła sobie prawdę o swych uczuciach.

Poślubi go, bo jest w nim zakochana. Kocha Marka, nawet jeśli nie może tymczasem być wobec niego całkiem uczciwa. Ale on też ją okłamał. Jak śmiał? Tego wieczoru przyszedł jej jednak z pomocą w najtrudniejszej chwili. Owszem, sama stawiała czoło napastnikowi, ale czy udałoby jej się go pokonać?

Do jej duszy powoli sączył się lęk. Czyżby została wybrana przez mordercę? Z jakiego powodu? Może ktoś podejrzewał, że to ona kryje się pod pseudonimem A. Anonim?

- Naprawdę ślub musi odbyć się niedługo - powiedział cicho lord Farrow, patrząc przenikliwie na Ally.

- Potrzebujemy czasu, żeby wszystko zaplanować - odrzekła.

- Bezpieczeństwo jest najważniejsze - stwierdził lord. - O tym jednak możemy porozmawiać jutro. Mamy tu całkiem przestronne pokoje gościnne, każda z was może nawet dostać osobny...

- Nie, nie, dziękujemy. Najlepiej będzie nam razem - zapewniła Ally.

- W jednym łóżku? - zainteresował się lord Farrow. - Po co się tak tłoczyć?

- Będę spała z Edith, a Violet może spać razem z Merry. Podejrzewam, że wszystkie mamy dziś w nocy ochotę na towarzystwo - odrzekła Ally.

Lord Farrow przesłał jej uśmiech, a ona poczuła przypływ sympatii do tego człowieka. Wyczuwała, że i on ją szczerze polubił. Myśl, że będzie miała takiego teścia, była całkiem miła.

- Obejmę straż - oznajmił Bertram. Lord Farrow skinął głową.

- Wypuść też chłopców i dziewczynki.

- Chłopców i dziewczynki? - zainteresowała się Violet.

- Wilczarze - wyjaśnił lord Farrow. - Wspaniałe psy. Wielkie jak tygrysy, wierne i wyjątkowo czujne.

- Och, my też miałyśmy kiedyś cudownego wilczarza, pamiętasz, Ally? - przypomniała Merry.

- Tak, ale to było dawno.

- Może powinnyśmy jednak znowu postarać się o psa.

- Zajmę się tym - obiecał lord Farrow. - A teraz kładźmy się do łóżek. To prawdziwe szczęście, że akurat dzisiaj mnie zastałyście. Naturalnie Angus

zająłby się wami w osadzie, ale jesteśmy prawie rodziną, a miejsca mamy tu dosyć. Czy można jeszcze czymś wam służyć? Może podać herbatę?

- Odrobinę whisky - zażyczyła sobie Edith.

Obecni popatrzyli z najwyższym zdumieniem na starszą panią.

Wreszcie lord Farrow uśmiechnął się szeroko.

- Zamówienie przyjęte. A gdybyście mogły jeszcze trochę poczekać ze spaniem, to sprowadzę tu sir Angusa Cunninghama. Jest szeryfem i powinien jak najszybciej dowiedzieć się, co zaszło.

- Chyba rzeczywiście musimy porozmawiać z szeryfem - zgodziła się z nim Violet.

- To prawda - potwierdziła Merry i popatrzyła na Edith. - Dlatego nie spiesz się za bardzo z tą whisky.

Marka zbudził dotyk wilgotnego pyska. Nad nim stał Galloway, jeden z jego najpiękniejszych arabów, który niewątpliwie doszedł do wniosku, że czas na pobudkę. Mark usiadł, wyskubał siano z włosów i pomyślał, że całkiem dobrze wyspał się w stajni. Jednak zanim zdążył wstać, usłyszał ciche stapanie. Zaraz potem powitały go psy, które poszczekiwały i skamlały, na wyścigi dźgając go pyskami i czule liżąc.

- Przepraszam was - zaprotestował i wspierając się na grzbiecie największej bestii, Malcolma, wreszcie stanął na nogach.

Z sympatią poklepał cztery wielkie łby, ale kiedy Cara postanowiła wspiąć się na tylne łapy - a mimo słusznego wzrostu Marka, była wtedy nieco od niego wyższa - rozkazał stanowczo:

- Leżeć! O, dobra dziewczynka! - pochwalił ją, gdy usłuchała. Potem rozejrzał się dookoła. - Ojczy, gdzie jesteś? Na pewno świetnie się tu bawisz.

Lord Farrow podszedł bliżej. Był w stroju myśliwskim: żółtobrazowych bryczesach, kurtce i czarnych butach z cholewami.

- O, tutaj jesteś. Spodziewałem się, że cię znajdę gdzieś w pobliżu - stwierdził.

Mark otrzepał się ze słomy.

- A cóż innego mogłem zrobić? Joseph spoważniał.

- Możliwe, że jakiś przygłupi włóczęga postanowił poszukać w domu sióstr schronienia, ale w to chyba nie wierzysz, prawda?

- Nie. Ally powinna tutaj zamieszkać. Ciotki też muszą zostać.

- Sam wiesz, że one odmówią. Sprowadziłem wczoraj w nocy sir Angusa Cunninghama. Przeszukał domek i wysłał ludzi, żeby wzmocnili okna tak, by nie można było dostać się do środka nawet po wybiciu szyby. Dam im dwa psy. A ty się zainteresuj, czy twoi przyjaciele nie mogliby nocą dyskretnie patrolować terenu.

- Na pewno będziemy to robić na zmianę.

- Czy mogę coś zaproponować?

- Naturalnie, słucham, ojcze.

- Wasz ślub był planowany od wielu lat. Jeśli zdecydowałeś się wyrazić na niego zgodę, bo przecież, prawdę mówiąc, nie musisz honorować słowa danego przeze mnie, to obstaję, żeby urządzić go w najbliższą sobotę.

- Niewiele czasu zostanie na przygotowania, a zdawało mi się, że obaj ze Stirlingiem myślicie o hucznej uroczystości.

- To nie wydaje mi się konieczne. - Joseph Farrow machnął ręką.

- Jestem tego samego zdania, ale panna Grayson może się z nami nie zgodzić.

- Zobaczymy. Wejdiesz do domu? - spytał Joseph.

Mark pokręcił głową.

- Bertram pozwoli mi się umyć i ubrać w swoim pokoju. Muszę jechać do Londynu.

- Czy choć trochę przybliżasz się do prawdy?

- Blisko na pewno nie jestem, ale zdołałem odrzucić część hipotez.

Nabrałem pewności, że niektórzy podejrzani nie brali w tym udziału.

- Rozumiem. Jeśli jednak ślub miałby odbyć się w sobotę, to sugeruję, abyś wcześniej poświęcił nieco czasu Ally.

- Masz rację, z tym że dziś rano muszę zastanowić się nad kilkoma zeznaniami, które uzyskał Ian.

- Jak uważasz.

- Ojczy?

- Słucham.

- Lionel Wittburg był wczoraj w bardzo złym stanie.

- Aha, to dlatego detektyw Douglas przyszedł do kościoła?

- Tak.

- Jak on się teraz czuje?

- Sądzę, że dużo lepiej.

- To dobrze.

- Powiedział jednak coś bardzo dziwnego. Zgadzam się na ten ślub, ojczy, zgodnie z tym, co sam dawno temu obiecałeś, ale musisz wyjawić mi prawdę.

- Prawdę? Złożyłem przysięgę lordowi Stirlingowi, że w tej sprawie będę milczał.

- Chcę, żebyś mi wytłumaczył, dlaczego Ally Grayson musi poślubić akurat mnie.

- Są tajemnice, które ludzie zabierają do grobu.

- Są też żywi, którzy znają te tajemnice. Lord Wittburg na pewno coś wie.

- Co ci mówił ten stary głupiec?

- Nic. Ja pytam ciebie, ojczy. Chcę poznać prawdę.

Joseph zamilkł.

- Porozmawiamy później - stwierdził w końcu. - Kiedy obowiązki nie będą wzywały cię do Londynu.

Odwrócił się i odszedł ku domowi. Mark patrzył za nim zamyślony. Wyglądało na to, że ojciec jednak postanowił z nim w końcu porozmawiać.

- Nie możemy przesiadywać tu bez końca - stwierdziła Violet.

- Jestem pewna, że w naszym domku jest już bezpiecznie - dodała Edith.

Siedziały przy śniadaniu. Ally nie mogła nadziwić się urodzie tego miejsca, które uważano za zwykły domek myśliwski. Były w nim: wytworny salon, pokój śniadaniowy z oknami wychodzącymi na trawnik od tyłu i las, olbrzymia kuchnia, oficjalna jadalnia, duży pokój dzienny, biblioteka i wiele sypialni.

Za czasów ojca i dziadka lorda Farrow, a nawet podobno wcześniej, hrabiowie Warren przyjeżdżali tutaj z licznymi przyjaciółmi, aby polować, więc duży dom był potrzebny. Obecny hrabia najbardziej lubił w tym miejscu ciszę i spokój, choć z żalem przyznawał, że znacznie więcej czasu spędza w Londynie.

- Jeśli musicie już wracać do siebie, przyślę wam dwa psy - zdecydował lord Farrow. - Obawiam się jednak, Ally, że pani musi pozostać tutaj jako mój gość.

- Jeśli będziemy miały psy...

- Nie sądzę, żeby pani ciotkom cokolwiek groziło. To pani jest w niebezpieczeństwie.

- Skoro tak, zostań - powiedziała stanowczo Violet.

- Nie mogę pozwolić, żebyście odjechały same - sprzeciwiła się Ally.

Lord Farrow odchrząknął.

- Podjęliśmy decyzję, że w sobotę odbędzie się ślub - poinformował.

Ally głośno nabrała tchu.

- Tak szybko? - spytała.

- Pomysł wydaje się rozsądny - stwierdził lord Farrow.

- Ja... ja... - Ally nie mogła znaleźć odpowiednich słów.

- Och, Ally, jak cudownie. Już nigdy nie będziesz musiała niczego się bać - ucieszyła się Merry.

- Przecież teraz też niczego się nie boję. Jestem zła i niepokoję się, że macie zostać same - oświadczyła stanowczo.

- Ally... - Violet drgnęła niespokojnie. - Przykro mi to mówić, ale...

Uważam, że znakomicie poradzimy sobie same, zwłaszcza z tymi psami, które lord Farrow zamierza nam pożyczyć. Jest bardzo prawdopodobne, że stałaś się obiektem czyjejś chorobliwej zazdrości. Tu będziesz najbezpieczniejsza, a nam w naszym domku nic nie grozi.

- Ale...

- Ally, tymczasem, dobrze? - cicho odezwała się Edith.

Było sporo prawdy w tym, co wszyscy mówili. Ally przypomniała sobie, że w Londynie była śledzona, kiedy szła na pocztę. Może ktoś wiedział już, kim jest A. Anonim.

- Proszę, nie rób takiej ponurej miny, moja droga - poprosiła Edith.

- Spędzisz z nami cały piątek. Dopasujemy ci suknię i zrobimy ostatnie poprawki. Tak pięknie będziesz wyglądać - zachwyciła się Merry.

Ally próbowała się uśmiechnąć. Kochała ciotki. Uwielbiała ich domek i podobało jej się, że mogła w nim dorastać. Nagle uświadomiła sobie, że nie tylko ma poślubić prawie obcego człowieka, lecz również odciąć się od swojego dzieciństwa i wszystkiego, co tak długo darzyła uczuciem.

- Mam dobrą bibliotekę - powiedział lord Farrow.

- No widzisz, Ally. Wspaniała biblioteka. Będziesz miała coś dla siebie - zauważyła Violet.

Ally nie chciała powiększać obaw ani strapienia ciotek, a tym bardziej sprowadzić na nie niebezpieczeństwa.

- Jak sobie życzycie, moje miłe - powiedziała.

Kiedy powóz był już pełen pakunków, Bertram dosiadł konia, aby towarzyszyć starszym paniom w drodze przez las, a para psów, Cally i Oz, biegała dookoła w oczekiwaniu na odjazd, Ally ogarnęło wzruszenie. Uściskała po kolei wszystkie trzy ciotki. Merry była bliska płaczu.

- Jesteśmy umówione na piątek - przypomniała Violet, siląc się na pogodny ton.

- A więc do piątku - powiedziała Ally.

- Chodźmy, Ally, pokażę pani bibliotekę - zaproponował lord Farrow. -

Niech pani się nie martwi, zawsze będziemy wiedzieć, gdy ktoś zbliży się do domu. Wilczarze to świetne psy stróżujące. Może pani tu czytać do woli. Mam nowe nabytki, a cała kolekcja liczy sobie setki lat. Poza tym na biurku w bibliotece stoi maszyna do pisania, może z niej pani korzystać. A gdyby pani czegoś potrzebowała, będę w gabinecie, który przylega do mojej sypialni.

Skinęła głową, wciąż nie mogąc otrząsnąć się z poczucia całkowitego zagubienia. Na szczęście biblioteka na drugim piętrze okazała się rzeczywiście i duża, i bardzo bogato zaopatrzona.

- Z tamtymi woluminami proszę się obchodzić bardzo ostrożnie - ostrzegł lord Farrow. - To są autentyczne relacje krzyżowców. Mam też oryginalne wydanie Chaucera.

- Będę bardzo uważać - obiecała.

Zostawił ją sam na sam z książkami. Przez chwilę przyglądała się oprawnym woluminom absolutnie oczarowana. Po chwili zatrzymała wzrok na maszynie. Zlekceważyła wszystkie najbardziej zabytkowe tomy i podeszła prosto do biurka. Leżał na nim stos czystych kartek. Szybko wkręciła jedną z nich do maszyny i zapatrzyła się w klawiaturę. Wkrótce jej palce biegały po klawiszach, a dusza zerwała się do lotu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Mark znajdował się w siedzibie policji, gdzie wraz z detektywem Douglasem rozpatrywali różne okoliczności prowadzonego śledztwa.

- Czy sądzisz, że Lionel Wittburg może być zamieszany? - spytał Ian, który przysiadł na rogu biurka.

- Lord Wittburg zdecydowanie ma kłopoty związane z tą sytuacją, lecz...

- A co z włamywaczem? - spytał Ian. - Czy, twoim zdaniem, te wydarzenia są powiązane?

Natychmiast po przybyciu Mark opowiedział przyjacielowi o włamaniu do domku, ale dzięki nowoczesnym środkom łączności Ian wiedział już sporo na ten temat, rozmawiał bowiem wcześniej przez telefon z sir Angusem Cunninghamem.

Mark wskazał listę, którą akurat miał przed sobą.

- Czy to jest informacja o gościach Gilesa Brandona, uzyskana od Eleanor i gospodyni?

- Tak.

- Odwiedzał go Wittburg. Był też sir Angus

Cunningham. Towarzyszył swojej kuzynce, Elizabeth Prine, wdowie po ofierze drugiego morderstwa, która składała wizytę Eleanor. Ian wzruszył ramionami.

- Przyjaźnią się.

- To prawda. Lionel uczestniczył także w spotkaniu u Brandona.

- To mnie mocno zdziwiło. Przyszedł po śmierci Hudsona Portera. Lista gości z jego domu jest tutaj, dostałem ją w piątek od gospodyni. Każda z przesłuchiowanych kobiet uznała za słuszne ostrzec mnie, że może nie pamiętać wszystkich nazwisk.

- Hm - mruknął Mark, porównując kolumny nazwisk, i zauważył: - Nawet jeśli o kimś zapomnieli, to kilka nazwisk się powtarza.

- Naturalnie. Oni wszyscy mieli związek z tym samym ruchem.

- Nawet lord Lionel Wittburg. - Mark pokręcił głową.

- Czy człowiek utytułowany, blisko związany z królową, rzeczywiście mógł chcieć obalenia monarchii?

- Może wpadł w gniew albo szukał zemsty - podsunął Mark.

- Thane Grier. Bywał we wszystkich trzech domach.

- Jest dziennikarzem. Pisze o takich wydarzeniach. Poza tym dziennikarz nie będzie miał eleganckiego powozu.

- Lionel Wittburg ma bardzo elegancki powóz, podobnie jak sir Angus Cunningham.

- To o niczym nie świadczy.

- Istotnie - przyznał Ian.

- Moim zdaniem, jest możliwe, że morderstw dokonała więcej niż jedna osoba.

- Z tym się zgadzam.

- U żadnej z ofiar nie znaleziono w domu śladów włamania. Żony i gospodynie przebywały poza domem. Morderca miał klucz albo wpuściła go ofiara.

- Przesłuchujemy wszystkich - zapewnił Ian - tyle że ludzie okłamują policję.

- Zbójca musi jak najszybciej zatrzymać lorda Wittburga i sir Andrew - zapowiedział Mark i wstał. Ian wydawał się przygnębiony, więc przyjaciel klepnął go po ramieniu. - Nie martw się. Rozwiążemy zagadkę.

Następnie wybrał się do pubu O'Flannery'ego. W poniedziałek po południu spotykali się tam regularnie przy piwie i zapiekance mięsnej. Patrick, Thomas i Geoff zdążyli się rozsiąść. Flo podała im piwo, a na niego również

czekał pełen kufel. Zająwszy miejsce, Mark skinął na barmankę, a ona odpowiedziała ruchem głowy, obiecując sprawdzić, czy posiłek jest gotowy.

- I co? - spytał Patrick.

- Potrzebuję pomocy, ale jako Mark Farrow - oznajmił, wędrując wzrokiem po ich twarzach.

- No, no - zdziwił się Geoff.

- Ktoś usiłował włamać się do domku, w którym Ally Grayson mieszka z ciotkami - poinformował.

- Usiłował? - zainteresował się Thomas.

- Przybyłem na tyle w porę, by go spłoszyć, ze wstydem przyznaję jednak, że nie zdołałem go ująć.

- Jakiej pomocy potrzebujesz? - spytał Patrick.

- Chciałbym, żebyście nocami na zmianę trzymali straż przy domku.

- Mamy po nocach gapić się na jakąś chałupę w lesie? - spytał z niesmakiem Patrick.

- Jeśli Aleksandra jest w środku... - rzekł Thomas z uśmiechem.

Mark pokręcił głową.

- Ona mieszka teraz w domku myśliwskim mojego ojca.

- Jak to? - spytał Geoff.

- Czyli mamy pilnować trzech staruszek - podsumował Patrick.

- Dlaczego ktoś miałby czyhać na twoją narzeczoną? - chciał wiedzieć Geoff.

Markowi wydawało się, że zna odpowiedź, ale na razie nie zamierzał jej ujawnić nawet najlepszym przyjaciołom.

- Kiedy wyruszamy? - spytał Patrick.

- Muszę dowiedzieć się czegoś więcej o zajęciach konkretnych ludzi - wyjaśnił Mark, zamilkł jednak, bo Flo właśnie niosła im posiłek.

- Prosto z pieca, sama dopilnowałam - zapewniła wesoło. Potem zniżyła głowę. - Dziwna tu dzisiaj atmosfera. Zupełnie jakby ludzie czekali na

wiadomość o następnym morderstwie. Dzięki Bogu ostatni tydzień minął w spokoju. Nawet zbójca i jego banda przestali się pokazywać.

- A co z nastrojami politycznymi?

- Jakaś godzinę temu był tu ten młody dziennikarz, Thane Grier, i pytał o to samo.

- Czy on często tu przychodzi? - podchwycił Mark.

- Lubi przyglądać się ludziom - odrzekła Flo.

- Taki ma zawód - skomentował Patrick.

- Słusznie - przyznał Mark i zapisał w pamięci kolejny fakt. Po odejściu Flo wrócił do sprawy straży przy domku: - Patrick, obejmiesz wartę dziś w nocy. Geoff we wtorek, Thomas w środę, ja w czwartek. Potem uzgodnimy co dalej. A następnie...

- Co takiego? - wtrącił Patrick.

- W sobotę biorę ślub w zamku Carlyle i mam nadzieję, że przyjdziecie.

Po południu Ally zamierzała poszukać w stajniach śladów podwójnego życia Marka. Niestety, właśnie gdy chciała się do tego zabrać, narzeczony wrócił.

- Planuje pani małą przejażdżkę? - spytał.

- Tak - skłamała.

- Sama?

- Owszem.

- To niebezpieczne - stwierdził. - Jeśli jednak ma pani ochotę, chętnie będę jej towarzyszył.

- Pan dopiero co przyjechał. Na pewno zmęczyły pana... rozliczne obowiązki.

- Nie jest jeszcze tak późno, chętnie z panią pojeżdżę. Mam jednak wrażenie - dodał - że nie jest pani najwłaściwiej ubrana.

Ally miała na sobie skromną suknię dzienną.

Często jeździła w ten sposób na starym kucu, którego trzymały ciotki, ale... Spłonęła rumieńcem i uznała, że odrobina szczerości jej nie zaszkodzi.

- Jestem przyzwyczajona do jazdy na oklep.
- W takim stroju?
- Na to wygląda.
- To są konie z charakterem, panno Grayson, nie jakieś człapiące szkapy.
- Potrafię jeździć.
- W to nie wątpię. A może pogalopujemy razem?

Zawahała się, ale kiedy wyciągnął do niej rękę, przyjęła zaproszenie. Bez trudu posadził ją przed sobą w siodle i otoczył ramionami. Popędzili przez trawnik ku drodze. Ally przyznała w duchu, że jazda sprawia jej wyjątkową radość. Wiatr rozwiewał włosy i szczypał policzki. Dzień pachniał świeżością. Popołudnie zbliżało się ku końcowi i na niebie pojawiły się różowe pasma. Mark powściągnął konia nad strumieniem. Zeskoczył z siodła i wyciągnął do niej ramiona. Postawiwszy ją na ziemi, poklepał ogiera.

- To jest Galloway. Dobry towarzysz.

Koń zaczął skubać trawę, a Mark spojrzał Ally w oczy.

- Ślub odbędzie się w sobotę.
- Słyszałam.
- Jest pani gotowa?
- A pan?
- Ja zawsze byłem gotowy.
- Uznałam, że nie mam innego wyjścia, jak wyrazić zgodę. Muszę jednak pana ostrzec.
- Słucham.
- Nie będę stosować się do rozkazów.
- Skąd u pani przypuszczenie, że zamierzam je wydawać?
- Pewne aspekty mojego życia muszą pozostać... moje.
- Tak powinno być.

- Okłamałam pana niedawno.
- Już? Przecież jeszcze nie wzięliśmy ślubu.
- Spytał mnie pan, czy jest ktoś w moim życiu.
- No i co?
- Hm...
- Kto to?
- Nieważne. Ktoś, kto bardzo mnie sobą zainteresował.
- Czyżby? Wpadłbym w wielką rozterkę, gdyby nie to, że dzieliliśmy pocałunek.

Zbyła go machnięciem ręki.

- Pocałunek? - powtórzyła lekceważąco.
- Jest pani taka doświadczona? - spytał.
- Czy to przeszkodzi w małżeństwie?
- Nie.
- Myśli pan całkiem nowocześnie.
- Ważne jest to, co po ślubie - powiedział, a choć ton głosu był łagodny, dźwięczała w nim niezłomność przekonań.

- Czyli rozumiemy się.

- Nie chciałbym zanudzać pani moją przeszłością. Zaskoczyło ją, że po tych słowach poczuła bolesne ukłucie zazdrości.

- Dzięki Bogu - zdołała odpowiedzieć. - To mogłoby ciągnąć się nieznośnie długo.

- Któż jest więc moim rywalem? - spytał, stanąwszy tuż przed Ally.

- Ktoś całkiem niestosowny - odparła.

- To przykre - oświadczył współczująco - ale postąpi pani honorowo i uszanuje wolę przybranych rodziców.

- Tak samo jak pan postanowił uszanować wolę ojca.

- Jest pani w błędzie - zapewnił.

- Tak?

Pomyślała, że gdyby podszedł jeszcze o krok, nadepnąłby jej na palce.

- Czekam na ten ślub z dużą ochotą. Wymieniliśmy jedynie pocałunek, ale to było bardzo obiecujące doświadczenie.

- Doprawdy? Proszę mi wybaczyć, ale nie odniosłam aż takiego wrażenia...

- Muszę więc spróbować jeszcze raz.

Zaskoczona nie zdążyła zripostować. Mark puścił konia i nagle znalazła się w jego ramionach, a pocałunek rzeczywiście nie był zwyczajny. Czuli napór jego ust i zdawało się jej, że topnieje, staje się częścią Marka. Rozwarł ramiona tak niespodziewanie, że omal nie upadła. Ani się spostrzegła, a stał odwrócony do konia i rozglądał się za wozami.

- Myślę, że nie będzie tak źle - powiedział obojętnie.

Ogarnęła ją złość.

- Jedźmy już.

- Pani życzenie jest dla mnie rozkazem, droga Aleksandro.

Znów dosiadł Gallowaya i posadził ją przed sobą w siodle. Wrócili galopem, po czym Mark minął stajnie i postawił Ally na ziemi przed domkiem myśliwskim.

- Dziękuję za miłą przejażdżkę - rzuciła.

- Nie, to ja dziękuję za miłą przejażdżkę - odparł Mark.

Była pewna, że stroi sobie żarty. Mimo to zamierzała go poślubić. I ta decyzja nie miała nic wspólnego z poczuciem honoru. Nie była do końca pewna, ale uznała, że desperackie uczucie, które nią owładnęło, może oznaczać, że się zakochała. Jednak nie zamierzała ułatwić Markowi życia.

- Prrr!

Stangret zatrzymał elegancki powóz. Patrick, jadący obok, dopilnował, aby go rozbroić, gdy tylko próbował wyciągnąć pistolet. Thomas ubezpieczał Patricka, Geoff pracował w drugiej parze z Markiem.

Mark zeskoczył z konia i mocnym szarpnięciem otworzył drzwi powozu. Lord Wittburg właśnie sięgał po broń. Mark nie chciał naturalnie skrzywdzić starszego dżentelmena, ale nie zamierzał też narazić się na postrzał.

- Proszę się nie ruszać, milordzie. Nie chcę pana zranić - oznajmił stanowczo.

Przyglądając się zmianie wyrazu twarzy Wittburga, uznał, że i on nie dąży do strzelaniny, na szali znalazła się jednak jego duma.

- Może zechce pan wysiąść, milordzie.

Wittburg sztywno i z wielką godnością wykonał polecenie. Gdy tylko stanął na drodze, Mark skinął głową na Geoffa, a sam wskoczył do pudła powozu. Pojazd był elegancki, choć dość stary. Przeszukanie go nie zajęło Markowi dużo czasu. Znalazł pelerynę, lecz na czarnym okryciu nie zauważył śladów krwi. W skrzyni były również buty do konnej jazdy, ale wydawały się oblepione jedynie błotem.

- Są jakieś skarby? - zawołał z zewnątrz Geoff.

Mark wiedział, że przyjaciele, trzymając pod bronią Wittburga, czują się wyjątkowo skrepowani, znacznie bardziej niż podczas innych napadów.

- Nie ma niczego wartościowego! - odkrzyknął.

Nie przestał jednak badać zawartości skrzyni: dokładnie obmacał pelerynę i jeszcze raz dokonał oględzin butów. Wreszcie wrócił na drogę.

- Niczego nie ma - poskarżył się i wskoczył na konia.

- Zegarek i sakiewka wydają się warte uwagi - oznajmił Thomas.

- Niewarte naszego wysiłku - burknął Mark. Wittburg wciąż zachowywał wielką godność.

- Będziesz wisiał - zapewnił.

Mark słyszał już te słowa nieraz, aczkolwiek z ust Wittburga...

- To niewykluczone. Wasza lordowska mość może jechać dalej.

- Niczego nie zabieracie?

- Oj, bo zmienię zdanie.

Wsiadając do powozu, lord Lionel Wittburg poślizgnął się na stopniu i upadłby niechybnie, gdyby Mark go nie podtrzymał. Ze złością wyszarpnął ramię z uścisku.

- Nie będę dziękować kryminaliście - oświadczył i z trzaskiem zamknął za sobą drzwi.

- Jazda! - krzyknął do stangreta Patrick.

- Dwóch na zachód, dwóch na wschód - zakomenderował Mark, gdy powóz zaczął się oddalać. Znikli w lesie.

Rola gościa lorda Farrow nie była krępująca. Gospodarz miał mnóstwo uroku osobistego, a przy tym cenił sobie prywatność, swoją i osoby zaproszonej. Kiedy oznajmił, że wybiera się do Londynu w interesach, wydawał się bardzo zadowolony z inicjatywy Ally, która spytała, czy może mu towarzyszyć. Potem jednak, w powozie, sprawiał wrażenie zafrasowanego.

- Nie powinienem był się zgodzić. Obawiam się o pani bezpieczeństwo w czasie, gdy będę zajęty.

- Niepotrzebnie. Będę robić zakupy tylko na głównych ulicach, tam, gdzie chodzi dużo ludzi - zapewniła.

Lord Farrow wysiadł z powozu niedaleko Big Bena, poleciwszy Bertramowi, żeby zaopiekował się panną Grayson. Służący skinął głową, gotów z wielką pieczołowitością wykonać polecenie pana. Ally poprosiła, aby wysadził ją niedaleko muzeum, i zaproponowała, że spotkają się w tym samym miejscu dwie godziny później. Uśmiechnęła się, gdy zauważyła, że Bertram ma na siedzeniu książkę. Nic dziwnego, że stać go na cierpliwość, skoro może skrócić czas oczekiwania czytaniem, pomyślała.

Weszła do muzeum, by po chwili opuścić je innymi drzwiami. W rzeczywistości znowu wybierała się na pocztę. Tym razem jednak postanowiła być ostrożna. Zajrzała po drodze do kilku sklepów, kupiła koronki dla ciotek, dwie sakiewki i małą torebkę. Gdyby nie zgubiła czeku, mogłaby jeszcze

zaopatrzyć się w uroczą mufkę, wyeksponowaną w jednej z witryn. Niestety, nie widziała żadnego sposobu, jak czek odzyskać.

Gdy wreszcie dotarła na pocztę, przekonała się, że czek przesłano jej ponownie. Najwidoczniej Mark zwrócił go do redakcji. Przyszło jej do głowy, że narzeczony może za nią iść, więc czym prędzej obejrzała się za siebie. Nie zauważyła nikogo podejrzanego. Ruszyła przed siebie, a po chwili doszła do redakcji gazety. Dawniej przychodziła tutaj po prostu popatrzeć na sam gmach, pomarzyć, że to miejsce jej pracy, choć najbardziej chciała zostać powieściopisarką, wymyślać takie historie, jak Arthur Conan Doyle, siostry Bronte lub nawet Edgar Allan Poe. Bardzo się zdziwiła, gdy zaczęła próbować swoich sił w pisaniu artykułów i przekonała się, że potrafi to robić.

Stała tak zadumana na chodniku, gdy nagle usłyszała wołanie.

- Panno Grayson!

Odwróciła się i ujrzała Thane'a Grier'a. W sztuczkowej marynarce, płowej kamizelce i czarnych spodniach prezentował się efektownie i wydawał się całkiem pogodny, w każdym razie na pewno bardziej zadowolony z życia niż podczas ich ostatniego spotkania.

- Jak się pani miewa?

- Dziękuję, nie narzekam. A pan?

- Lepiej nie można. - Zniżył głos i cicho się roześmiał. - A. Anonim nie pisze codziennie.

- Rozumiem, że odzyskał pan pierwszą stronę.

- Tak. Wejdzie pani na górę? Nie jest tam może zbyt elegancko.

- Bardzo chętnie.

- Zapraszam więc.

Oprowadził ją po budynku, pokazał miejsce, gdzie gotowe gazety czekają na sprzedawców, drukarnię i pokoje redakcyjne. Tu nieustannie dzwoniły telefony, przy których dwoili się i troili sprzedawcy powierzchni reklamowej, a ludzie, usadzeni przy rzędach biurek, pisali na maszynie lub kartkowali grube

tomiska, weryfikując fakty. Trochę onieśmielona spotkaniem z redaktorem naczelnym, poczuła wielką dumę, kiedy usłyszała rzuconą mimochodem uwagę, że gazeta zawsze chętnie weźmie takie teksty, jak te pisane przez A. Anonima. Ally nie chciała nadużywać gościnności, jednak kiedy była już przy drzwiach, naczelny ją zawołał.

- Pani ślub opiszemy na pierwszej stronie - oznajmił.

Uśmiechnęła się, choć nie zamierzała ujawnić, że odbędzie się już w najbliższą sobotę. Nie miała przecież pojęcia, w jakiej fazie są przygotowania i czy należy zachować je w sekrecie.

Wraz z Grierem wyszła na ulicę.

- Czy mogę zaprosić panią na herbatę? - spytał Thane.

Podekscytowana i pełna wrażeń miała wielką ochotę skorzystać z zaproszenia, uświadomiła sobie jednak, że skończył jej się czas i musi wrócić do Bertrama.

- Przepraszam, chciałabym, ale jestem w mieście z lordem Farrow.

- Powinniśmy porozmawiać - oznajmił.

- Przecież rozmawiamy, czyż nie?

- Bardzo proszę uważać na siebie.

- Nie rozumiem, o co chodzi.

- Czy pani wie, że jej narzeczony był niedawno w redakcji?

- Naprawdę? I co tam robił? - starała się nie objawić zainteresowania.

- Nie wiem, nie słyszałem. Rozmawiał z naczelnym i wręczył mu kopertę.

- Może zaczął pisać - wyraziła przypuszczenie. Thane zmierzył ją spojrzeniem pełnym powagi.

- Dziękuję panu. Szczerze mówiąc, zawsze marzyłam, żeby znaleźć się tam, gdzie dzisiaj byłam - powiedziała, gdy nie doczekała się odpowiedzi.

- Rozumiem, więc pani pisze.

- Wielkie nieba, ależ pan ma wyobraźnię.

- Czy Mark Farrow nie dostarczył przypadkiem tej koperty w pani imieniu?

- Na pewno nie - zapewniła go. - W każdym razie jeszcze raz dziękuję. Bardzo miło spędziłam czas.

- Cieszę się, choć to dziwne.

- Co w tym dziwnego?

- Że redakcja gazety wydaje się pani tak pasjonującym miejscem. I że marzyła pani, aby je odwiedzić.

- Uwielbiam czytać.

- Rozumiem.

- Dziękuję jeszcze raz, muszę się pospieszyć.

Uścisnęła mu rękę, odwróciła się i szybko oddaliła. Przemierzywszy kilka ulic, skręciła za róg i weszła od tyłu do muzeum, po czym wyszła od frontu. Bertram istotnie już na nią czekał. Lord Farrow najwyraźniej załatwił swoje sprawy i udało mu się znaleźć powóz, bo siedział w środku.

- Już zaczynałem się obawiać, że naprawdę naraziłem panią na niebezpieczeństwo - powitał ją.

- Czyżbym się spóźniła? Bardzo przepraszam.

- To było zaledwie kilka minut. No cóż, ostatnie wydarzenia budzą u człowieka zupełnie niepotrzebny niepokój. Przyszłaś jak najbardziej w porę, moja droga. A czy zakupy się udały?

Owszem, przyznała w duchu Ally. Znowu miała w ręku czek. Kolejny artykuł wkrótce znajdzie się w redakcji. Poza tym była niemal pewna, że gdy szła na pocztę, nikt jej nie śledził. Dobrze zaczęty dzień dalej był równie przyjemny, mimo że Mark Farrow wytrącił ją z równowagi, zdążył bowiem wrócić do domu na kolację. Wydawał się czymś zaabsorbowany, ale przy posiłku zachowywał się uprzejmie.

Po zakończonej kolacji Ally wymówiła się zmęczeniem, co nie wzbudziło żadnych zastrzeżeń. Najwidoczniej synowi i ojcu zależało, aby jak najszybciej

porozmawiać na osobności, do czego pretekstem stało się zwyczajowe wypicie szklaneczki brandy i zapalenie cygara.

Widząc obu mężczyzn, zmierzających do prywatnych komnat lorda Farrow, i podążającego za nimi Bertrama z tacą, Ally porzuciła pierwotny zamiar udania się do sypialni i zamiast tego wyniknęła się z domu do stajni.

Od czego zacząć? Zajrzała do siodłami. Wiedziała też, że naprzeciwko znajdują się pokoje Bertrama. Te dwa miejsca uznała za najciekawsze. Drzwi do pokoiów służącego były otwarte. Bertram wydawał się mieć niewiele potrzeb. W wyposażeniu znajdowały się półki z książkami, kredens z alkoholem i kominek oraz jedna szafa. Ally zajrzała do niej, ale ubrania bez wątpienia należały do rosnącego służącego. Szybko przejrzała zawartość szuflad, choć bardzo dręczyło ją poczucie, że takie wścibstwo jest wyjątkowo obrzydliwe. W niewielkim ustępie znalazła jedynie mydło i ręczniki. Szybko opuściła pokój i zamknęła za sobą drzwi. Pojawiły się przy niej wilczarze, machające grubymi ogonami.

- Dobry piesek, dobra sunia - powiedziała cicho, klepiąc zwierzęta po łbach.

Poczuła się pewniej, wiedziała bowiem, że w obecności psów nie jest narażona na najście intruza. Najbardziej bała się, że ktoś z domowników przyłąpie ją na myszkowaniu, przed czym psy jej nie chroniły. Zerknęła w stronę domu, ponieważ jednak nikogo nie zobaczyła, pospieszyła do siodlarni.

Wisiały tam w równym rzędzie uprząże, na kozłach czekały przygotowane siodła, były też pojemniki z olejem do skór i inne akcesoria. Przy wyjściu jej uwagę zwróciła drabina prowadząca na strych.

Niewiele myśląc, Ally wspięła się na górę. Znalazła tam jednak siano i tylko siano. Zawiedziona usiadła na beli, zdziwiło ją jednak, że jest taka twarda. Część beli można było odłożyć na bok, w środku zaś znajdował się kufer, a w nim czarne peleryny, buty do konnej jazdy i jedwabne maski. Gorączkowo kontynuowała poszukiwania. Szkicownika znaleźć jednak nie mogła.

Nagle znieruchomiała, doleciały ją bowiem głosy. Serce podeszło jej do gardła. Podsunęła się do krawędzi stryszku i zerknęła w dół.

- Wielu ludzi pracuje nad tą sprawą, ojcze. Ian przyjmuje moje sugestie i wysyła policjantów na ulice, żeby zbierali informacje. Oba doskonale wiemy, że lord Wittburg przeżyłby zgrozę, gdyby odwiedził go policjant. Iana nie wpuściłby do swojego domu za nic.

- Ja to wiem, tyle że prowadzisz bardzo niebezpieczną grę - powiedział lord Farrow. - Mimo tylu wysiłków nie wydajemy się bliżsi prawdy niż na początku, chociaż nie wątpię, że Ian sprawdza każdy możliwy ślad.

Ally zastanawiała się, co lord Farrow z Markiem robią w stajni. Dlaczego nie zostali w domu z brandy i cygarami? I jak, u licha, miała teraz wrócić do domu?

- A ty po co tu buszujesz? - spytał nagle Mark. Na szczęście Ally nie wydała żadnego niekontrolowanego dźwięku. Po chwili zorientowała się, że pytanie było skierowane do psa. Usłyszała radosne szczeknięcie, najwidoczniej Mark poklepał pupila.

- Idę się położyć, synu. Jutro o świcie wyjeżdżam do Londynu. Pojadę konno, Bertram zostanie. Nie możemy pozwolić, żeby panna Grayson choć przez chwilę była sama.

- Dziękuję, ojcze.

Głosy zaczęły się oddalać, a słowa zamazywać. Widocznie obaj mężczyźni zawrócili do domu. Z czystej ostrożności Ally postanowiła zaczekać jeszcze przez moment. W końcu uznała, że upłynęło dość czasu. Wychyliwszy się, nikogo nie zauważyła, więc najszybciej jak umiała zeszła po drabinie.

Pozostały jednak psy.

- O, zdradzieckie bestie! - powiedziała do czekającej pary. Oba wilczarze radośnie szczeknęły i zaczęły trącać ją pyskami. - No dobrze, niech będzie. - Poglaskała psy, rozglądając się dookoła, aby sprawdzić, czy nikt z ludzi lorda

Farrow nie znajduje się w pobliżu. Na szczęście mogła bez przeszkód wślizgnąć się do domu. We wnętrzu panowała cisza, weszła więc do salonu.

- Moja droga panna Grayson.

Zmartwiała. Mark wyłonił się z ciemnego kąta, gdzie spoczywał na kanapie. W półmroku słabo widziała rysy jego twarzy.

- Mark... - zająknęła się.

- Myślałem, że pani się położyła, Ally.

- Musiałam zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Rozumiem.

- Miły wieczór.

- Rzeczywiście.

- No cóż, dobranoc.

- Dobranoc. Aha! - przypomniał sobie nagle Mark.

- Słucham.

- Jutro przez większą część dnia mój ojciec i ja będziemy załatwiać różne sprawy, ale zostanie tutaj Bertram. Bardzo proszę, niech pani nie chodzi ani nie jeździ nigdzie sama. W domu nic pani nie grozi.

- Naturalnie - przytaknęła, chcąc jak najszybciej opuścić salon.

- Ally?

Zamarła, ale po chwili wolno się odwróciła. Mark wciąż stał w głębokim cieniu.

- Ma pani coś we włosach.

- We włosach?

Przesunęła po nich dłonią i znalazła źdźbło siana.

- Gałązka - zająknęła się. - Dziękuję... już zdjęłam. Dobranoc - powiedziała stanowczo.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Ally musiała przyznać, że w domku myśliwskim niezwykle jej się podoba. Przede wszystkim była w nim elektryczność, mogła więc czytać, kiedy tylko zapragnęła. W łazience przy swoim pokoju miała wspaniałą wannę i nigdy nie brakowało gorącej wody do kąpieli. Gdy zbudziła się rano, pomyślała z zadowoleniem, że przez cały dzień będzie wyłączną panią tego miejsca. Będzie miała czas rozkoszować się posiłkami, odwiedzić jeszcze raz stryszek w stajni i poszukać szkicownika, wreszcie posiedzieć w bibliotece, nie obawiając się, że czyjeś wścibskie oczy mogą podejrzeć, co pisze.

Dokończyła śniadanie złożone z owoców, jajek oraz muffinek i wyszła na zewnątrz. Musiała najpierw ustalić, gdzie podział się Bertram, a dopiero potem rozpocząć poszukiwania. Na szczęście pierwsze zadanie okazało się łatwe, ponieważ służący przycinał żywopłot przed domem.

Skierowała się ku stajniom, ale zmieniła zdanie, postanowiła bowiem wziąć z pokoju chustkę na głowę, żeby mieć czym osłonić świeżo umyte włosy i zapobiec powtórzeniu się wypadku z sianem, które poprzedniego wieczoru omal nie przyczyniło się do jej zguby. Z salonu przeszła do sieni, a potem do sypialni, którą traktowała już niemal jak własną. Chciała wyjąć chustkę z szufladki w toalecie, gdy w lustrze dostrzegła ruch za swoimi plecami. Omal nie krzyknęła. To był zbójca. Siedział wygodnie na jej łóżku, z maską na twarzy, a obute nogi wyciągnął swobodnie na pościeli.

- Co pan tu robi, na miłość boską? Czy pan oszalał? - Naturalnie wiedziała, do kogo mówi, ale nie zamierzała się z tym ujawnić. Nie, takiej satysfakcji zdecydowanie nie zamierzała mu dać.

- Pst - odpowiedział i szybko się do niej zbliżył. - Nie zdradzi mnie pani, prawda?

To była wspaniała chwila.

- Nigdy - przysięgła uroczyście.
- Wyjechali na cały dzień? - spytał.
- Kto?
- Lord Farrow z synem.

Skinęła głową.

- Tak, wyjechali. - Postarała się, aby z jej tonu bił niepokój. - Pan jest jednak nadto zuchwały. Nie powinno pana tutaj być. Bertram pilnuje domu, a pomagają mu psy. Nawiasem mówiąc, jak pan sobie z nimi poradził?

- Udało mi się je oswoić. Najgroźniejszego psa można powoli obłaskawić, podsuwając mu odpowiednie smakołyki i kości. Byłem w tej okolicy wiele razy, więc skorzystałem z tej możliwości.

Właściciele często tu nie ma, sama pani wie. Podobno w sobotę wychodzi pani za męża.

- Skąd pan to wie?
- Z gazety. Wygląda na to, że lord Stirling dał ogłoszenie.
- Rozumiem.
- Chce pani wziąć ślub? - spytał.
- To sprawa honorowa - wyjaśniła.
- A czy zna pani tego człowieka? Sądzi pani, że będzie mogła z nim spędzić resztę życia? Jaki on jest?

Och, teraz będę mogła sobie użyć, pomyślała Ally.

- Wyjątkowo arogancki.
- Nie wydaje się, żeby był dobrym kandydatem na męża.
- Jest też irytujący.
- Naprawdę?
- Cierpi na przerost miłości własnej.
- To okropne.

Uśmiechnęła się i położyła mu dłoń na torsie. Wyrazne westchnienie zbójcy bardzo ucieszyło Ally. Przesunęła palce ku górze, tak że dotknęły jego nagiej skóry w wycięciu kołnierzyka, a potem zaczęła powoli rozpinać koszulę.

- Takiego człowieka mam poślubić w sobotę.

- I co?

- Pomyślałam więc, że chociaż boję się naturalnie o pańskie życie, to nie mogę powiedzieć, żebym nie cieszyła się z jego obecności tutaj.

Zaczęła dotykać palcami maski, aż odnalazła w jej wycięciu usta. Zbliżyła twarz i czubkiem języka obwiodła wargi. Zgodnie z przewidywaniami zaraz potem znalazła się w jego ramionach. Poczula palce zbójcy we włosach, a w ustach jego język, zachęcający do elektryzujących pieszczot.

Przez chwilę próbowała się zastanowić, na czym właściwie ma polegać ta zemsta, skoro oboje wydają się więcej niż zadowoleni. A jednak...

Zbójca raptem się odsunął.

- Ma pani kogoś poślubić - przypomniał jej.

- Jeszcze nie poślubiłam.

- Nie?

- A ponieważ mamy okazję do spędzenia słodkich chwil, zróbmy to razem - szepnęła.

Nie miała planów, jak daleko posunie tę grę, zanim powie mu całą prawdę. Ponieważ jednak odkryła swoją fascynację tym mężczyzną, kiedy przedzierzał się w zbójcę, nie mogła odmówić sobie przyjemności dokonania dalszych odkryć. Powinna jednak je przerwać. Zdradzić się ze swoją wiedzą. Powinna...

Znów zawładnął jej ustami; pocałunek był niesłychanie zmysłowy. Ally czekała na pieszczoty. Tymczasem dalej radziła sobie z perłowymi guzikami jego koszuli i nawet nie zauważyła, kiedy zbójca poderwał ją z ziemi i znalazła się pod nim na łożu. Przez rozcięcia w masce lśniły zapatrzone w nią niebieskie oczy.

Zaczął rozpinąć guziczki stanika sukni. Gdy pokonał już wszystkie przeszkody, położył dłoń na jej piersi, od której dzielił go już tylko cieniutki jedwab koszulki. Ally zamknęła oczy i upajała się kolejnym pocałunkiem, jeszcze bardziej namiętnym. Męskie dłonie pieściły jej piersi, brzuch, biodra, a usta, znaczące pocałunkami linię szyi, przesunęły się niżej, gdzie język rozpoczął igraszki z sutkami, wciąż osłoniętymi cieniutkim jedwabiem. Ally nie wiedziała nawet, kiedy pasek przestał trzymać spódnicę, ani w jaki sposób zbójca uwalniał ją z krępujących warstw materiału. Cała była skupiona na dotyku jego dłoni, które, opuściwszy biodra, odkryły pośladki. Niechybnie podarłaby na nim koszulę, gdyby nie to, że już jej nie było.

Zbójca uniósł się, by ostatecznie pozbawić ją spódnicy i halek. Potem zdjął ze stóp delikatne trzewiki i zajął się podwiązkami. Wkrótce obie spłynęły na podłogę jak niewielkie obłoki. Ally zamknęła oczy, myśląc, że chyba posunęła się w tej grze za daleko, ale uniesiona euforią mało o to dbała. Ocknęła się, gdy zbójca alias Mark znów znalazł się przy niej, już całkiem nagi, i chwycił za rąbek jej koszulki, ostatni skrawek materiału, który mógł ich jeszcze dzielić.

Otworzyła usta, by coś powiedzieć, zanim jednak uświadomiła sobie, co to miało być, przeszkodził jej kolejnym pocałunkiem. Jego ręce były teraz wszędzie, głaskały ją, trzymały, przyciskały, trącały. Jej ciało zaczęły przeszywać cudowne dreszcze. Intymny dotyk warg na brzuchu wyzwolił w niej nową falę doznań. Tymczasem jego wargi rysowały na jej ciele skomplikowane wzory i docierały coraz niżej. A potem nagle znów odnalazły jej usta i oboje złączyli się w pocałunku, podczas którego Ally poczuła nagle dłoń wsuwającą się między jej uda.

Wydała okrzyk; w jej wnętrzu narastało coś potężnego i zupełnie niewyobrażalnego, co prowadziło na granicę szaleństwa, aby wreszcie wybuchnąć rozkoszą.

Ally nie zdążyła jeszcze wrócić na ziemię, gdy zbój zwarł się z nią w pocałunku i nagle przykrył całym sobą. Poczowała ruch, który ją wypełniał i rozbudzał pragnienie. Kołysanie było niezbyt szybkie, delikatne, lecz miało niezwykłą siłę. Ally chciała krzyknąć, ale usta zamknął jej pocałunek. Czas płynął, a ona była świadoma już tylko otaczającego ją zapachu mężczyzny i narastającej bolesnej rozkoszy. Wreszcie cały świat uniósł się i rzeczywistość przestała istnieć.

Wszystko wokół niej wirowało, gdy położył się obok. I wtedy Ally ogarnął lęk. Uświadomiła sobie, co zrobiła, i nie mogła uwolnić się od natrętnego pytania. A co będzie, jeśli jej nie uwierzy? Bała się otworzyć oczy. Długo leżała w jego ramionach, a on rozplątywał kosmyki jej włosów. Wreszcie, gdy nieznacznie się poruszył, mimo woli otworzyła oczy. Zbójca zsunął z twarzy maskę i teraz patrzyła na nią znajoma twarz.

- Wiedziałaś, kim jesteś - szepnęła.
- Wiem - odpowiedział. Zaskoczona usiadła.
- Nie! Nie wiedziałeś.
- Wiedziałem. - Uśmiechnął się.
- Kłamiesz. - Nagle świadoma swojej nagości okryła piersi zmiętą kołdrą.
- Twoja miłość własna nie może znieść faktu, że mogłam pragnąć innego.
- Wszystko po to, żeby dać mi lekcję?
- Niezupełnie, chociaż z pewnością na nią zasłużyłeś.
- Chciałaś mnie podręczyć. Przykro mi bardzo, ale wiedziałem. Choćby dlatego, że byłaś wczoraj wieczorem na strychu w stajni.
- Nie widziałeś mnie tam.
- Nie, ale zdradziły cię psy, a potem wróciłaś do domu cała w sianie. Podśluchiwałaś moją rozmowę z ojcem.
- Nie podśluchiwałam - obruszyła się. - Po prostu nie mogłam zejść.
- Mogłaś ujawnić swoją obecność.

- Twój ojciec dowiedziałby się wtedy o twoim drugim życiu. A może on też jest przestępcą? - spytała.

- Mój ojciec? Przestępcą?

Wlepił w nią wzrok, zdumiony. Niespodziewanie wybuchnął śmiechem i wyciągnął do niej ramiona. Cofnęła się, przejęta nagłą irytacją. Znowu udało mu się wykręcić kota ogonem. Zamierzała zagrać mu na nosie, a tymczasem zdaje się, że to on był górą.

- Czyżbyś nagle stała się wstydliva?

- Doszłam do wniosku, że wolę przestępcę!

- Dlaczego się gniewasz? Przecież to mnie chciałaś rozzłościć, miałem myśleć, że przede mną chętnie poznałabyś bardzo intymnie pewnego wyrzutka społeczeństwa.

- Dlaczego „myśleć”? To była prawda. Wstał, zupełnie nie przejmując się nagością swego pięknie rzeźbionego ciała.

- Ally...

- Wolałabym zostać sama.

- Daj spokój. Ten żart obrócił się przeciwko nam obojgu.

- To miał być żart?

- Wybacz mi. Czy poczujesz się lepiej, jeśli powiem ci, że początkowo rzeczywiście nie byłem pewien, czy wszystkiego się domyśliłaś. Torturowałaś mnie całkiem skutecznie, zmuszając do ciągłych rozważań na ten temat.

Nagły odgłos dzwonka sprawił, że Ally aż podskoczyła, natomiast Mark głęboko się zasepił.

- To telefon - powiedział. Sięgnął po kołdrę. - Mogę?

- Nie!

Kołdra znikła z łóżka, jeszcze zanim przebrzmiała jej odpowiedź. Mark owinął się nią i wyszedł z pokoju. Zmarznięta i przejęta głębokim wstydem, Ally z niepokojem schroniła się w łazience. Napełniła wannę gorącą wodą i powoli się zanurzyła. Jak bardzo go nienawidziła. Jak bardzo go kochała...

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Ally?

- Wynoś się!

Ku jej zaskoczeniu Mark usłuchał. Skulona czekała w wannie na jego powrót. Była wściekła i taka chciała pozostać. Powinien z nią porozmawiać. Miała prawo wszystko zrozumieć. Chciała kochać go takim, jaki jest naprawdę, w ten sam sposób, w jaki pokochała przestępcę za jego szlachetność i bystrość.

Jednak Mark nie wrócił. Tymczasem uświadomiła sobie, że wszystko ją boli, więc posiedziała jeszcze trochę w wodzie, aby rozluźnić mięśnie. Woda powoli stygła, a jej wciąż kłębiły się w głowie sprzeczne myśli. Wreszcie wstała i mimo wahania przeszła do sypialni, gdzie jednak nie zastała Marka. Mimo drżenia palców udało jej się jakoś ubrać.

Weszła do salonu, okazało się, że tam na nią czeka.

Tym razem niezaprzeczalnie był synem hrabiego, wystrojonym w piękną brokatową kamizelkę i elegancki surdut, a do tego bryczesy i wysokie buty. Stał przy ogniu z jej szkicownikiem w dłoniach. Czytał.

- Oddaj mi to! - zażądała i ruszyła ku Markowi.

Zatrzasnął albumik, a kiedy na nią spojrzał, wydał jej się całkiem obcym człowiekiem.

- Jesteś idiotką - powiedział. Stanęła jak skamieniała.

- Słucham? - spytała lodowatym tonem.

- Wróciłaś na pocztę.

- Jak to wróciłam?

- Czy nie pojmujesz, że nosisz dużo bardziej niebezpieczną maskę ode mnie? Jak myślisz, dlaczego napadnięto cię w domku ciotek? Zdaje ci się, że ci ludzie po prostu się bawią? Chyba powinienem cię wziąć na wycieczkę do kostnicy. Może jeśli obejrzyysz mężczyznę z poderżniętym gardłem, nauczy cię to trochę rozumu.

- O czym ty mówisz?

- O A. Anonimie. Byłem dostatecznie naiwny, by ci uwierzyć, kiedy zaprzeczyłaś, że koperta należy do ciebie. A teraz... Boże wielki. Napisałaś następny artykuł.

- Piszę znakomite artykuły - oświadczyła z godnością.

- Za które cię zabijają. Zmrużyła oczy.

- Rozumiem, że zbójcy nic nie grozi. Chyba że któregoś dnia zostanie zastrzelony.

- To zupełnie inna sprawa.

- Tak? A niby dlaczego? Najwyraźniej w twoim przekonaniu istnieje ważny powód, żebyś uprawiał tę maskaradę i ryzykował życie, zatrzymując powozy. Może jednak ja widzę równie ważny powód, żeby ryzykować życie, pisząc to, co wydaje mi się ważne.

- A. Anonim prowokuje mordercę.

- A. Anonim chce nakłonić ludzi do myślenia.

- Sama się prosisz, żeby ktoś poderznął ci gardło.

- Piszę to, co widzę i co inni powinni zobaczyć - odparła z godnością.

- Poszłaś na pocztę po raz drugi. Mimo że ktoś omal nie włamał się do domku.

- Nikt mnie nie śledził.

- Czyżby? Ten telefon przed chwilą był ze Scotland Yardu. Widziano cię.

- Kazałeś mnie śledzić?! Jak śmiałeś? Pokręcił głową.

- Nie kazałem. Poleciałem Ianowi, żeby zorganizował obserwację poczty. Jego człowiek cię zauważył.

- To oczywiste, skoro powiedziałeś policji...

- Za pierwszym razem byłaś śledzona w drodze z muzeum. Mogło się to zdarzyć ponownie. Ale jakie to ma znaczenie? Zauważono cię raz, więc drugi raz nie robi różnicy.

- Może przestaniesz zachowywać się tak, jakbym robiła coś niezgodnego z prawem. To twoje wyczyny są nielegalne.

- Koniec tego dobrego.
- Nie!
- Masz zostać moją żoną.
- Nie przestanę pisać.
- Nie zamierzam żenić się z trupem.

Jeszcze nigdy nie widziała go w takim stanie. Był oschły i nieustępliwy.

- Nie znam cię - powiedziała cicho. - Nie znam cię ani trochę. W każdym razie nic się nie zmieniło, nie musisz brać ze mną ślubu.

Ally poszła do sypialni, w której zamknęła się na klucz. Nie miało to zresztą znaczenia, bo Mark wcale nie próbował do niej wejść. Kilka minut później usłyszała trzask frontowych drzwi - znak, że wyszedł z domu. Dość długo siedziała w swoim pokoju. Wreszcie jednak wstała. Nie musiała już przeszukiwać stryżku. Była sama w bardzo eleganckim domku myśliwskim. Mogła skorzystać z biblioteki. Mogła poczytać wspaniałe książki. Mogła popisać...

Po chwili znalazła się w bibliotece. Były tam również psy. Gdy usiadła przy biurku, Malcolm podszedł do niej i zaskowyczał, po czym ułożył się u jej stóp, a Cara przybiegła za nim i ułożyła się na perskim dywanie pośrodku pokoju. Ally wkręciła kartkę w maszynę. Słowa nie chciały jednak do niej przyjść. Oparła ramiona na maszynie, położyła na nich głowę i zaczęła płakać. Nie trwało to długo. Wyprostowała się, przyglądała włosy, wlepiła wzrok w maszynę i zaczęła szukać formy dla swych myśli.

„Świat się zmienia. Każdego dnia widzimy nowinki techniczne. Człowiek chce pozostać taki jak przedtem, a jednak w tym zmieniającym się świecie nie możemy pozwolić sobie na bierność. Mężczyźni wyruszają na wojny jako żołnierze - zawsze mają do dyspozycji nowy konflikt, bo te są potrzebne do podtrzymania naszego imperium - ale kobiety, mające poczucie, że ich obowiązkiem jest walczyć, muszą stawić czoło temu, co jest traktowane jak norma, i znaleźć przebranie, w którym mogą pojawić się na polu bitwy.

Tak jest niezmiennie, bez względu na to, czy wojna toczy się w Azji, Afryce, Europie czy gdzieś dalej. Każdy żyjący mężczyzna i każda żyjąca kobieta muszą prędzej czy później stoczyć walkę wewnętrzną, walkę z sobą. Zdecydowanie za często zdarza się, że w życiu nosimy przebrania. W istocie jest nam ono potrzebne, ponieważ niejednokrotnie bywa tak, że to właśnie fasada umożliwia osiągnięcie pożądanego celu.

Kochać to zaglądać pod maskę, zachowując stałość uczucia".

Odchyliła się na oparcie i zerknęła na tekst. Nie. To nie nadawało się do gazety. Popatrzyła jeszcze raz na zapisaną kartkę i zaczęła wyciągać ją z maszyny. Zanim zmięła ją w kulę, zawahała się uderzona nagłą myślą. Antymonarchiści byli pewni, że to monarchiści są odpowiedzialni za morderstwa. Monarchiści byli pewni, że to antymonarchiści ponoszą winę, sama zresztą pomagała rozpowszechnić to ostatnie przeświadczenie. Lecz...

To uczucie, a nie logika rządzi zwykle światem. Namiętności na wielką skalę wywierają w polityce decydujący wpływ. A jeśli wszyscy dotąd byli w błędzie?

Jeśli morderstwo popełniono nie z pobudek politycznych, lecz z powodu namiętności o charakterze znacznie bardziej osobistym? Nigdy wcześniej nie doznała równie wyrazistego uczucia czy też wrażenia, ponieważ - co uczciwie przyznawała - brak jej było podobnych doświadczeń, póki Mark nie stał się częścią jej życia. Dopiero teraz była w stanie zrozumieć uczucia nienawiści i gniewu, wszystkie związane z miłością i tęsknotą, a także z urazą, która mogła pojawić się tylko wtedy, gdy uczucia były zbyt gwałtowne.

Jeszcze chwila wahania i jej palce odnalazły właściwy rytm na klawiaturze.

Mogła mylić się teraz albo mogła być w błędzie za pierwszym razem. Nie to było ważne. Nie przedstawiała przecież faktów, lecz wyrażała swoje poglądy. Poddawała swoje myśli pod dyskusję, aby skłonić innych do myślenia.

Tego wieczoru lord Farrow wrócił wcześniej niż jego syn. Ally bardzo się z tego ucieszyła. Powitała go ciepło, ale oznajmiła, że musi pojechać do ciotek.

- To niebezpieczne - sprzeciwił się. Uśmiechnęła się.

- Jestem pewna, że Mark polecił obserwować domek w nocy i robi to albo policjant, albo któryś z jego przyjaciół - powiedziała, a wyraz twarzy lorda Farrow dowiódł, że jej przypuszczenia są słuszne. - Poza tym mamy pańskie psy, które świetnie strzegą domu. Na pewno będę bezpieczna, tak jak i ciotki.

- Przecież już za kilka dni pani dom będzie tutaj. - Zmarszczył czoło. - Czy postanowiła pani odwołać ślub z moim synem?

- Jeśli zechce mnie taką, jaka jestem, to chętnie go poślubię, ale dziś wieczorem muszę jechać do domu. Proszę mnie nie zatrzymywać.

Lord Farrow nie był zadowolony.

- Odwiedzimy pani ciotki jutro.

- Nie mogę tutaj zostać - uparła się.

- Porozmawiamy rano - obiecał.

Tej nocy Ally przewracała się z boku na bok. Pojęła, że lordowi Farrow zależy na jej bezpieczeństwie i że nie pozwoli jej na pobyt w domku ciotek. Gdy zbudziła się rano, Marka wciąż nie było.

Dom, w którym mieszkał Hudson Porter, stary kamrat z wojska i wypróbowany przyjaciel lorda Lionela Wittburga, znajdował się o jakąś milę bliżej Londynu niż osada. Ian zapewnił Marka, że gospodyni wciąż tam przebywa, oczekuje bowiem na przybycie z Bostonu krewnych zmarłego. Mark zjawił się z samego rana.

- Dzień dobry, pani Barker - powitał ją od progu.

Gospodyni, wcześniej uprzedzona o jego wizycie, wykonała niezdecydowany dyg, jakby nie bardzo wiedziała, jak powinna się zachować.

- Czy podać herbatę, proszę pana?

- Nie, dziękuję. Po prostu usiądźmy i porozmawiajmy.

Może jednak powinien był zdecydować się na herbatę, pomyślał Mark. Kobieta, równie wychudzona i koścista jak Hattie, gospodyni Brandonów, przypominała mu pszczołę, w każdej chwili gotową do tego, by odlecieć.

- Mieszka pani w tym domu? - spytał. Skinęła głową, patrząc w stronę okna.

- Dlaczego nie było tu pani w wieczór, kiedy zabito Hudsona Portera?

- Policja już o to pytała - powiedziała cicho.

- Wiem. Bezradnie uniosła ręce.

- Pan dał mi wolny wieczór.

- Dlaczego?

- Chciał, żeby nikt mu nie przeszkadzał w pracy.

- I co pani zrobiła z tym wieczorem?

- Poszłam do przyjaciółki i u niej zanocowałam.

- Jak ona się nazywa?

- Linda Good.

- A gdzie mieszka?

- W pobliżu osady. - Spróbowała spojrzeć mu w oczy, natychmiast jednak odwróciła wzrok. - Ja, proszę pana... milordzie... wiele razy o tym opowiadałam. Kiedy przyszłam do domu, znalazłam pana Portera na górze. Miał poderżnięte gardło. To był straszny widok. Chyba już nie mogę o tym mówić. Pana pochowano i niech odpoczywa w pokoju.

Nerwowość kobiety rzuciła się w oczy. Mark zastanawiał się nad jej przyczyną. Ian Douglas z pewnością potwierdził jej alibi. A mimo to...

- Gdzie pani trzyma klucze? - spytał. Wskazała ręką. Podobnie jak w domu Brandonów

przy drzwiach znajdował się haczyk.

- Czy może mi pani pokazać, gdzie doszło do morderstwa?

Skinęła głową, jakby była zadowolona, że wreszcie ma coś do roboty. Zaprowadziła go schodami na górę.

Pokój bardzo przypominał miejsce śmierci Gilesa Brandona: przy ścianach półki z książkami, pośrodku biurko, jedna para drzwi.

- Dziękuj ę. Może mnie pani tu zostawić - powiedział Mark.

Nie ruszyła się.

- Wszystko jest w zupełnym porządku - podkreślił z naciskiem.

Gospodyni wyszła z ociąganiem. Mark zaczął sprawdzać zawartość biurka. Wiedział, że policja zrobiła to przed nim, i rzeczywiście początkowo niczego nie znalazł. Potem spojrzął na kalendarz właściciela i pod datą jego śmierci znalazł notatkę, która wydała mu się zastanawiająca.

„Pani Barker - wolne?”.

Po co postawił znak zapytania, skoro zamierzał dać jej wolne? Mark wpatrywał się w kalendarz, usiłując wymyślić jakieś wytłumaczenie. Odpłynął jednak myślami w zupełnie innym kierunku. Był zmęczony, większą część nocy spędził bowiem, jeżdżąc konno bez określonego celu.

Ally przykuła jego uwagę od pierwszej chwili. Wydawało mu się to niewiarygodne, gdy odkrył, że ta piękna i inteligentna dziewczyna ma zostać jego żoną. Podobała mu się nawet gra, którą toczyli, gra w „wie-nie wie”, gra w prowokację. Oboje byli uparci i porywczy i nawet zadziorny błysk w jej oczach był czymś, co pokochał.

Jak jednak Ally mogła? Kto jej pozwolił dalej prowokować brutalnego mordercę? Mimo że została na tym złapana, nie tylko nie okazała skruchy, lecz wręcz przeciwnie, zachowała się wyzywająco. W pogoni za nieuchwytnym marzeniem była gotowa odrzucić nie tylko bezpieczne życie, tytuł i pozycję, lecz również jego, Marka. I w tym tkwiła istota rzeczy. Zakochał się, a wydawało mu się, że i ona jest zakochana, miał więc nadzieję, że postaci syna hrabiego i zbrojcy bez trudu połączą się w jedną całość, oni zaś oboje do końca życia będą mogli się śmiać z okoliczności, w jakich się poznali.

Wyczuł obecność gospodyni. Stała w drzwiach. Podniósł się z krzesła i uśmiechnął się do niej.

- Pan ma kalendarz pana Portera - powiedziała nieśmiało.

- Mam i zabieram go do Scotland Yardu. Zwrócimy go krewnym pana Portera, kiedy przyjadą.

Po wyjściu Mark rozważał zachowanie gospodyni. Wydała mu się podejrzenie nerwowa. Złościło go, że nie mógł skoncentrować się na sprawie morderstw. Do diabła z Ally! Przecież nie miała racji. Nie wolno jej było tak beztrząsowo ryzykować życia, ponieważ... Ponieważ stała się częścią jego życia.

Postanowił wrócić do domku myśliwskiego. Nie był pewien, czy zdobędzie się na przeprosiny, ale musiał zobaczyć Ally. Porozmawiać z nią. Dotknąć jej.

Gdy znalazł się na drodze i sięgnął po wodze Gallowaya, ogarnęło go przeczucie, że powinien się spieszyć.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Mimo trudnej do wytłumaczenia nieobecności syna lord Farrow zachowywał się bardzo uprzejmie, troszczył się o gościa i sprawiał takie wrażenie, jakby nie było nic dziwnego w tym, że Mark czasem znika bez wyraźnej przyczyny.

- Czy pan wie, że to Mark napada na powozy? - spytała prosto z mostu Ally, gdy wraz z lordem Farrow zasiedli do posiłku.

- A pani dowiedziała się o tym, ponieważ była na stryszku w stajni.

Ally się zarumieniła.

- Dlaczego on to robi, lordzie Farrow?

- Nie wolno mi o tym mówić. Może jednak pani być pewna, że trzeba dochować sekretu. Nawet Brian Stirling o niczym nie wie. Mark nikogo nie skrzywdzi, proszę mi wierzyć.

- Czy jedzie pan dzisiaj do Londynu?

- Tak, najpierw jednak odwożę panią do ciotek, tak jak obiecałem.

- Prawdę mówiąc, wolałabym raczej pojechać do muzeum i porozmawiać z lady Camille.

- Jest pani pewna, że ona dzisiaj pracuje?

- Tak. Zawsze bywa w muzeum przez kilka dni po otwarciu nowej wystawy, aby przekonać się, że wszystko jest w porządku.

- Martwię się...

- Zupełnie niepotrzebnie. W Londynie ulice są ruchliwe. Muzeum pilnują strażnicy, a ja znam cały personel. Będę całkiem bezpieczna, a nie mogę przecież spędzić reszty życia w ukryciu.

Gdy dotarli do Londynu, Ally pożegnała się z lordem Farrow i weszła do muzeum. Na jej widok Camille ucieszyła się, choć nie kryła zdziwienia.

- Co tu robisz tuż przed ślubem? - spytała.

- A co innego mi pozostało? Ceremonia odbędzie się w twojej posiadłości, ciotki na pewno pracują nad wykończeniem sukni, czyli ode mnie właściwie nic nie zależy.

- Słyszałam, co niedawno stało się w domku. Proszę, bądź ostrożna.

Ally opuściła gabinet Camille, przeszła między eksponatami do zapasowego wyjścia i znalazła się na ulicy. Powinna była skierować się na pocztę, zmieniła jednak zdanie i jako cel wybrała redakcję. Dzięki Thane'owi Grierowi poznała rozkład budynku, skierowała się więc prosto do części redakcyjnej. Miała nadzieję zastać Thane'a i się nie omyliła.

- Dzień dobry, panno Grayson - przywitał się zaskoczony. - Co pani tutaj robi?

- Chciałam poczytać stare artykuły. Czy jest taka możliwość?

- Tak, ale trzeba mieć cierpliwość świętego, żeby w takiej górze papierów znaleźć to, czego się szuka.

- Nie interesują mnie stare wydania. Chcę przeczytać wszystko, co ukazało się na temat morderstw Hudsona Portera, Jacka Prine'a i Gilesa Brandona.

- Pomogę pani. Od dość dawna gapię się bez sensu na te same dwa słowa. Przerwa dobrze mi zrobi.

Thane zaprowadził Ally do redakcyjnego archiwum i przedstawił pani Easton, która wskazała im odpowiednią część pomieszczenia. W olbrzymim pokoju pudła z teczkami zdawały się stać wszędzie. Ponieważ interesowały ich stosunkowo nowe wydania gazety, zadanie nie było trudne. Wspólnymi siłami ułożyli wkrótce na biurku stertę gazet do przejrzenia i archiwistka wróciła do swoich zajęć.

- Czego dokładnie pani szuka? - spytał Thane.

- Przydałbym się bardziej, gdybym to wiedział.

- Nie mam pojęcia. Czytam między wierszami.

- Proszę mi tylko nie mówić, że chce pani znaleźć mordercę.

- Czy pamięta pan sprawę Kuby Rozpruwacza? - spytała Ally po krótkim wahaniu.

- Byłem jeszcze młody, ale kto by coś takiego zapomniał?

- Krążyły wtedy najrozmaitsze teorie. Ze wszystkiego, co czytałam na ten temat, wynika jednak, że sprawcą tych morderstw był najprawdopodobniej obłąkany osobnik, zupełnie nieświadom takich wyrafinowanych motywów, jakie przypisuje się obecnemu mordercy. Choćby tej, że jest on w jakiś sposób powiązany z Koroną. Thane pokręcił głową.

- Nie nadążam.

- A jeśli te wszystkie morderstwa nie mają nic wspólnego z obecną sytuacją polityczną?

- Ma pani na myśli awanturę o monarchię?

- Tak. Te morderstwa mogą być jedynie przykrywką.

- Dla czego?

- Nie wiem. Właśnie po to chcę poczytać gazety.

- W porządku, proszę czytać.

Czas płynął, w końcu Thane zerknął na Ally.

- Przez chwilę zdawało mi się, że jednak na coś trafiłem.

- Tak?

- Chore umysłowo gospodynie - powiedział z westchnieniem.

- Słucham?!

- Przypomniałem sobie Hattie, gospodynię Gilesa Brandona. To przecież skóra i kości. Nie byłaby w stanie zabić nożem chlebodawcy.

- Może nie działała sama.

- W jaki sposób obłąkana gospodyni mogłaby znaleźć sobie współnika? - spytał Thane.

- Nie wiem.

- Chciałbym, żeby pani tutaj pracowała - powiedział z wahaniem.

- Dziękuję. - Aż spłonęła się z zadowolenia.

- Powinniśmy teraz odkryć prawdę i na pani temat.

- Och, Thane! Nie ma żadnej takiej prawdy - odparła ze śmiechem.

- Ally, jeśli wolno mi tak się zwrócić, jest pani niesamowitą kobietą.

Mężczyzna, który pozna się na pani, na pewno nie straci okazji, aby spędzić z nią całe życie, wszystko jedno: ma tytuł czy nie.

- To przemiły komplement.

- Pani zaręczyny z Markiem Farrow uzgodniono przed wieloma laty. Lord Farrow nie mógł wiedzieć, że wyrośnie pani na tak piękną, życzliwą i mądrą kobietę...

- Thane, proszę mi wierzyć...

- Gdyby była pani hrabią Warren, to czy oddałaby pani syna sierocie tylko dlatego, że pani przyjaciel postanowił tę dziewczynkę adoptować? Może jeśli byłaby pani nieślubnym dzieckiem Briana...

- Nie jestem jego dzieckiem.

- Skąd pani wie?
- Znam Camille. Na pewno domagałaby się, aby wszystkie jego dzieci były wychowywane w domu hrabiego.
- Może Camille o tym nie wie?
- Moje wspomnienia zaczynają się od domku w lesie i nic więcej nie wymyślę. Wracajmy do pracy.
- Czy nic się nie zmieniło i w sobotę wychodzi pani za męża?
- Taki jest plan.
- Nie zaproszono mnie. Pochwyciła jego spojrzenie.
- To mój ślub, więc jest pan zaproszony.
- Dziękuję.
- Thane, muszę już iść, ale bardzo panu dziękuję.
- Wróci pani jeszcze?
- Taką mam nadzieję. Pan na pewno nie wierzy, że mogę zrobić coś naprawdę pożytecznego, i uważa to za zabawę, ale mimo wszystko dziękuję.
- Cała przyjemność po mojej stronie. Zawsze do usług.

Ally wyszła, zastanawiając się, czy artykuł, który zostawiła w sekretariacie, już trafił do redaktora i czy ujrzy go następnego dnia w gazecie. Thane patrzył przez chwilę za nią, a potem ruszył jej śladem.

Kiedy Mark dotarł do domku myśliwskiego, nikogo w nim nie zastał. Na straży pozostały jedynie psy, nawet Bertrama nie było. Mark domyślił się, że ojciec, który zwykle miał sprawy w Londynie, musiał wziąć z sobą Ally.

Mark dotarł do Londynu i skierował się do gmachu parlamentu. Nie zastał jednak lorda Farrow, ale zauważył czekającego w powozie Bertrama i od niego dowiedział się, że należy iść do muzeum. Tam usłyszał od lady Camille: „Tak, jest Ally. Poszukaj jej w muzeum”.

Gmach był duży, nikt jednak nie widział w nim panny Grayson. Gdy w końcu zapadł zmierzch i zbliżała się pora zamknięcia, zorientował się, że Ally

znów wykorzystwała muzeum jako pretekst i wybrała się na wyprawę po mieście, czego zresztą, znając ją, powinien od razu się domyślić.

W końcu wrócił do Camille.

- Jeśli Ally się pojawi, niech ją pani zatrzyma - poprosił - nawet gdyby trzeba ją było zamknąć w składziku.

Mark opuścił muzeum zdecydowany, że dalsze poszukiwania rozpocznie od poczty. Ally zwyczajnie nie rozumiała, na jak wielkie niebezpieczeństwo będzie narażona, jeśli ktoś niepowołany dowie się, kim jest A. Anonim. Ta myśl budziła w nim najwyższy niepokój.

Londyn zawsze był gwarny, Ally uwielbiała to miasto, uważała, że jest cudowne. Jednak ku swemu zaskoczeniu, gdy wyszła zza rogu i ruszyła prowadzącą do muzeum ulicą, stwierdziła, że jest pusto. Powoli zmierzchało. Latarnia uliczna zamigotała i zgasła. Cienie wydawały się z każdą chwilą pogłębiać. Ally usłyszała za plecami odgłos nadjeżdżającego powozu. Odwróciła się. Niezwykle elegancki pojazd toczył się bardzo wolno. Mrok nie pozwalał jej jednak wyraźnie dostrzec woźnicy.

- Aleksandro!

Dźwięk jej imienia, wypowiedzianego ochryłym głosem, przestraszył ją nie na żarty. Puściła się biegiem. Powóz ruszył, wyprzedził ją i znów stanął. Drzwi otworzyły się. Pojawił się w nich mężczyzna. Zauważyła, że jest niezwykle rostry.

- Aleksandro!

Ally biegła dalej, świadoma tupotu za plecami. Ciężka ręka opadła jej na ramię.

- Stój!

Okręcono ją wokół osi i spojrzała prosto w znajomą twarz.

- Lord Wittburg!

- Chodź ze mną. Natychmiast!

- Lordzie Wittburg, proszę mnie puścić. Czekają na mnie w muzeum.

- Nie. Musisz iść ze mną.

Wittburg na wpół niósł ją, na wpół ciągnął do powozu. Nagle została wyszarpnięta z uścisku Wittburga i upadła na ziemię. Jej porywacz wydał ryk wściekłości. Ally uświadomiła sobie, że obok pojawił się drugi mężczyzna. Wittburg zamachnął się i chciał uderzyć przybysza pięścią, ten jednak uchylił się i sam wymierzył cios. Lord Wittburg jęknął i osunął się na ziemię.

- Ally!

To był Mark. Pomógł jej wstać z ziemi. Dookoła wszczął się ruch. Ludzie wybiegali z muzeum i z pobliskich pubów, stangret zeskoczył z powozu na ziemię. Mark mocno trzymał Ally. Popatrzyła na jego twarz, on jednak wpatrywał się w lorda Wittburga, przy którym kucnął stangret. Mark podszedł i też przykląkł.

- Co on wyprawiał? - spytał stangreta.

Wittburg z jękiem otworzył oczy. Chwycił Marka za kłapy.

- Ona musi znać prawdę. Powiedz jej prawdę.

- Na miłość boską, jaką prawdę? - spytał z naciskiem Mark.

Lord Wittburg zamknął oczy.

Wezwany ambulans zabrał do szpitala poszkodowanego w towarzystwie jego stangreta. Policja przesłuchała Marka i Ally. Na miejsce wypadku przysłała Camille, potem Brian, a wreszcie lord Farrow. Powóz lorda Wittburga zatrzymano do wyjaśnienia sprawy. Ally twierdziła, że stary lord po prostu chciał z nią porozmawiać i wcale nie zamierzał jej skrzywdzić, ale wyglądał tak, jakby nie do końca wiedział, co robi, więc owszem, mocno ją przestraszył.

Wreszcie Mark z Ally znaleźli się w gabinecie Camille. Dołączył do nich Hunter, który miał pokój obok. Wszyscy bardzo niepokoili się o Ally, która jednak bagatelizowała sprawę i utrzymywała, że nic jej się nie stało.

- Myślałam, że jesteś na terenie muzeum - powiedziała Camille.

Zapadło milczenie, zgromadzeni przyglądali jej się z uwagą.

- Gdzie pani była? - spytał cicho Mark. Bała się odpowiedzieć.

- Ally? - przynaglił ją.

- Oglądałam wystawy sklepowe. - To nie było kłamstwo. Przed kilkoma wystawami rzeczywiście się zatrzymała.

- Nie ulega wątpliwości, że grozi pani niebezpieczeństwo. Nawiasem mówiąc, sklepy od dawna są zamknięte.

- Trochę za długo szłam z powrotem - oświadczyła, popijając herbatę z whisky.

- Ally - odezwał się Brian. - To niepodobne do ciebie. Nie pamiętam, żebyś przysparzała tylu strapień tym, którzy cię kochają. Te słowa głęboko ją zraniły.

- Wybaczcie mi - powiedziała żałośnie. - Naprawdę jest mi bardzo przykro.

- Skoro tak, to może powinna pani zastanowić się nad wyznaniem prawdy - zaatakował Mark.

W pokoju znów zapanowało milczenie.

- Byłam w redakcji gazety - wyjawiała.

- Po co? - zażądał informacji Hunter.

- Przeglądałam stare artykuły.

Jej odpowiedź najwyraźniej zbiła z tropu wszystkich, tylko Mark patrzył tak, jakby próbował wzrokiem przeświecić ją na wylot. Uznała, że najbezpieczniej będzie zmienić temat.

- To, co zaszło dziś wieczorem, jest smutne, nie groźne - powiedziała. - Powinniście zatroszczyć się o lorda Wittburga, a nie o mnie. Wydaje mi się, że on traci rozum.

- Cóż, niczego tutaj nie rozstrzygniemy - stwierdził Brian. - Musimy jechać do domu, zjeść kolację i trochę odpocząć.

- Myślę... myślę, że wrócę do ciotek - powiedziała Ally, rzucając Markowi lodowate spojrzenie.

- Do domku w lesie? Nie ma mowy. Chcesz narazić ich życie? - spytała Camille.

- Wróci pani do domku myśliwskiego - zawyrokował Mark. Podeszedł i pomógł Ally wstać. - Nie chcę, żeby pani pojechała ze mną pod przymusem. Niech pani zrobi to dlatego, że ją o to proszę. Dlatego, że jest dla niej ważne to, co jest ważne dla mnie. - Zdumiała ją intensywność emocji, bijąca z tych słów.

Trudno jej było mówić, więc po prostu skinęła głową.

- Mam nadzieję, że jutro znajdziemy sensowne wyjaśnienie tego wszystkiego - odezwał się Brian, jak zwykle zrównoważony.

Ponieważ zrobiło się późno, lord Farrow zaproponował wszystkim nocleg w swojej londyńskiej kamienicy. Na tym stanęło. Ally protestowała, że nie ma żadnych swoich rzeczy, ale ponieważ również Kat i Hunter mieszkali w Londynie, Hunter obiecał dopilnować, aby przesłano jej strój nocny i wszystko, co potrzebne do toalety.

Mark pojechał powozem, a Galloway biegł z tyłu na postronku. Na miejscu Ally miała okazję poznać innego służącego lorda Farrow, Jeetera, który powitał ich przy drzwiach. Wreszcie spotkała tego wieczoru kogoś, kto nie zachowywał się jak matka kwoka, za to wyróżniał się sprawnością. Jeeter zorganizował przygotowanie kąpieli, podanie kolacji i wzmacniającej brandy, w dodatku wszystko niemal jednocześnie. Wkrótce Ally znalazła się w elegancko umeblowanym pokoju, a w czasie gdy zażywała kąpieli, posłaniec przyniósł dla niej rzeczy. Siedząc w wannie, słyszała na dole szmer głosów Marka i jego ojca. Zamknęła oczy.

Mark nie poczynił wcześniej najmniejszej wzmianki o słowach lorda Wittburga, więc i ona dochowała milczenia, uznawszy, że jej narzeczony woli porozmawiać na ten temat z lordem Farrow w cztery oczy. Był przecież bardzo na nią zły za wizytę w redakcji. A jednak przyszedł jej z pomocą, jakby za sprawą cudu pojawiając się w momencie, gdy wpadła w tarapaty. I poprosił ją,

żeby z nim została. Była w nim zakochana i za wszelką cenę chciała nauczyć się go rozumieć. I jeszcze przekonać go, aby kochał ją taką, jaka jest.

Gdy Ally poszła na górę, a Jeeter zajął się przygotowaniem improwзованego posiłku, Mark postanowił odbyć rozmowę z ojcem.

- Nie można pozwolić, by doszło do nieszczęścia. Lionel Wittburg był absolutnie zdeterminowany, żeby porozmawiać z Ally, a gdy spojrzał na mnie, kazał mi powiedzieć jej prawdę. Jaką prawdę, ojcze? Muszę wiedzieć, co się dzieje. I dlaczego, na miłość boską, nie chcesz mi zaufać? - Te ostatnie słowa Mark wypowiedział tonem bliskim rozpacz.

Pożałował ich jednak natychmiast, gdy zobaczył wyraz twarzy ojca, który opadł na obity skórą fotel przy kominku i z wysiłkiem pokręcił głową.

- Przysięgam, że dochowam tajemnicy.

- Ojcze...

- Tak, wiem. I ufam ci, zawsze ci ufałem. Są jednak sekrety, które trzeba zabrać ze sobą do grobu.

- Jednak nie wtedy, kiedy narażają innych na niebezpieczeństwo.

Joseph znów zamilkł na długą chwilę.

- Brian Stirling i ja uzgodniliśmy, że ty i Aleksandra weźmiecie ślub, ponieważ... tak chciała królowa - wyjaśnił.

- Królowa?

Joseph odchylił się na oparcie. Mark zajął miejsce naprzeciwko i czekał na dalsze wyjaśnienia. W końcu Joseph istotnie się odezwał.

- Wszystko zdarzyło się, kiedy miałeś jeszcze bardzo niewiele lat, a Ally była małym dzieckiem. Wtedy żył Kuba Rozpruwacz.

- Kuba Rozpruwacz? - powtórzył zdumiony Mark.

- Mogę ci przysiąc, że mężczyzna, którego policja uważała za Rozpruwacza, nie żyje. Czy nigdy nie zastanowiło cię, dlaczego śledztwo urwało się wkrótce po śmierci Mary Kelly?

- Śledztwo się nie urwało - zaproponował Mark, musiał jednak w duchu przyznać ojcu rację. Mimo że był wówczas młody, pamiętał, jak wielu ludzi sugerowało, że nigdy niezidentyfikowany bandyta, znany pospolicie jako Kuba Rozpruwacz, nie żyje.

- Wielu ludzi próbowało odnaleźć powiązanie między tymi zbrodniami a Koroną.

- Nie powiesz mi chyba, że Korona była w to zamieszana? - powiedział przejęty Mark. - I skąd tyle o tym wiesz?

- Ponieważ lady Maggie omal nie zginęła z ręki tego mordercy. Dzięki Bogu to właśnie on stracił wówczas życie. Nie znam wszystkich szczegółów tej ponurej sprawy. W każdym razie ten mężczyzna zginął niedaleko domu, w którym dorastała Ally. Wbrew plotkom nie było spisku przeciwko Koronie, którego częścią byłby Rozpruwacz, a teoria ta powstała dlatego, że książe Albert Wiktor rzeczywiście zawarł pewną formę małżeństwa z dziewczyną wyznania katolickiego imieniem Annie. Jak wiesz, książe umarł w końcu na syfilis. Annie... niedomagała. Poza tym oczywiście katolickie małżeństwo było niezgodne z prawem. Mark wlepił wzrok w ojca.

- Chcesz powiedzieć, że dzieckiem z tego małżeństwa, wspomnianym w wielu plotkach, jest właśnie Ally?

Joseph skinął głową.

- Rozumiesz więc, że trzeba ją chronić - podkreślił. - Tak samo jak mnie kiedyś zaufano, ja teraz powierzam tę informację tobie. - Westchnął. - Sam widzisz, do czego prowadzi fanatyzm, gdy zaczyna się ważyć zło i dobro. Z naszego punktu widzenia nie ma powodu, by upublicznić prawdę o pochodzeniu Ally. Powinna żyć wolna od obciążeń lękami i grzechami przeszłości. Ally jest wnuczką królowej, a przy tym również błyskotliwą młodą kobietą i piękną. Nie można pozwolić, aby cokolwiek zagroziło jej pozycji ani by rzucono na nią oskarżenie o nieprawe pochodzenie. Nikt nie może się o tym dowiedzieć. Taka jest wola królowej.

- Niewątpliwie istnieją ludzie, którzy znają prawdę, na przykład Lionel Wittburg. Ja również znajdowałbym się w dużo lepszej sytuacji i skuteczniej mógłbym chronić Ally, gdybym wcześniej został wtajemniczony.

- Przepraszam cię, ale dałem słowo, a ja nie łamię łatwo danego słowa.

- Czyli lord Wittburg... te jego majaki nie mają nic wspólnego z czasami współczesnymi? Widząc, co się dzieje teraz, skojarzył to z dawno minionymi zdarzeniami? Skoro monarchia mogła być zamieszana wtedy, może być i teraz. Czy tak?

- Nie wiem - odparł Joseph.

Mark wstał, poszedł do kominka i zapatrzył się w ogień.

- Niedawno zatrzymaliśmy go na drodze. Widocznie nie zgłosił tego incydentu policji, bo nie widziałem żadnej wzmianki na ten temat. Przeszukałem jego powóz. Nie znalazłem ani śladu krwi. Zarówno Ian, jak i ja nadal jesteśmy przekonani, że sprawca ucieka z miejsca zbrodni powozem. Z drugiej strony, odwiedziłem dzisiaj gospodynię Hudsona Portera, która zachowywała się wyjątkowo dziwnie. Pozostaje sprawa Ally. Czy nagle uznano ją za osobę niewygodną w obecnej sytuacji i stąd włamanie do domku, czy raczej ktoś poznał prawdę o jej pochodzeniu? A może obie przyczyny są powiązane? Czy zbyt pochopne były wnioski niektórych, że skoro ofiarami padają antymonarchiści, to macza w tym palce Korona? Czy inni z kolei nie doszli zbyt szybko do przekonania, że komuś potrzebni są męczennicy za sprawę? Rozwiązania pozornie oczywiste nie zawsze są właściwe.

Joseph przyglądał mu się z pewnym zdumieniem.

- To znaczy, że tożsamość Ally nie stanowi dla ciebie problemu?

- Tylko o tyle, o ile naraża ją na niebezpieczeństwo. - Mark pokręcił głową. - Co mnie obchodzi, kim byli jej rodzice? Dla mnie ważna jest ona sama.

Joseph się uśmiechnął.

- Powinniście się pobrać i opuścić Anglię. Jedźcie osiedlić się w górach Ameryki albo gdzieś w Australii. Odetnijcie się od tego wszystkiego, niech inni zrobią tu porządek.

- To niemożliwe - sprzeciwił się Mark. - Musielibyśmy spędzić resztę życia na oglądaniu się za siebie.

Zamilkł, u szczytu schodów zobaczył bowiem swoją narzeczoną. Joseph podążył wzrokiem za synem i wstał.

- Ally, jak ładnie pani wygląda, chyba udało się pani nieco wypocząć - powiedział.

Jeśli sądzić po wyrazie jej twarzy, musiała wiedzieć, że stała się tematem rozmowy. Postanowiła jednak dostosować się do zaproponowanej lekkiej konwersacji.

- Piękny dom - odparła, schodząc na dół. - Mam wspaniały pokój. Pan jest niezrównanym gospodarzem, lordzie Farrow.

- Sprawdźmy, czy Jeeter przygotował dla nas coś do jedzenia - odrzekł i podał jej ramię, aby zaprowadzić ją do jadalni.

W połowie posiłku lord Farrow spytał Ally, czy jest bardzo rozczarowana, że nie bierze udziału w przygotowaniach do ślubu.

- Trudno o lepsze miejsce niż zamek Carlyle - odrzekła ze śmiechem. - Ciotkom pękłyby serca, gdyby nie mogły zająć się moją suknią. Jak więc mam wybrzydzać? Ważne są śluby, które składają sobie państwo młodzi, reszta jest dla innych, a jeśli planowanie uroczystości ich cieszy, to ja też jestem z tego zadowolona.

Po skończonym posiłku Joseph oznajmił, że udaje się na spoczynek. Ally powiedziała „dobranoc” i pierwsza poszła schodami na górę. Mark nie spieszył się aż tak bardzo, zdążył jeszcze wziąć z sobą brandy. Wiedział, że i tak nie zaśnie, choć wcale nie dręczyły go myśli o pochodzeniu Ally. Nie przeszkadzało mu, że jego narzeczoną jest nieślubnym dzieckiem ani nie imponowało mu, że ma związki z rodziną królewską. Miał za sobą długi dzień. Wszedł więc do

wanny i zaczął sączyć brandy, starając się jednak nie doprowadzić do stanu, gdy świat zaczyna wirować. Po pewnym czasie wyszedł z wanny i dokładnie się wytarł. Następnie włożył spodnie i wyszedł na korytarz. Przeszedł kilka kroków, dzielących go od drzwi Ally, a ponieważ nie były zamknięte, wszedł do środka.

Ally miała na sobie prostą białą koszulkę z bawełny, przysłaną przez lady Kat, i doprawdy uroczo wyglądała oparta o poduszki, na które rozsypały się jej rozpuszczone włosy. Podeszedł do łóżka i zerknął w dół. Przekonał się, że Ally ma otwarte oczy i pilnie go obserwuje.

- To jest dom pańskiego ojca - przypomniała mu cicho.

- Nie będę prosił nikogo, nawet mojego ojca, abym mógł wziąć to, co jest moje, to, co kocham - odparł i wyciągnął się obok niej. Obróciła się ku niemu ze zmysłowym uśmiechem igrającym na wargach.

- Naprawdę? - spytała.

- Czy naprawdę cię kocham? Tak. Są tacy, co nazwaliby to niedorzecznością. Miłość nie może przyjść tak łatwo ani tak szybko. A ja im mówię, żeby poszli do diabła. Czy cię kocham? Tak. Czy podniecasz mnie? Owszem.

Wyciągnęła rękę i pogłaskała go wypielegnowanymi palcami po twarzy.

- Ja też cię kocham - wyznała. - Co zresztą jest dość denerwujące, bo masz w sobie tę szlachecką arogancję. Może zresztą jest to po prostu męska arogancja.

- Będziemy się nad tym zastanawiać przez najbliższe czterdzieści albo i pięćdziesiąt lat - obiecał i przyłożył jej palec do warg.

Ku jego zaskoczeniu, Ally wstała, ściągnęła białą koszulkę przez głowę i cisnęła ją na podłogę. W mroku rozjaśnionym nieco przez księżycową poświatę zza okna jej ciało lśniło jak najdoskonalsza rzeźba. Pochyliła się nad nim i przywarła nagimi piersiami do jego torsu, a gdy złociste kosmyki połaskotały go w ramiona, musnęła jego wargi pocałunkiem.

Mark, choć nie bez trudu, pozostał nieruchomy, chciał, żeby Ally dalej rozbudzała go pieszczotami. Miał szczerą nadzieję, że to coś więcej niż zwykła namiętność, że obudziło się między nimi zaufanie, a uczucia będą pomagały łagodzić napięcia. Ona tymczasem ułożyła się przy nim, wiedziona nieomylnym instynktem.

Zmysłowym ruchem warg, poznających jego tors, szybko przepędziła z jego głowy wszelkie myśli i przeniosła go w świat czystych doznań. Przesuwała dłonie coraz niżej i niżej, aż wreszcie natrafiły na pas pospiesznie wdzianych przez niego spodni, rozpięty go i...

Porwał ją nagle w ramiona, zdarłszy z nóg tak niepożądane w tej chwili spodnie. Zerknął na jej twarz i wycisnął na jej ustach pocałunek. Teraz i on zaczął jej dotykać, gładzić wszystkie spotykane krągłości. Cieszył się kształtem jej bioder i pośladków, czerpał rozkosz z intymnego dotyku.

Wymieniali pieszczoty z zapalem, coraz bardziej gorączkowo. Wspólnie dążyli do szczytu, a potem razem opadali w nicość. I znów budziło się pragnienie, wybuch rozkoszy rozpływał się w mroku, aby ponownie mogli znaleźć się w miejscu, w którym wraca trzeźwość myślenia, a wraz z nią radość z najsubtelniejszej pieszczoty. Wreszcie ułożyli się spleceni w uścisku, ciało przy ciele.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Właśnie zajadali ze smakiem śniadanie, gdy zadzwonił telefon. Do pokoju śniadaniowego wszedł Jeeter i odszukał wzrokiem Marka.

- Telefonuje detektyw Douglas.

Mark przeprosił współbiedników i wyszedł. Gdy pojawił się ponownie, twarz miał zatroskaną.

- Nie do wiary - powiedział i przesłał znaczące spojrzenie ojcu. -

Przeszukali powóz lorda Wittburga. Znaleźli w nim czarną pelerynę, zaplamioną prawdopodobnie krwią. Ślady krwi znajdują się również w samym powozie.

Joseph popatrzył na syna.

- Lionel? - zapytał zdumiony.

- Nie - odpowiedziała mu Ally.

- Mnie też trudno w to uwierzyć. Niemożliwe, żeby stracił kontakt z rzeczywistością aż do tego stopnia. Poza tym nie przesadziłby płotu, a jego stangret zaprzecza, jakoby w czasie, gdy popełniano zbrodnię, czekał na swego pana gdzieś w pobliżu.

- Lord Wittburg był czymś bardzo udręczony.

Zachowywał się wbrew zdrowemu rozsądkowi. Nie wydaje mi się jednak, żeby chciał zrobić mi krzywdę - odezwała się Ally.

- Wittburg wciąż leży w szpitalu - poinformował Mark. - Muszę się do tego włączyć - oznajmił.

- Ojciec...

- Nie mam dzisiaj nic pilnego do zrobienia. Myślę, że zawieziemy Ally do ciotek.

Ally skinęła głową, choć wolałaby pojechać z Markiem. Stało się coś bardzo złego. Za nic nie mogła uwierzyć w to, co wydawało się w tej chwili oczywiste.

- Mark, czy jest taka możliwość, że policja... Sądzi pan...?

- Że policja sfalszowała lub sama podłożyła dowody? W to również nie wierzę - odrzekł Mark.

- Przepraszam, ale muszę iść.

Lord Farrow skinął głową. W tej chwili Jeeter wszedł do pokoju, niosąc gazetę, więc Mark przystanął i zerknął na pierwszą stronę. Ally była pewna, że chce sprawdzić, czy znajdzie tam informację o zbliżającym się niechybnie aresztowaniu lorda Lionela Wittburga. Zdumiało ją, gdy spojrzał prosto na nią tak, że skuliła się na krześle.

- Wygląda na to, że A. Anonim znowu pisze - powiedział niewróżącym niczego dobrego tonem.

- Porozmawiamy o tym później.

Odłożył gazetę na stół i wyszedł. Podminowana Ally chciała natychmiast ją chwycić, ale uprzedził ją lord Farrow.

- Te artykuły są całkiem dobre. Ciekawe, skąd ten wybuch złości u Marka - zauważył lord Farrow.

- O lordzie Wittburgu nie ma ani słowa - ucieszył się. - Za to ten komentarz bardzo ciekawy. Autor sugeruje, że motywy zbrodni mogą być zupełnie inne, niż wszystkim się zdaje.

Pochylił głowę i zaczął czytać. Ally straciła apetyt na śniadanie.

- Przepraszam, pójdę przygotować się do wyjazdu - bąknęła i uciekła od stołu.

Bardzo chciała być w tej chwili gdzie indziej, wiedziała jednak, że tego dnia lord Farrow z pewnością nie spuści jej z oka.

Na górze zaczęła nerwową przechadzkę po sypialni. Mark znowu był na nią wściekły. Cierpiała na samą myśl o tym, jak blisko mogli być z sobą, i na wspomnienie słów miłości, które jej szeptał. Powtarzała sobie, że nie zrobiła niczego złego. W pewnym momencie usłyszała pukanie do drzwi i głos lorda Farrow:

- Ally? Jesteś gotowa?

- Tak, naturalnie.

W drodze z Londynu do domku starała się podtrzymywać niezobowiązującą konwersację, ale wychodziło to nie najlepiej. Zresztą również lord Farrow wydawał się pochłonięty swoimi myślami.

Zdziwiła się, gdy na progu domku ujrzała mężczyznę, strugającego kij. Ten wydawał się nie mniej zaskoczony widokiem powozu. Na powitanie przyjezdnych wstał.

- Witam, Patricku, cieszę się, że pana widzę - powiedział lord Farrow.

Ally wlepiała wzrok w mężczyznę. Wysoki rudzielec zarumienił się pod wpływem tych oględzin i podając jej rękę, smutno się uśmiechnął.

- Jestem Patrick MacIver, panno Grayson.

- Patrick jest starym przyjacielem Marka, moja droga.

- Zapewne również zbójcą. Przypuszczam, że strzeże pan tutaj moich ciotek. Dziękuję.

Wyraźnie mu ulżyło, a uśmiech nabrał szczerości i stał się dużo cieplejszy.

- To dla mnie zaszczyt. Wypełniamy to zadanie we trzech, ale obowiązek stał się niespodziewanie przyjemnością. Pani ciotki są przeurocze i bardzo bystre.

Violet wyszła przed dom pierwsza, szeroko rozwarła ramiona i wyściskała Ally. Za nią pojawiła się Merry, a na końcu Edith. Dwa wilczarze wyskoczyły z domu na końcu i zaczęły ujadać, machając grubymi ogonami z taką energią, że mogłyby kogoś przewrócić. Potem, naturalnie, nie obyło się bez herbaty.

- To nie będzie taki ślub, jaki miał być - powiedziała z pewnym smutkiem Merry, kręcąc głową.

- Ale i tak wspaniały - pocieszyła ją Edith.

- Bardzo elegancki - zauważyła z zadowoleniem Violet.

Ally roześmiała się i uściskała wszystkie trzy.

- Jeśli stawicie się w komplecie, moje drogie, to niczego więcej mi nie potrzeba.

- Przecież musi być również lord Stirling, żeby zaprowadzić cię do ołtarza

- zwróciła jej uwagę Merry.

- Naturalnie. Moich opiekunów również chcę zobaczyć. Powiem wam jednak najprawdziwszą prawdę, moje drogie. To wy jesteście całym moim życiem.

- Jutro mamy imprezę dobroczynną lady Maggie, a potem powinniśmy chyba wszystkie jechać od razu do zamku, bo jak inaczej poradzimy sobie z przygotowaniem? Żywię nadzieję, że lordowi Farrow nie będzie to przeszkadzać.

- Wstyd mi, ale omal nie zapomniałam o jutrzejszej kweście - powiedziała Ally.

- Nie bądź śmieszna, dziecko. Tyle się dzieje, że na dobrą sprawę w ogóle nie powinnaś w niej uczestniczyć.

- Bywam tam co roku, odkąd sięgam pamięcią - przypomniała Ally. - To kwesta lady Maggie i ja tam będę.

- Przecież następnego dnia jest twój ślub - zwróciła uwagę Edith.

- A co ja mam do roboty oprócz tego, że muszę na nim być? Wszystko zrobiono za mnie.

Starsze panie popatrzyły po sobie sceptycznie.

- No cóż... - powiedziała Violet, a dwie pozostałe ciotki jej zawtórowały.

- Postanowienie zapadło - oznajmiła stanowczo Ally.

Mark siedział w gabinecie Iana, świadom, że wciąż ledwie panuje nad wściekłością. Na biurku leżała gazeta, a pochylony nad nią Ian z uwagą czytał. Mark nie miał pojęcia, co zrobić, żeby uświadomić Ally niebezpieczeństwo, na jakie się naraża.

- Znakomity tekst - oświadczył Ian, podnosząc głowę. - Z tym że niestety lord Lionel jest ponad wszelką wątpliwość winny zbrodni. Biedak, postradał zmysły.

Mark zaczął się zastanawiać, czy jego złość z powodu artykułu nie bierze się po części stąd, że Ally w niewytłumaczalny sposób doszła do takiego samego wniosku, jaki od dłuższego czasu nie dawał mu spokoju. A jeśli wszyscy widzą tylko drzewa, lecz nie dostrzegają lasu?

- Rozmawiałeś w szpitalu z lordem Wittburgiem, jak sądzę - powiedział Mark.

- Oczywiście. On wszystkiemu zaprzecza.

- Sądzę, że zgodnie z prawdą.

- Znaleźliśmy dowód.

- Niedawno zatrzymałem jego powóz. Nie było w nim ani peleryny, ani krwi. Dowód musiał zostać podrzucony później - orzekł Mark.

- Może nie kończymy sukcesem wszystkich spraw, ale za moich ludzi ręczę! - oznajmił Iain.

- Nie sugeruję wcale, że policjanci zrobili coś nagannego.

- To kto?

- Na ulicy panował chaos. Zamieszanie ściągnęło tłum.

- W porządku. Skąd człowiek, który chciał podrzucić dowody, wiedział, że powóz lorda Wittburga zatrzyma się właśnie w tym miejscu?

Mark wstał

- Muszę porozmawiać z Lionelem.

- Po prostu nie chcesz, żeby to on był sprawcą.

- Nie potrafię uwierzyć w jego winę. Muszę z nim porozmawiać.

- Jak sobie życzysz. Chcesz, żebym z tobą poszedł?

- Owszem. Powinieneś usłyszeć to samo, co ja. Chciałbym również, żebyś zatrudnił swoich ludzi przy sprawdzaniu kont bankowych.

- Kont bankowych? - zdziwił się Iain.

Mark plasnął dłonią w gazetę rozłożoną na biurku.

- Nazwałeś ten artykuł doskonałym. Stoi w nim czarno na białym, że być może szukamy wielkich motywów, a tymczasem znaczenie mają osobiste animozje. Trzeba sprawdzić, kto czerpie korzyści ze śmierci każdego z tych ludzi. Od gospodyni dowiedzieliśmy się, że Eleanor Brandon rzekomo darzyła męża niemal czcią. On jednak odnosił się do niej bardzo szorstko. Nie wiem niczego na temat stosunków łączących Jacka i Elizabeth Prine'ów.

- Hudson Porter był kawalerem - powiedział Ian. - Czy wydaje ci się, że te kobiety zawiązały spisek, żeby pozabijać mężów?

- Ktoś jeszcze był w to zamieszany, ktoś, kto zapewne nie chciał wspierać roszczeń antymonarchistów. Myślę jednak, że trzeba koniecznie sprawdzić, kto skorzystał finansowo na tych przypadkach śmierci.

- Pieniądze Gilesa Brandona należały do jego żony.

- Może chciała je odzyskać. Nawet jeśli błędę, to zanim powiesimy lorda Wittburga, chciałbym poznać prawdę.

Popołudnie było urocze i nawet mimo wzburzenia Ally znakomicie się bawiła. Gdy zamierzała sprzątnąć naczynia po herbacie, większy z pożyczonych psów, Oz, skoczył do drzwi.

- Co się stało, piesku? - spytała. - Zew natury?

Otworzyła drzwi i wyszła na dwór. Wilczarz zaczął szczekać, a potem odbiegł jedną ze ścieżek. Ruszyła za nim, ale przystanęła, była bowiem pewna, że usłyszała szelest.

- Oz! - zawołała. Pies nie wrócił.

- Oz! - zawołała ponownie. Tymczasem wybiegła z domu również suka, a za nią lord Farrow. Zaniepokojony odwrócił się ku domkowi.

- Patrick! - zawołał. Młodzieniec przybiegł natychmiast.

- Jesteś uzbrojony? - spytał Farrow.

Patrick skinął głową i uniósł rąbek kurtki, ukazując pistolet, po czym obaj ruszyli ścieżką śladem suki, Cally. Ally również podążyła w tamtym kierunku.

- Niech pani wraca - polecił jej lord Farrow.

- Ale...

- Bardzo proszę. Bertram zaopiekuje się paniami. Może nic się nie stało, niemniej...

Ally zawróciła. Ciotki dalej sprzątały ze stołu, nieświadome zagrożenia.

- Weźmiesz ten słoik z konfiturą, kochanie? spytała ją Merry.

- Naturalnie. - Ally poszła z naczyniem do kuchni, ale przez cały czas nasłuchiwała w napięciu.

Kilkanaście minut później drzwi domku otworzyły się i do środka wpadły psy, trącając po drodze meble. Po nich zjawili się Patrick z lordem Farrow, pochłonięci całkiem zwyczajną rozmową.

- Czy można byłoby dostać jeszcze filiżankę herbaty, Violet? - spytał lord Farrow.

Ally popatrzyła na niego, potem na Patricka, który tylko wzruszył ramionami. Nie było rady, pozostawało jej cierpliwie poczekać.

Stan lorda Wittburga zdawał się szybko pogarszać. Trzymano go w zakładzie dla obłąkanych przestępców. Panował tu niewyobrażalny smród, a chociaż zatrzymanego osadzono w zakratowanej izolatce, przejmujące krzyki i wycia dały się słyszeć. Mark usiadł na krawędzi łóżka. Lord Wittburg otworzył oczy i zdobył się na wymuszony uśmiech.

- Mark.

- Witam, lordzie Wittburg.

- Że też aż tak upadłem.

- Lordzie Wittburg...

- Nikogo nie zamordowałem, Mark.

- Wiem o tym.

Starszy człowiek ujął go za rękę i mocno uściskał.

- Mam do ciebie zaufanie - szepnął. - Będę potrzebował znakomitego adwokata.

- Lordzie Wittburg...

- Ktoś podrzucił te rzeczy do mojego powozu.

- Kto? - wyrwało się Ianowi, stojącemu przy drzwiach.

Mark pochylił się nad Wittburgiem.

- Czy ktokolwiek wiedział, że milord będzie szukał Ally w muzeum?

- Widziałem na ulicy tego typka z gazety.

- Jakiego typka? - naciskał Mark.

- Griera. Thane'a Griera.

- Jeszcze kogoś?

- Byłem w klubie. Rozmawiałem z Doyle'em. Z tym pisarzem, Arthurem Conan Doyle'em.

- Kto jeszcze był? - wypytywał Mark.

- Ci co zwykle. Wpadł sir Angus Cunningham, który pokazuje się tam rzadko, ale sir Andrew Harrington zaprosił go na herbatę.

- Jeszcze ktoś?

- Ci co zwykle. - Znów zamknął oczy, ale się uśmiechnął. - Kobiety nie mają wstępu.

- Lordzie Wittburg, czy może pan jeszcze coś sobie przypomnieć?

Dlaczego tak panu zależało na rozmowie z Ally?

Raptownie podniósł powieki.

- Ona musi się pilnować, więc powinna wiedzieć.

- Ja jej będę pilnował - zapewnił Mark. Wittburg znowu zamknął oczy.

- Lordzie Wittburg? Odpowiedzi nie było.

Ktoś ostrożnie klepnął Marka w ramię.

- Dostał środki uspokajające - wyjaśnił pielęgniarz. - Nie zbudzi się teraz przez wiele godzin.

Mark skinął głową i wstał. Razem z Ianem opuścili zakład.

- I co teraz? Może Arthur Conan Doyle postanowił poeksperymentować przed napisaniem kolejnej książki, więc zdecydował się popełnić zbrodnię i podrzucić nam fałszywy dowód? - spytał ze znużeniem Ian.

- Zabawne, przyjacielu.

- Co to wszystko ma wspólnego z teorią szalonych gospodyń?

- Wittburg powiedział, że kobiet w klubie nie było. To ciekawe, że prowadzono na ten temat rozmowę - zauważył Mark.

- Thane Grier wydaje się pojawiać wszędzie tam, gdzie coś się dzieje - zauważył Ian.

- Jest dziennikarzem. Musi mieć oczy i uszy otwarte na wszelkie nowiny, to jego praca - odrzekł Mark.

- Przykro mi to stwierdzić, ale nadal niczego nie mamy - uznał Ian. - Niczego, co pomogłoby lordowi Wittburgowi.

- Dostarcz mi informacje o kontaktach i o testamentach - zażyczył sobie Mark. Gdy znaleźli się na ulicy, przystanął. - Wiesz, chyba odwiedzę jeszcze raz Eleanor Brandon.

- Była zdruzgotana śmiercią męża.

- Sprawdźmy, czy nadal cierpi. Ian ciężko westchnął.

- W porządku.

Eleanor przyjęła ich w salonie. Nosila żałobę i było jej w niej do twarzy.

- Po co panowie wrócili? Powinniście szukać mordercy mojego męża - powiedziała wrogim tonem.

- Przyszliśmy zapytać, jak się pani czuje. Czy ma pani jakieś kłopoty finansowe albo inne? - zapytał Mark.

- Nie. Jeśli przyszliście zaoferować mi pomoc, po prostu wyjdźcie. Chcę mieć spokój we własnym domu.

- Naturalnie - zgodził się z nią Mark. - Wobec tego idziemy.

Ian spojrzał na niego ze zdumieniem. Przed domem wciąż patrzył na przyjaciela tak, jakby ten stracił rozum.

- Po co właściwie tu przyszliśmy?

- Myślę, że histeria na przyjęciu zaręczynowym Ally została bardzo dobrze odegrana.

- Skąd to wiesz?

- Nie wiem. Tak mi się wydaje. Musimy porozmawiać z jej siostrą.

- Sprawdziłem jej alibi, Mark - powiedział Ian.

- Chcę więcej.

- To daleka droga.

- Trudno.

Na odchodnym lord Farrow konferował z Patrickiem. Ally usłyszała, że wkrótce przybędzie Thomas, a potem Geoff. Ta trójka nie zamierzała zostawić domku i ciotek bez opieki. W powozie mogła wreszcie porozmawiać z lordem Farrow.

- Co znaleźliście w lesie?

- Nic... i coś.

- Lordzie Farrow!

- Ktoś tam był, to pewne. Przykro mi, ale spóźniliśmy się, cieszę się jednak, że przynajmniej moje psy wywiązują się z obowiązków. Poza tym od tej pory domku strzeże bez przerwy dwóch ludzi.

- Bardzo dziękuję.

- W tym zamieszaniu trudno czasem to dostrzec, ale są jeszcze porządni ludzie na świecie. Tacy, co nie oczekują niczyjej wdzięczności za to, że postępują przyzwoicie.

- Mimo wszystko jestem wdzięczna.

Gdy dotarli do domku myśliwskiego, Ally przekonała się, że lord Farrow umie gotować, co więcej chętnie przyjął jej ofertę pomocy. Bertramowi kazał zająć się końmi, wyjazd był bowiem zaplanowany na wczesne godziny ranne. Nastawiwszy w piecu zapiekankę mięsną, lord Farrow wyjaśnił, że kucharzenia nauczył się w wojsku. Zjedli we dwoje kolację, a potem Farrow zaproponował

wczesne udanie się na spoczynek. Zmęczona Ally chętnie podchwyciła to hasło. Jednak gdy znalazła się w łóżku, nie mogła zasnąć. Czekwała.

Był już wieczór, kiedy dotarli do domu Marianne York, siostry Eleanor Brandon. Panna York, chuda stara panna z wyniszczoną twarzą, miała zgryźliwe usposobienie i zareagowała niechętnie, widząc kolejnego detektywa z Londynu.

- Właściwie żałuję, że nie mogę powiedzieć czego innego - powiedziała. - Eleanor była tutaj. Ostrzegałam ją przed małżeństwem z Gilesem Brandonem. No i proszę. Wyrzucił ją z jej własnego domu tylko dlatego, że coś tam pisał.

- Wasze stosunki nie należą do najcieplejszych - pozwolił sobie zauważyć Mark. - W Londynie jest wiele znakomitych hoteli, gdzie Eleanor mogłaby spędzić noc.

- Ciekawe za co? - spytała pogardliwie Marianne. Ian odchrząknął. Wskazał elegancko umeblowany salon.

- Nie chcę być niedelikatny, ale o ile wiem, ojciec zostawił panie w dobrej sytuacji materialnej.

- Mam pieniądze. Natomiast Eleanor, ta głupia gaska, wychodząc za mąż, przepisała wszystko na Gilesa Brandona. Tylko niech mi pan nie wmawia, że tak chętnie dała się omamić jego geniuszowi. Z trudem znosiła to, że okoliczności zmuszają ją do szukania gościny u mnie.

- Dziękujemy bardzo, że zechciała pani z nami porozmawiać - zakończył Mark.

Było późno. Wyszli na ulicę i tu ich drogi się rozchodziły. Dosiadłszy Gallowaya, Mark zwrócił się do Iana:

- Myślę, że powinniśmy popatrzeć na nasze sprawy z nieco większą wnikliwością, nie sądzisz? Może złożymy jutro wizytę Elizabeth Harrington Prine?

- Sir Andrew będzie bardzo cierpieć, gdy odkryje, że przesłuchujemy jego krewną - powiedział, kręcąc głową Ian.

- Lord Lionel może zawisnąć - przypomniał mu Mark.

- No tak - przyznał Ian. - Powinienem do jutra mieć informacje o kontaktach. Zgadzam się też na odwiedziny u Elizabeth.

Mark był pewien, że jego ojciec postanowił wrócić do domku myśliwskiego. Zmęczony, skierował się więc w tamtą stronę. Malcolm i Cara wybiegły mu na powitanie, Bertram odprowadził konia do stajni, a Mark, podziękowawszy służącemu, wszedł do domu. O tak późnej porze we wnętrzu panowała cisza. Niewątpliwie i jego ojciec, i Ally udali się na spoczynek. Zamierzał iść do swojego pokoju, zmienił jednak zdanie i wślizgnął się do sypialni narzeczonej. Tym razem spała. Postał nad nią kilka sekund, a potem położył się obok. Oddychała swobodnie i głęboko. Objął ją i przytulił.

Ally zbudziła się sama, ale miała neodparte wrażenie, że Mark ją odwiedził. Przyjrzała się pościeli i wykryła obok wgłębienie w poduszce. Uśmiechnęła się, zaraz jednak jej uśmiech przerodził się w marsową minę. Jak on śmiał wpaść w gniew z powodu jej artykułu? Będzie musiał z niejednego się wytłumaczyć. Przede wszystkim była pewna, że odkrył znaczenie słów, które usłyszała z ust Lionela Wittburga, ale nawet na ten temat się nie zająknął. Liczyła na to, że zaczepi go przy śniadaniu, przeżyła jednak głębokie rozczarowanie. Zastała przy kawie jedynie lorda Farrow, który powiadomił ją, że Mark już opuścił dom.

- Widzę - powiedziała.

Lord Farrow przykrył jej dłoń swoją.

- Miał ważną sprawę, inaczej na pewno by pani nie zostawił.

- Naturalnie - mruknęła z nadzieją, że lord Farrow nie dosłyszał w jej głosie sarkazmu.

- W każdym razie będę gotów do wyjazdu, kiedy tylko pani sobie zażyczy.

- Wypiję łyk kawy, milordzie, i też będę gotowa - odrzekła.

Na East End przybyli odpowiednio wcześniej. Na kościelnym dziedzińcu rozstawiono kramy, gdzie miano wydawać żywność, ustawiono też krzesła w miejscu, w którym zaplanowano pokazy.

Ally wiedziała, że Maggie jest krytykowana za swoją nietuzinkową działalność. Opowiadała prostytutkom o chorobach wenerycznych i rozdawała kondomy. Maggie nie dbała o zasady przyzwoitości, gdy kolidowały one z wymogami zdrowotnymi. Była damą w każdym calu, ale fakty dotyczące chorób wenerycznych przedstawiała bez najmniejszego skrepowania.

Ally została przydzielona do kramu z rzeczami dla dzieci. Potrzebujący mogli tu znaleźć pieluchy, koce, ubrania, trzewiki, a nawet niepotrzebne już kapelusze, które po jednym sezonie wyszły z mody. Ally miała również zapas mydła, ręczników i cynową wannę, napełnianą wodą w razie gdyby jakieś dziecko trzeba było wykąpać przed przyodzieniem w świeże rzeczy. Po czterech godzinach ucieszyła się z widoku Merry, która przyszła namówić ją na chwilę odpoczynku.

- Ty przecież jeszcze pracujesz - zaproponowała Ally.

- Och nie, moja droga. Właśnie miałam bardzo miłą przerwę, wypłam herbatę z lady Maggie i wielebnym, który nie może się jej nachwalić. Skręć za róg, a znajdziesz zaciszny ogródek. Ktoś zaraz przyniesie ci tam herbatę.

Zadowolona, że będzie mogła usiąść, Ally ruszyła we wskazanym kierunku. Przystanęła niedaleko wejścia na teren, zauważywszy, że Thane Grier przeprowadza wywiad z Maggie. Oboje ją spostrzegli i pozdrowili skinieniami dłoni. Ally zajęła miejsce przy stole. Ledwie zdążyła usiąść, gdy obok pojawił się Thane.

- Dzień dobry. Co za dzień.

- Dzień jak co dzień - odparła.

- Ten artykuł we wczorajszej gazecie był pani autorstwa, prawda? - spytał z głupia frant.

Tego się nie spodziewała.

- Nie musi pani odpowiadać - zastrzegł się, unosząc dłoń. - Proszę się jednak nie martwić, dotrzymam tajemnicy.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Przyszedłem pani podziękować. - Uśmiechnął się szeroko.

- Za co?

- Dzięki pani chyba na coś wpadłem.

- Tak?

- Zacząłem po cichu prowadzić własne śledztwo. Wie pani - ciągnął, zniżając głos - Giles i Eleanor Brandonowie nie byli w dobrych stosunkach. Ona publicznie go podziwiała i pozwalała mu organizować w domu najrozmaitsze spotkania, ale dlatego, że musiała. Kiedy się pobrali, przelała na niego wszystkie swoje środki. Po jego śmierci odzyskała pieniądze.

- Czego to jednak dowodzi? - spytała Ally.

- Niczego, ale jak świat światem chciwość należy do najczęstszych motywów zbrodni. Elizabeth Prine nie miała pieniędzy, dopóki nie poślubiła Jacka Prine'a.

- I odziedziczyła jego majątek?

- Właśnie.

- Ale Hudson Porter był kawalerem - zwróciła mu uwagę Ally.

Thane wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- I tu właśnie dokonałem wielkiego odkrycia.

- Był żonaty? Thane pokręcił głową.

- Nie, chociaż mają przyjechać jego krewni z Ameryki. Niech pani zgadnie, o co chodzi.

- Proszę powiedzieć.

- Jego gospodyni odziedziczyła bardzo okrągłą sumkę.

- To nadal niczego nie dowodzi.

- Nie, ale fakt, że te trzy kobiety odziedziczyły znaczne kwoty, budzi podejrzenia, nie sądzi pani?

- Ale...

- Te kobiety się znają. Dwie z nich spotykały się na gruncie towarzyskim. Każda z nich miała powód, aby pozbyć się mężczyzny.

- Mimo wszystko nie uwierzę, że któraś z nich dysponuje wystarczającą siłą, by mogła zabić Gilesa Brandona. A pan wciąż nie ma dowodu na ich znowę. Wielu ludzi utrzymuje znajomości, ale niekoniecznie po to, by mordować.

- Musimy znaleźć dowód na to, że w przypadku tych trzech kobiet właśnie tak się stało.

- My?

- To pani mnie natchnęła.

- Owszem, ale nie mam swobody poruszania się, więc nie nadaję się na dziennikarza śledczego.

- Pozwoliłem sobie dostarczyć lady Stirling pewną liczbę dawniejszych artykułów z przeznaczeniem dla pani. Ani przez chwilę nie wierzyłem, że lord Wittburg jest winien zbrodni, chociaż przekona się pani przy okazji, że napisałem doskonały reportaż o jego napaści na panią, późniejszym aresztowaniu i odkryciu kompromitującego dowodu w powozie.

- Ja też nie wierzę w jego winę. Moim zdaniem, chciał ze mną porozmawiać. Jeśli skażą go za morderstwo, będę go miała na sumieniu.

- Na sumieniu będą go mieli sprawcy tej zbrodni - oświadczył z powagą Thane i zmienił temat. - Czyli to już jutro?

- Tak.

Pokręcił głową z podziwem.

- A dzisiaj oblubienica zajmuje się niedomytymi dziećmi, a pani na zamku pomaga swojej przyjaciółce edukować prostytutkę. Czy został przewidziany miesiąc miodowy?

- To wywiad? - zainteresowała się.

- Tak, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

- Nie sędzę, żeby była szansa na miesiąc miodowy. Może w przyszłości.
- Gdzie jest oblubieniec? - Thane się zreflektował. - Głupie pytanie.

Nawet ja wiem, gdzie on jest.

- Czyżby?

- Naturalnie. Często pracuje z detektywem Douglasem. Kilka miesięcy temu miał decydujący udział w ujęciu mordercy z Sheffield. Nie wiedziała pani?

- Widocznie wyleciało mi z pamięci.

- Musi pani być przygotowana na to, że życie z przyszłym mężem może układać się dość niestereotypowo.

- A on musi się nauczyć, że moje zachowanie również bywa niestereotypowe. Czas wracać do obowiązków. Bardzo się cieszę, Thane, że pana spotkałam. Do zobaczenia jutro.

- Nie omieszkam przyjść. Proszę nie zapomnieć o kopercie. Warto przestudiować te artykuły, chociaż wiem, że będzie pani zajęta. Mimo wszystko, kiedy nadarzy się okazja...

- Obiecuję, że z niej skorzystam.

Elizabeth Prine, w żałobie dostojna niczym królowa, powitała Marka z chłodną uprzejmością.

- Jak się pan miewa? Czy znowu przyszedł pan w sprawie męża? No tak, naturalnie. Nie byłby pan tak nietaktowny, żeby składać wizytę towarzyską świeżo owdowiałej kobiecie.

- Elizabeth, potrzebujemy pomocy - zaapelował. - Czy możemy wejść?

- Tak - odparła po krótkim wahaniu.

- Uważam, że ktoś z tego ruchu politycznego, w którym braliście udział z Jackiem, ponosi odpowiedzialność za morderstwa.

- Pan chce w to wierzyć.

- Jak kto inny mógłby zdobyć klucze?

- Widocznie moja gospodyni dopuściła się zaniedbania.

- Gospodyni Eleanor Brandon nie należy do osób niedbałych, to pewne.

- Eleanor Brandon ma szczęście.
- Rzecz w tym, że te zbrodnie są powiązane. Mężczyzn zabito w ten sam sposób.
- Byli antymonarchistami, więc po co szukać zbrodniarza wśród antymonarchistów?
- Morderca znał pani męża.
- Nie mogę panu pomóc, Mark.
- Czy pani i Jack... Przepraszam, że o to pytam, ale czy pani i Jack mieliście zatargi?
- Marku Farrow!
- Muszę o to zapytać, Elizabeth.
- O ile dobrze rozumiem - odparła ostro - znaleziono mordercę w osobie lorda Lionela Wittburga. Tak, wiem, że on jest zwolennikiem Korony - powiedziała ze złością. - Bardzo pana proszę, jestem zmęczona.
- Czyżby, Elizabeth? Spotkałem się z sugestiami, że pani z kimś się spotyka.
- Syknęła ze złości i zerwała się z miejsca.
- Jak pan śmie!
- Śmiem, ponieważ szukam mordercy.
- Niech pan się wynosi z mojego domu i nie wraca. Nie obchodzi mnie pańska wybitna pozycja.
- Dziękuję za gościnność, Elizabeth - odparł Mark. Podszedł do drzwi świadom tego, że pani domu idzie za nim. - Nawiasem mówiąc, gdzie jest dzisiaj pani gospodyni?
- Jeśli musi pan wiedzieć, zwolniłam ją po śmierci Jacka. A teraz proszę się wynosić!
- Ostatnie pytanie. Świadkowie widzieli panią z mężczyzną.

Było to kłamstwo, jednak Mark osiągnął cel. Mimo desperackich wysiłków Elizabeth Prine, aby zachować pozę pełną godności, łatwo było zauważyć, że jej twarz mocno pobrała. Zatrzasnęła za nim drzwi.

Nie miał pewności, gdzie w tej chwili jest jej kochanek. Dowiedział się za to, że gospodyni została wyrzucona, prawdopodobnie zaraz po morderstwie, i że Elizabeth Prine ukrywała kochanka w domu, kiedy odwiedził ją razem z detektywem Ianem Douglasem. Musiał przyznać, że dużą zasługę miał w tym artykuł Ally. Mężowie, żony i dramaty małżeńskie. Miłość i nienawiść. Cieniutka linia rozgraniczająca... Niektórzy małżonkowie mogą chcieć pozbyć się partnera, aby zdobyć pieniądze, jeden z najstarszych motywów zbrodni. Inni mogą zabijać z miłości albo nienawiści.

Mark odwrócił się plecami do domu Elizabeth Prine. Jak najszybciej musiał przekonać Iana do wzięcia domu pod obserwację. Podczas wizyty rzucił mu się w oczy jeszcze jeden szczegół. Elizabeth Prine zaczęła się pakować. Drobne ozdoby domowego wnętrza znikały. Ich właścicielka planowała ucieczkę.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Ally zdążyła zapomnieć, że prosto z kwesty powinna pojechać do zamku Carlyle. Po długim, lecz bardzo owocnym dniu wsiadła wraz z ciotkami i Camille do powozu Stirlingów, podczas gdy Brian jechał konno z tyłu.

Po drodze trwały ożywione rozmowy. Ciotkom wydawało się absolutnie zachwycające, że lord i lady Stirling, sir Hunter oraz lady Kat MacDonald połączyli siły, by urzeczywistnić tak pamiętny dzień wypełniony czynieniem dobra. Camille z rozbawieniem przypomniała im, że były czasy, gdy na królewskich dzieciach spoczywał obrzędowy obowiązek obmywania stóp ubogim i chorym. Zdaniem Merry, dobrze się stało, że ten uciążliwy obyczaj odszedł w przeszłość, tego dnia miała bowiem okazję powąchać stopy kilku osób.

Gdy powóz zbliżał się do zamku, Merry i Edith smacznie drzemały z głowami na ramionach Violet. Ally, siedząca obok Camille, także była śpiąca. U celu podróży wysiadła jednak samodzielnie i jeszcze pomogła opuścić powóz ciotkom. Camille, która stanęła na dziedzińcu ostatnia, podała jej dużą kopertę.

- Thane Grier prosił, żebym ci to dała - powiedziała.

- A cóż to jest, moja droga? - spytała Violet.

- Och, tylko stare artykuły. To doprawdy miły człowiek, niedawno rozmawialiśmy o tym, jak bardzo lubię czytać.

- Rzeczywiście miły. - Edith z trudem stłumiła ziewnięcie.

Camille przesłała Ally pytające spojrzenie, ale jej podopieczna jedynie się uśmiechnęła i ruszyła do wejścia.

- Wielkie nieba, wszystkie potrzebujemy kąpieli - stwierdziła Violet, ścierając z dłoni czarną smugę.

- Tak, zaraz zaprowadzę was do pokoi. Już późno, więc każę podać herbatę każdej z osobna, żebyście mogły położyć się do łóżek zaraz po kąpieli zaofiarowała się Camille.

- Bardzo jesteś kochana - ucieszyła się Violet.

- Jutro zapowiada się pracowity dzień - zauważyła Camille. - Dostawcy przyjadą z samego rana, wszędzie będzie pełno muzyków. Trzeba też ubrać pannę młodą.

- Absolutnie cudownie - uznała Merry, pociągając nosem.

- Kochane, proszę, nie zaczynajcie płakać! - Ally ucałowała po kolei ciotki.

Wkrótce znalazła się w zaciszu sypialni, którą tak dobrze знаła. Gdy oparła się o drzwi, zewsząd spoglądały na nią egipskie dzieła sztuki. Zamknęła oczy. Powiedziała sobie, że z pewnością jeszcze tutaj wróci, tak samo jak wróci do domku w lesie.

Nalała sobie gorącej wody i z westchnieniem rozkoszy wyciągnęła się w wannie. Nagle ogarnęła ją panika. To prawda, że jest zakochana w Marku. Myśl o spaniu u jego boku noc w noc była wspaniała, podniecająca, napawała ją niemal zachwytem, ale... Nie miała okazji porozmawiać z Markiem przed ślubem. A jeśli on wciąż nie rozumie jej potrzeby pisania? Wtedy przypomniała sobie kopertę.

Wyskoczyła z wanny i ociekając wodą, pobiegła do sypialni. Po drodze zmarzła, więc ponownie zanurzyła się w gorącej wodzie, uważając tylko, by nie zamoczyć kartek. Wiele artykułów było opatrzonych ilustracjami. Niektóre pochodziły sprzed kilku lat. Większość dotyczyła spotkań różnych stowarzyszeń antymonarchistycznych. Inny opisywał odwiedzin lorda Wittburga u zwolnionego z więzienia Hudsona Portera, który trafił tam aresztowany za zakłócenie porządku publicznego. Jeszcze inny podsumowywał ślub Jacka Prine'a z Elizabeth Harrington i wspominał o spotkaniu przeciwległych biegunów. Na załączonej ilustracji przedstawiono sir Andrew Harringtona. Ślub odbył się w osadzie, więc uczestniczył w nim również sir Angus Cunningham. Sfotografowano go w dumnej pozie obok pana młodego. Gdy przyjrzała się dokładniej, stwierdziła, że był tam i Thane Grier.

Schowała artykuły do koperty i odłożyła na bok. A jeśli morderstwa miały wydać się pozbawione motywów? W czyim umyśle powstałby pierwotny plan? I kto próbowałby się porozumieć? Czy był to skutek jakiegoś przypadkowego spotkania? Zanurzyła się w wodzie cała z zamiarem umycia głowy. Dręczyły ją dziesiątki myśli, była jednak zbyt zmęczona, by nadać im sens. Gruntownie wyszorowana wyszła z wanny, włożyła koszulę nocną, dokończyła suszenia włosów przy ogniu i położyła się do łóżka.

Ian Douglas wpadł w duże podniecenie, gdy zrozumiał najnowsze zamysły Marka. Naturalnie obiecał zorganizować obserwację domu Elizabeth Prine. Wprawdzie stał on poza jego rewirem, ale można było znaleźć do tego zadania takich ludzi, którzy wykonają je poza czasem służby. Zamierzał też porozmawiać z szeryfem Cunninghamem.

- Myślę, że nadszedł czas, aby wykorzystywać jedynie takich ludzi, których darzysz osobistym zaufaniem - powiedział Mark.

- Chyba masz rację - przyznał Ian. - Przyjrzałem się finansom, tak jak sugerowałeś.

- I co?

- Po śmierci Jacka Prine'a wszystko odziedziczyła Elizabeth. Po śmierci Gilesa Brandona majątek wrócił do żony. A gospodyni Hudsona Portera otrzymała niemałą kwotę w testamencie. Jeszcze zobaczymy, co z tego wyniknie. W każdym razie jeśli Elizabeth ma kochanka, jest to jedynie postępek niemoralny, lecz w żadnym wypadku nie nielegalny.

- To zależy od tego, kim on się okaże - zauważył Mark.

- Powinieneś wrócić do domu. Musisz pomyśleć o jutrzejszym dniu.

- O jutrzejszym?

- Masz ślub.

- Dobry Boże, rzeczywiście - przyznał Mark.

Pojechał prosto do domu. Dotarłszy na miejsce, zawołał Bertrama i oddał mu pod opiekę konia. Pobiegł na górę i pchnął drzwi do pokoju Ally. Nie było

jej. Przez chwilę targał nim paniczny lęk. Potem nagle wróciło opamiętanie. Nic dziwnego, że Ally nie ma. Przecież jest w zamku Carlyle.

Przeszedł do salonu i napił się brandy. Nie mógł pozwolić, żeby ktoś wyrządził jej krzywdę. Nie wyobrażał sobie życia bez Ally. Jak powstrzymać ją przed prowokowaniem losu i narażaniem się na niebezpieczeństwo?

- Poślubię ją - rzekł do siebie. - Nic więcej nie mogę zrobić.

Zauważył, że jakiś mężczyzna obserwuje dom. Z irytacją pokręcił głową, w rzeczywistości bowiem wolałby nie mieć do czynienia z Markiem Farrow. Do tej pory zabijał z zaskoczenia bezbronnych ludzi. Jak znaleźć taką chwilę, kiedy Farrow będzie bez broni? To zadanie na przyszłość. Tymczasem przyglądał się człowiekowi, który ubrany w codzienny strój, spacerował tam i z powrotem po ulicy. Kuchenne wejście, oto rozwiązanie. Tamten nie obserwował kuchennego wejścia. Nie poprawiło mu humoru przedzieranie się przez krzaki i przeskakiwanie muru. Potem musiał się niemal czołgać, aby dotrzeć do drzwi. Na szczęście zachował komplet kluczy, więc z wejściem nie było problemu. W domu panowała cisza.

Musiała być na górze. Idąc przez salon, zauważył ślady pakowania. Wszystkie półki, kredensy i stoliki zostały opróżnione. Znieruchomiał. Był u niej dzisiaj Mark Farrow. Widział to. Zapewne więc już wie, że Elizabeth zamierza wyjechać. Zerknął ku szczytowi schodów. Wspinając się na stopnie, czuł, jak pochwa noża ociera mu się o kostkę. Czekala na niego w sypialni z rozpuszczonymi włosami, oparta o poduszki. Przy łóżku paliła się lampa.

- Mark Farrow znów tu dzisiaj był.

- Tak, dałam sobie z nim radę.

- Czyżby? W jaki sposób?

- Bardzo błyskotliwie. Oburzeniem i królewską pozą.

- Podejrzewa, że masz romans. Zawahała się.

- Niczego nie może dowieść.

Podszedł do niej z uśmiechem. Zgasił lampę, a Elizabeth wydała zmysłowy pomruk. Położył się obok niej.

- Przesuń się - szepnął.

- Jak sobie życzysz.

Wyciągnął nóż. Wolałby zrobić to inaczej. Wolałby widzieć jej twarz. Przecież to wszystko zrobił dla niej. Nie mógł znieść życia bez niej. A jednak nie wolno było pozwolić na to, żeby krzyknęła. Musiał wykazać się sprytem. Przyłożył jej ostrze do gardła tak szybko, że nawet nie zorientowała się w sytuacji. Potem nacisnął mocniej i pociągnął. Rozległ się charczący odgłos, krew wsiąkała w pościel.

Nie czekał na jej śmierć. Ostrożnie wytarł nóż w prześcieradło i powoli zszedł na dół. Nie podobała mu się myśl o ucieczce kuchennymi drzwiami, czołganiu się przez trawę i skakaniu przez płot. Niestety, pewnych trudności czasem nie sposób uniknąć. Czekał na niego powóz. Noc zapowiadała się pracowicie.

Zamek tętnił życiem. Z samego rana Camille zjawiała się w sypialni Ally, zresztą w znakomitym humorze, i zapowiedziała, że wszystko zostanie tak zorganizowane, żeby panna młoda nie musiała się przedwcześnie pokazywać. Wkrótce podano rogaliki i parującą kawę. Potem przyszły ciotki, a z nimi Kat, Maggie i ponownie Camille. Pokój był duży, ale...

Najpierw włosy. Violet umiała czynić cuda z żelazkiem do zakręcania papilotów. Następnie spiłowano jej i pomalowano paznokcie, najpierw u rąk, potem u nóg. Tymczasem wir aktywności na dole wciągnął najpierw Camille, potem Maggie, a na końcu Kat. Ally została więc już tylko z ciotkami, kiedy przyszła chwila wkładania sukni, ukrytej przed oczami ciekawskich w osobnym pokoju.

Najpierw pończochy i bielizna. Gorset. Wreszcie suknia, mieniąca się tysiącami pereł i perełek. Wystrojona w nią Ally nie była pewna, czy w ogóle

będzie mogła się ruszać. Jeszcze ostatnie poprawki makijażu, odrobina perfum, pantofelki, tren, wreszcie diadem z welonem.

Teraz kreacja była już gotowa, a Ally czuła się jak sztuka nadziewanego drobiu ozdobnie podanego na świąteczny stół. Tymczasem wróciły Camille, Maggie i Kat, każda z nich w kreacji przeznaczonej specjalnie na tę okazję. Również ciotki wyglądały ślicznie. Cała wystrojona szóstka kobiet otoczyła ją wianuszkami, a Camille kazała przynieść duże lustro.

Ally poznała się z najwyższym trudem. Fryzura dodała jej lat i dostojęstwa. W ślubnej sukni miała figurę klepsydry, a dzięki obcasom wydawała się wyższa niż zwykle.

- Mówiłam, że złamana biel będzie doskonała - oświadczyła Violet.

- Moja droga siostrze, to jest jasny beż - sprzeciwiła się Merry.

- Nie, złamana biel - uparła się Violet.

- Obie się mylicie. Odcień jest perłowy - zawyrokowała Edith.

- Suknia jest piękna, bez względu na kolor - powiedziała Ally i zaczęła ścisnąć ciotki.

- Uważaj, bo pognieciesz! - zawołała Violet, po czym sama objęła oblubienicę. - A niech się gniece.

- Jest nas sześć - zwróciła uwagę Maggie - więc wątpię, czy suknia to przeżyje. Wycalujmy pannę młodą, ale bez uścisków.

Zaczął się więc całowanie. Ponieważ jednak ciotki miały uszminkowane usta, wkrótce policzki Ally przybrały jaskrawy odcień czerwieni. Violet westchnęła smutno, ale Kat tylko się roześmiała i ponownie zrobiła pannie młodej makijaż. Camille zerknęła na zegarek i aż syknęła z wrażenia.

- Już czas.

- Jesteście pewne, że pan młody się stawi? - spytała Ally. Zamilkły wstrząśnięte tą wątpliwością. - Pytam, bo Mark Farrow ma skłonność do spóźniania się i nieobecności.

- Mark już jest. Widziałam, jak przyjechał - odrzekła Kat.

Rozległo się pukanie do drzwi. Ally serce podeszło do gardła. Wydawało jej się, że zaraz zemdleje. Camille otworzyła drzwi. Brian Stirling czekał, aby sprowadzić pannę młodą na dół.

- Ally?

Skinęła głową i wsparła się na jego ramieniu. I nagle, ni stąd, ni zowąd, wpadła w panikę. Przypomniała się jej absurdalna klątwa Eleanor Brandon, którą dawno już wyrzuciła z pamięci.

- Skarabeusz! - szepnęła.

- Co takiego? - zainteresowała się Camille.

- Skarabeusz.

- Ano tak - pojęła problem Kat. - Czy jest w szkatułce? I gdzie go przypiąć?

- On chyba nieszczególnie pasuje do ślubnej sukni - stwierdziła Camille.

- Ale jest bardzo piękny - powiedziała Maggie.

- Muszę go włożyć - oświadczyła Ally.

- Przypniemy go do stanika - zaproponowała Kat i natychmiast zrealizowała swój pomysł.

Wkrótce potem kobiety się oddaliły; Ally została wsparta na ramieniu Briana. Słysząc już było dźwięki marsza weselnego.

- Zaraz poślizgnę się na schodach - mruknęła Ally.

- Na pewno nie - dodał jej otuchy Brian. - Nie pozwolę, żebyś upadła.

Muzyka niosła się po całym zamku. Dookoła wisiały srebrno-białe transparenty. Wszędzie tłoczyli się elegancko ubrani ludzie. Trzaskały flesze, nad którymi unosiły się obłoczki dymu. Ally przeszła z Brianem do sali balowej. Tu ogarnęła ją radość. Mark zdążył na ślub. Widziała przez tiul welonu tego samego mężczyznę, którego podziwiała, gdy uspokajał tłum, mężczyznę, w którym zakochała się, gdy napadł na powóz, mężczyznę, z którym tańczyła nad strumieniem w lesie, mężczyznę, z którym wymieniała w ciemności pieszczoty, nie mając na sobie ani strzępka odzienia.

Mark był niezwykle elegancki. Miał na sobie brokatową kamizelkę i frak, przypominający dawne czasy. Wysoki, z lśniącymi włosami, wyrazista, zapadająca w pamięć twarzą. I te jego oczy... Przeszył ją dreszczyk, gdy podeszła do narzeczonego. Patrick stał obok jako pierwszy drużba, a za nim ustawili się inni. Maggie, jej pierwsza przybrana matka, wzięła od niej bukiet, a Brian przekazał ją Markowi, gdy duchowny zapytał:

- Kto oddaje tę kobietę, aby zawarła małżeństwo?

Wiedziała, że ci, których kocha, są blisko. Ciotki stały na samym przodzie, niczym trzy matki oblubienicy. To był sen, wszystko wydawało się barwną plamą, zupełnie jakby Ally poruszała się w fantastycznym świecie. Słyszała pochlipywanie ciotek, z których najgłośniejszą Merry pocieszała słowami:

- Nie płacz, są piękną parą.

Ktoś je uciszył. Duchowny dalej recytował ślubne formuły.

Miłość, szacunek i posłuszeństwo. Jak mogła przysiąc przed Bogiem coś takiego? Czy Bóg zrozumie małe, nieszkodliwe kłamstwo? Bądź co bądź, naprawdę kocha przyszłego męża. Przez cały czas czuła na sobie spojrzenie Marka i jakoś za każdym razem udawało jej się powiedzieć to, co właśnie należało. Westchnęła, gdy ją pocałował.

Znowu rozległa się muzyka, a oni w jej rytm wyszli z sali balowej, chociaż Ally nie miała pojęcia, dokąd się kierują, zwłaszcza gdy znaleźli się na dworze. Tam przekonała się, że zaproszono wszystkich, nie tylko arystokrację, lecz również służące, kowali, kucharzy, każdego, kto tylko miał swój udział w prowadzeniu domu i majątku lub po prostu dostatecznie blisko mieszkał. Raz po raz rozlegały się głośnie życzenia pomyślności.

Ally przycisnęła skarabeusza do piersi i się uśmiechnęła. Jej złe przeczucia były zupełnie niepotrzebne. Wszystko potoczyło się tak jak powinno. To było jak w bajce. Poznała go, pokochała i poślubiła. Ośmielona tą świadomością, rzuciła bukiet. Córka miejscowego gospodarza złapała go z

okrzykiem zachwytu. Na rozległym dziedzińcu zamkowym rozstawiono stoły i, żeby na pewno dla wszystkich starczyło miejsca, stoły stały również w zamku. Muzycy grali i pod dachem, i na świeżym powietrzu.

- Szampana? - Mark podał jej kieliszek.

- Za połączone dusze! - zawołał Patrick. - Za Ally, najbardziej odpowiednią damę dla takiego mężczyzny, jak Mark.

Pierwszy taniec z mężem Ally skończyła na bosaka na trawniku, więc oboje zaczęli się śmiać. Dobrze pamiętali swój taniec w lesie. Muzyka wibrowała w powietrzu, w ciele i duszy Ally. Cierpiała, kiedy musiała rozdzielić się z Markiem nawet tylko po to, aby zatańczyć z jego ojcem. Mark zaprosił do tańca po kolei wszystkie ciotki, potem Maggie, Camille, Kat. Ona tymczasem miała za partnerów Briana, Jakiego, Huntera, sir Angusa, sir Andrew oraz innych mężczyzn, których pierwszy raz widziała na oczy. Zatańczyła z kuchmistrem Theodore'em i z Thane'em Grierem, który nie odważył się jej poprosić, ale został przez nią wypatrzony w tłumie. A także z Patrickiem, Thomasem i Geoffem. Nawet z księdzem!

W pewnym momencie Ally dojrzała Iana Douglasa.

- Detektywie!

- Przepraszam.

- Przecież został pan zaproszony. Jest pan przyjacielem Marka.

- Tak.

Przyjrzała mu się uważnie.

- Rozumiem. Pan tu przyszedł służbowo, prawda? Co się stało? Nalegam, żeby mi pan powiedział.

- Nie chcę, żeby to się tak szybko rozeszło.

- Mnie można zaufać, detektywie Douglas.

- Kilka godzin temu znaleziono w łóżku martwą Elizabeth Prine - powiedział.

- Wdowę po Jacku Prinie?

- Tak.

Ally przycisnęła skarabeusza do ciała.

- To jeszcze nie wszystko, prawda? Skinął głową.

- Proszę mówić. Zamierza pan zabrać stąd Marka w dniu naszego ślubu.

Niech mi pan opowie wszystko, do końca.

- Naprawdę nie chcemy, żeby to się rozniosło.

- Rozumiem - potwierdziła, przysięgając sobie, że nie zabraknie jej cierpliwości.

- Eleanor Brandon...

- Nie żyje?

- Pewnie nie przeżyje. Jest nieprzytomna, straciła mnóstwo krwi.

Zaczęli tańczyć walca.

- A gospodyni?

Spojrzał na nią spod przymrużonych powiek.

- Mark nie zdradza poufnych informacji - powiedziała z goryczą. - Wiem to wszystko z gazet.

- Gospodyni... - Przeszył go widoczny dreszcz. - Zdaje się, że z zabiciem jej nie było żadnych problemów.

- Hudson Porter nie był żonaty. Co z jego gospodynią?

- Też.

- Nie żyje?

Mark stanął za detektywem i poklepał go po ramieniu. Minę miał ponurą.

- Do diabła, Ian, co ty opowiadasz mojej żonie?

Ally obdarzyła detektywa wymuszonym uśmiechem, a potem ujęła Marka za ramiona i zawirowała z nim w tańcu.

- Mówi mi prawdę, czego ty zdajesz się nie uznawać.

- To nie jest twoja sprawa. Jesteś bardzo inteligentna, Ally - podkreślił z naciskiem. - Wyjątkowo sugestywnie piszesz. Czy jednak nie rozumiesz najważniejszego? Ten człowiek jest szaleńcem. W ciągu jednej nocy zarząnął

cztery kobiety. Może trzy, bo Eleanor Brandon jeszcze żyje, najpewniej jednak odejdzie z tego świata i nie zdąży powiedzieć, kto to zrobił. Ally, musisz trzymać się od tego z dala i zaprzestać kontaktów z gazetą. Nie rozumiesz?

- Zamierzasz wkrótce wyjść po cichu z wesela, prawda?

- Ale wrócę.

- W to nie wątpię. Kiedyś wrócisz. Jeśli jednak chcesz mnie odsunąć od swoich spraw, nie licz na to, że będę na ciebie czekać.

- Ally...

- Dlaczego przebierałeś się ze swoimi przyjaciółmi za zbójców?

- To powinno być oczywiste, zwłaszcza dla kogoś z twoim talentem do wynajdywania motywów różnych działań.

- Morderca ucieka powozem, więc zatrzymujesz powozy w poszukiwaniu dowodu, a tymczasem biedny lord Wittburg leży w szpitalu, chociaż jego jedyna zbrodnia polegała na tym, że chciał mi powiedzieć coś, co wszyscy ukrywają.

- Wtedy i ja nie miałem o niczym pojęcia.

- Czy Brian wie, że wkrótce wychodzisz? - spytała.

Milczał, ale z jego miny Ally wywnioskowała, że odpowiedź jest twierdząca.

- Chodźmy do powozu, tak jakbyśmy chcieli uciec na noc poślubną - zaproponował Mark.

- Jakie to wygodne, że noc poślubna już się odbyła - odparła lodowato.

- Ally, na miłość boską, przecież musisz rozumieć powagę sytuacji. Ten człowiek nie cofnie się przed niczym, byle tylko ukryć prawdę.

- Dostrzegam powagę sytuacji.

- Wobec tego wybacz mi.

Podniósł się radosny krzyk. Na dziedziniec wtoczył się pięknie przybrany powóz rodu Farrow, zaprzężony w dwa kare ogiery.

- Mamy pretekst - szepnął Mark.

Patrzył Ally prosto w oczy, a ona tęskniła za człowiekiem, którego poznała ostatnio. Takim, który raczej prosił, niż żądał. Odwróciła się jednak i pomachała zebrany, a potem trzymając męża za rękę, pobiegła w stronę powozu. Bertram opuścił schodki, a Mark pomógł jej wsiąść i zadbał, żeby drzwi nie przytrzasnęły trenu sukni. Obejrzała się z wymuszonym uśmiechem i jeszcze raz pomachała.

Edith i Merry, stojące po obu stronach Violet, szlochały.

- Kocham was, najmilsze! - zawołała głośno i opadła na siedzenie. Zdarła z głowy diadem z taką energią, że szpilki do włosów rozsypały się po podłodze.
- Czy odegrałam swoją rolę tak, jak sobie życzyłeś? - spytała, gdy powóz potoczył się ku zamkowym bramom.

- Ally - powiedział zbolalym głosem Mark.

- Dokąd jadę? - spytała chłodno, zdecydowana ukryć emocje. - To wszystko jest grą, prawda? Całe twoje życie jest grą. Małżeństwo z obcą kobietą stanowi odsłonę sceny piątej.

- Zamordowano cztery osoby w ciągu jednej nocy, a sprawcy udało się wymknąć. Jego zbrodnie odkryto dopiero po kilku godzinach. Czy powinniśmy tak bardzo buntować się przeciwko temu, że życie, w którym korzystamy z licznych przywilejów, nie zawsze przebiega po naszej myśli?

Nie czuła już złości, tylko rezygnację. Mark nie rozumiał, że życzyła sobie jedynie być szanowana i dopuszczona do uczestnictwa.

- Nie szukam przywilejów - odrzekła. - Chcę jedynie żyć po swojemu. Kiedyś byłam wolna, teraz tę wolność straciłam.

- Ally, nie jesteś w więzieniu.

- Nie?

- Jeśli nawet, to nie ja je dla ciebie zbudowałem.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Znalazłaś się w więzieniu z winy swojego urodzenia.

Trudno jej było zapanować nad cisnącymi się do oczu łzami.

- Nie. Znalazłam się w nim wtedy, gdy pojawiłeś się w moim życiu. -
Otworzył usta, ale przeszkodziła mu gniewnym ruchem. - Błagam cię, jeśli
musisz coś mówić, to powiedz mi, dokąd jadę. Przecież wszyscy twoi
przyjaciele są w zamku.

- W swoim czasie go opuszczą.

- Czy nie możesz odpowiedzieć uczciwie nawet na jedno proste pytanie?

Marek milczał. Ledwie minęli zamkowe bramy, powóz stanął. Na drodze
usłyszała tętent koni.

- Wrócę, kiedy tylko będę mógł - powiedział i wysiadł.

Wychyliła się i zobaczyła jeźdźców - Patricka, Thomasa, Geoffa i Iana -
prowadzących konia również dla Marka. Ten wskoczył na grzbiet zwierzęcia.
Powóz szarpnął. Wciąż nie wiedziała, dokąd jedzie. Rozplakała się.

Miejsca zbrodni odwiedzali w porządku narzuconym przez odległość.
Zaczęli więc od domu Elizabeth Prine. Koroner już przybył, a wejścia strzegł
policjant, ale nie otoczono domu taśmami, a funkcjonariusze uwijający się na
dworze mieli na sobie stroje cywilne. Chodziło o uniknięcie sensacji przy-
najmniej dopóty, dopóki nie uda się ogarnąć zdarzeń i zrozumieć, co właściwie
zaszło. Zwiększało to szansę ujęcia mordercy.

Nie trzeba było długich badań, aby stwierdzić, że morderca miał klucze i
wszedł od tyłu.

Ciało Elizabeth Prine powiedziało im znacznie więcej. Nie tylko znała
mordercę, lecz również go oczekiwała. Mark ze smutkiem stwierdził, że nie
mylił się co do romansu. Elizabeth zamordował jej kochanek. Uznał, że Ian miał
rację co do sposobu ucieczki sprawcy; ten człowiek docierał do drogi i stamtąd
zabierał go jakiś pojazd, zanim ktokolwiek zdążył zwrócić uwagę na osobnika w
zakrwawionym ubraniu. Przesłuchując policjanta pilnującego domu, Mark
stwierdził, że to jedyna możliwa teoria.

W domu Portera było podobnie, z tym że gospodyni, zadżgana w łóżku,
prawdopodobnie nie spodziewała się wizyty. Zapewne również nie usłyszała

wejścia mordercy. Może nawet miała tyle szczęścia, że zmarła, zanim cokolwiek sobie uświadomiła.

Ostatni w kolejce był dom Brandonów. Tu również gospodynię zaskoczono we śnie, a morderca posłużył się kluczem. Mark prześledził każdy jego krok. Mężczyzna niewątpliwie wszedł do domu ukradkiem, z zamiarem zabicia. Rozprawiwszy się z gospodynią, zajmującą pokój na dole, wszedł schodami na górę. Markowi przyszło do głowy, że powinni porozmawiać ze służącą, zwolnioną przez Elizabeth. Nie dość, że mogła mieć istotne informacje, to prawdopodobnie groziło jej niebezpieczeństwo.

W każdym razie napastnik z pewnością nie zdołał zaskoczyć Eleanor Brandon. W sypialni zostały ślady walki. Od Iana Mark wiedział, że kobietę pozostawiono na łóżku, a morderca z pewnością był przekonany, że Eleanor udławi się własną krwią. Jeden z policjantów na służbie, prowadzący akurat obserwację domu, zauważył, że rano nie zapaliły się światła. Eleanor przeżyła, ponieważ policjant wyłamał drzwi, podniósł alarm, a ranną odwiózł do szpitala.

W końcu pojechali właśnie do szpitala. Eleanor Brandon leżała na łóżku blada jak ściana, jeśli nie liczyć purpurowej smugi w poprzek szyi. Miała też obrażenia na ramionach.

- Zupełnie jak jej mąż - zauważył Ian. Mark skinął głową.

- Jakie są szanse, że odzyska przytomność? - spytał lekarza.

Mężczyzna miał zaszępioną minę.

- Jedna na sto, ale robimy co w naszej mocy. Przed szpitalem czekali na nich oparci o ścianę

Patrick, Thomas i Geoff.

- Niewiele więcej możemy teraz zrobić - powiedział Mark. - Jest za późno. Jutro jednak najlepszym wyjściem będzie wyjazd na drogę.

- Znowu zbójcy?

- Te kobiety miały swój udział w morderstwach. Nie one dzierżyły nóż, ale pozwoliły, aby do nich doszło. Może obiecano im pieniądze. Morderca z

kolei kierował się własnym celem. Wiemy, że znów uciekł powozem, a to znaczy, że szukamy przynajmniej dwóch ludzi: powożącego, który stał też na czatach, oraz samego mordercy. Peleryna w powozie lorda Wittburga była prawdziwa, ale umieszczono ją tam, aby skierować podejrzenia na fałszywe tory. Gdyby morderca nie obawiał się zdrady ze strony Elizabeth Prine... W każdym razie tego wieczoru, gdy lord Wittburg zaczepił Ally, wcześniej przebywał w klubie. Widział tam Arthura Conan Doyle'a i sir Andrew Hartingtona oraz szeryfa, sir Angusa Cunninghama. Na ulicy zauważył też dziennikarza Thane'a Griera. Doyle'a możemy skreślić, ponieważ nie miał związku z tymi domami i nie udzielał się w środowisku antymonarchistów. - Mark uśmiechnął się ponuro. - Możemy go skreślić również dlatego, że byłby niezdolny do urzędu takiej jatki. Na różnych listach wielokrotnie pojawiają się jednak Harrington i Cunningham. Również dziennikarz był w wielu miejscach o właściwym czasie.

- Sir Angus jest szeryfem - stwierdził niemal ze złością Ian.

- Tak, ale w tej sytuacji nie wydaje mi się, żeby ten status miał odwieść nas od dopuszczenia możliwości, że jest zamieszany w zbrodnię.

- Sir Angus? W coś tak odrażającego?! - Ian nie mógł uwierzyć.

- Nie powiedziałem, że to sir Angus, tylko że jest taka możliwość. Jak długo uda się utrzymać w tajemnicy wiadomość o nowych morderstwach, a przede wszystkim zapobiec jej przeniknięciu do prasy?

- Im dłużej ukrywamy prawdę, tym bardziej ściągamy na siebie podejrzenie współuczestnictwa w spisku - odparł Ian.

- Proponuję więc, żebyś osobiście i jak najszybciej poinformował dziennikarzy. Niech twoi ludzie jeszcze raz dokładnie obejrzą miejsca zbrodni w poszukiwaniu jakichkolwiek dowodów. Potem wydaj komunikat.

- Już sobie wyobrażam jutrzejsze kazania w kościołach.

Ally bardzo się zdziwiła, lecz i nieco udobruchała, gdy stwierdziła, że jedzie do Londynu. Powóz zatrzymał się przed kamienicą lorda Farrow. Bertram z potulną miną asystował jej przy wysiadaniu.

- Jeeter jest w domu i pomoże pani we wszystkim, co potrzeba, lady Farrow - zapewnił, odwracając wzrok. - Nie musi pani niczego się obawiać. Będę stał na straży.

- Dziękuję, Bertramie. Nie boję się, ale jestem ci wdzięczna za ochronę.

- Lord Joseph zamierza spędzić wieczór w klubie, więc ma pani cały dom do dyspozycji - powiedział. - Nikt oprócz pani opiekunów nie zna miejsca jej pobytu.

- Dziękuję.

Czy naprawdę nikt? Powóz rzucił się w oczy. Na szczęście, nie stał już na ulicy, lecz znalazł się w wozowni. Ally przywitała się z Jeeterem, ale chciała jak najszybciej uwolnić się od wszelkiego towarzystwa. Pospieszyła na górę, do pokoju, który zajmowała wcześniej, i przekonała się, że został bardzo starannie przygotowany.

Przez chwilę przeglądała się w lustrze toaletki. Włosy opadały jej bezładnie na ramiona, a ona nie prezentowała się już tak dobrze, jak z samego rana. Zaczęła rozpinąć guziczki stanika sukni i nagle zmarszczyła czoło. Na delikatnym rękawie zauważyła wyraźną skazę. Smuga była czerwona. Omal nie zdarła z siebie eleganckiej kreacji, żeby jak najszybciej się od niej uwolnić. Nie ulegało wątpliwości, że rękaw jest powalany czymś, co przypominało krew. Druga smuga naznaczyła plecy sukni, dokładnie w miejscu, gdzie mężczyzna powinien trzymać rękę, prowadząc partnerkę w walcu.

Zamarła. Naturalnie każdy mógł się skaleczyć, na przykład przy goleniu, w kuchni, przy pracach ogrodniczych.

A zabijając człowieka?

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Mark nie miał pojęcia, czego się spodziewać, gdy dotarł do domu tej nocy. Kiedy ostatnio widział Ally, była na niego wściekła, ale która panna młoda zareagowałaby inaczej? Spoglądając na drzwi, zastanawiał się, czy nie miał zbyt wielkich oczekiwań. Nigdy nie uważał, że status syna lorda Josepha Farrow dawał mu powód do wywyższania się w stosunku do innych. Większą część młodości spędził na walce z takim wyobrażeniem: spełniał swój obowiązek wobec imperium i nigdy nie uchylał się od odpowiedzialności, gdy trzeba było stanąć na linii frontu. O jego obecnym miejscu w życiu zdecydowały dwa czynniki - głębokie zrozumienie sytuacji starzejącej się królowej Wiktorii i przyjaźń z Arthurem Conan Doyle'em. Czytelnicy zakochali się w stworzonym przez Conan Doyle'a detektywie, Sherlocku Holmesie, co zaskoczyło samego autora zainteresowanego tworzeniem poważniejszej literatury. Uważał za ironię losu, że ludzie opłakują śmierć Holmesa, postaci fikcyjnej, podczas gdy w rzeczywistym życiu ciężko zachorowała pisarzowi żona. Prywatnie jednak Doyle nigdy nie przestał podkreślać znaczenia obserwacji, opowiadać o latach studiów u doktora Josepha Bella, a także o możliwości zastosowania jego metod w pracy policji.

Mark, jako syn i dziedzic lorda Josepha Farrow, miał otwarte drzwi do wielu domów, które inaczej pozostawałyby dlań niedostępne, a to ułatwiało mu prowadzenie dochodzeń. Czyżby jednak ulegał złudzeniu co do własnego znaczenia? Może powinien był pozwolić, żeby inni zajęli się obecnym kryzysem, i pozostać na własnym weselu? Czy nie przesadzał w samouwielbieniu, sądząc, że tylko on jest w stanie rozwikłać zagadkę ostatnich morderstw? Doprowadził przez to do poważnego rozdźwięku z żoną, i to od pierwszych minut małżeństwa.

Nie, to nie tak. Po prostu zaangażował się w tę konkretną sprawę. Może zanim poznał Aleksandrę Grayson, wyobrażał sobie, że będzie ona osobą słodką, delikatną, kochającą ciszę, a może również wdzięczną, że pozwolono jej wejść do takiej znakomitej rodziny. Miał kilka romansów i żaden nie skończył się boleśnie dla którejkolwiek ze stron. Najdłużej był ze znaną aktorką, którą cieszyły krążące powszechnie pogłoski o jej związku z Markiem Farrow. Lubił ją, ale jej nie kochał. Zgodził się na wcześniej uzgodnione małżeństwo, ale nawet nie przeszło mu przez myśl, że mógłby zakochać się w żonie.

Nigdy też nie sądził, że w noc poślubną jego oblubienica tak się rozzłości, że będzie gotowa przed nim uciec, a tego właśnie całkiem poważnie obawiał się, wchodząc do domu. Kiedy otworzył drzwi, stwierdził z ulgą, że Ally jest w pokoju. Zaczął zdejmować z siebie elegancki strój pana młodego, który wciąż miał na sobie. Odłożył spinki, potem ściągnął frak, kamizelkę i koszulę.

Stojąc przed lustrem, przymknął oczy. Przypomniały mu się makabryczne widoki, które oglądał za dnia, i wydało mu się, że cały jest oblepiony krwią. Przeszedł do łazienki i napełnił wodą wannę. Przez chwilę upajał się ciepłem, szybko jednak chwycił za mydło i myjkę. Niczym lady Makbet próbował zetrzeć z siebie odór śmierci i zła.

Tak bardzo pochłonęły go własne myśli, że nie usłyszał, jak otwierają się drzwi łazienki. Gdy podniósł głowę, zobaczył Ally w skąpym okryciu z białego jedwabiu, z bujnymi włosami w kolorze pszenicy, opadającymi na ramiona i plecy. Znieruchomiał zahipnotyzowany tym widokiem. Ona tymczasem usiadła na krześle obok wanny. Mark milczał, aby zorientować się w nastroju żony.

- A więc wróciłeś - powiedziała cicho.
- Wiedziałaś, że wrócę, kiedy tylko będę mógł.
- Naturalnie - szepnęła i pochyliła się ku niemu.

Zdumiało go, że furia, którą opuścił, zamieniła się w uwodzicielską boginię. Gdy się zbliżyła, wciągnął w nozdrza urzekający zapach, przemieszany

z wonią mydła i perfum i przygotował się na pocałunek. Tymczasem poczuł na szyi dotyk zimnego ostrza. Ally pewnie trzymała rękojeść noża.

- Cóż to za powitanie? - spytał lodowatym tonem.

- To lekcja - odparła.

- Naprawdę? A czego mam się nauczyć? Że wprowadziłem do domu jadowitą żmiję?

- Po pierwsze, szanowny pan ma dokładnie te same słabości, co każdy inny człowiek, mężczyzna czy kobieta. A ja nie będę żyć pod strażą i nie pozwolę się więzić.

- Jak sama udowodniłaś przed chwilą, każdemu grozi niebezpieczeństwo.

- Po drugie, nie poślubiłaś idiotki.

- To dziwne, że podnosisz tę sprawę właśnie teraz.

Para w łazience zwilżyła jedwab, który bardzo kusząco opiął się na piersiach Ally. Zresztą również reszta jej sylwetki rysowała się bardzo wyraźnie.

- Czego chcesz, kochanie? - spytał niefrasobliwie Mark.

- Nie jestem rzeczą. Nie będziesz mnie prznosił to tu, to tam bez pytania, a nawet więcej, bez usłyszenia mojego zdania w tej sprawie. Możesz w to nie wierzyć, ale nie przejęłam się tym, że wezwano cię gdzieś w dniu ślubu, choć dodam, że większość oblubienic mogłaby mieć coś przeciwko temu. Ja natomiast byłam zła, a nawet wściekła, bo „zła” to za łagodne słowo, że nie uznałeś za stosowne wyjaśnić mi całej sytuacji, że nie spytałeś mnie o opinię i nawet nie zainteresowałeś się, gdzie chciałabym spędzić czas, który postanowiłeś poświęcić na odgrywanie wielkiego Marka Farrow-detektywa.

- Mów dalej.

- Tu jest czas na twoje przeprosiny - poinformowała go.

Uśmiechnął się.

- Nie przeproszę za to, że twoje bezpieczeństwo uważam za decydujący czynnik w podejmowanych przeze mnie decyzjach.

- Moje bezpieczeństwo? To nie ja dałam się zaskoczyć. To nie ja mam nóż na gardle.

- Jeśli chodzi o takie sytuacje, jednego już zdążyłem się nauczyć, a ty najwyraźniej jeszcze nie - oświadczył.

- To znaczy?

Błyskawicznie chwycił ją za nadgarstek. Nóż upadł na podłogę i zatrzymał się ze stukiem przy ścianie. Mark pociągnął Ally i doprowadził do tego, że straciła równowagę. Wydawszy okrzyk, wylądowała w wannie wprost na nim.

Przedtem była ucieleśnieniem anioła, teraz walczyła jak rozwścieczona kocica. Gniewnie mrucząc pod nosem przekleństwa, usiłowała się uwolnić, trzymał ją jednak mocno w pól. Woda zaczęła się przelewać przez krawędzie wanny na podłogę. Ally okazała się zaskakująco silna, w końcu Mark zdołał jednak unieruchomić jej ramiona.

- Ja też bardzo się cieszę, że cię widzę, kochanie - szepnął.

Ally bez wątpienia zdawała sobie sprawę z jego podniecenia, trzymał ją bowiem w mocnym uścisku. Zdziwiło go, że zignorowała jego kpinę i powiedziała:

- Nie zniosę, jeśli nie będziesz ze mną rozmawiać, ufać mi, mówić mi prawdy.

- Jaką prawdę chcesz ode mnie teraz usłyszeć? - spytał.

- Zacznijmy od tego, co miał na myśli Lionel Wittburg.

- To skomplikowane - bąknął.

- Mamy czas - odrzekła.

Zaczerpnął tchu i nieco rozluźnił uścisk. Jego ojciec powiedział, że nikt nie może o tym wiedzieć, ale Ally miała przecież do tego prawo. A ponieważ sam obawiał się, że obecne wypadki mają również związek z jej przeszłością, był zdania, że należy ją ostrzec.

- Czy słyszałaś o spiskowych teoriach, wyjaśniających sprawę Kuby Rozpruwacza? - spytał.

- Naturalnie. - Obróciła się w jego ramionach i spojrzała mu w oczy. Wyraz jej twarzy się zmienił, miejsce wrogości zajęło zaciekawienie. - Nie wierzę, że monarchia mogła mieć z tym coś wspólnego.

- Ja też nie, ale często nawet w najbardziej fantastycznych historiach tkwi ziarno prawdy.

- Co to ma wspólnego ze mną? Plotki nie mają już zresztą znaczenia, minęło tyle lat.

- W plotkach dotyczących księcia Alberta Wiktora było właśnie ziarno prawdy.

- Nie wierzę...

- Księżę nie był mordercą, Ally. Zakochał się jednak i wziął nielegalnie ślub. Ta kobieta miała na imię Annie i urodziła mu dziecko. Albert Wiktor poważnie zachorował, niewykluczone zresztą, że przyczyniło się to do pogorszenia stanu umysłu biednej Annie. Z pewnością Annie również zaniemogła i w końcu umarła. Korona znajdowała się wówczas w niebezpieczeństwie, a mam wrażenie, że w otoczeniu Alberta Wiktora nie było dobrych doradców ani nawet przyjaciół.

- Więc...?

- Jesteś tym dzieckiem - powiedział cicho.

- Dzieckiem?

- Córką księcia Alberta Wiktora i jego ukochanej Annie.

- To jest... niedorzeczne. To plotka... Zwykła historyjka i nic więcej. Jeśli takiego środka użyto, aby zmusić cię do poślubienia sieroty, to bardzo ci współczuję.

Nie próbował z nią dyskutować.

- Puść mnie - poprosiła błagalnym tonem.

Uśluchał, a potem asekurował ją, żeby nie przewróciła się na mokrej podłodze. Mark chciał podać Ally ręcznik, ale odtrąciła go i szybko uciekła. Obwiązawszy się ręcznikiem w pasie, ruszył jej śladem. Ally schroniła się w „swoim” pokoju, jeśli mogła mieć cokolwiek swojego w domu lorda Farrow. Nie próbowała odgrodzić się od Marka, po prostu trzęsąc się z zimna, stanęła przy ogniu. Podeszedł do niej, odwrócił ku sobie i ściągnawszy z niej mokrą koszulę, owinał ją ręcznikiem.

- To nieprawda - upierała się.

- Tego nie potrafię powiedzieć. Taką historię usłyszałem od ojca. Wiem tylko, że to mało mnie obchodzi - oznajmił Mark.

Ally spojrzała mu w oczy tak przejmująco, że wezbrała w nim niepojęta czułość. Objął ją, unióś z podłogi i razem usiedli na miękkim fotelu przy kominku. Wciąż drżała, zatopiona we własnych myślach.

- Wiem tylko, że cię kocham - powiedział po chwili.

Odwróciła się ku niemu i objęła go za szyję. Odszukała jego usta, a on przyjął zaproszenie do pocałunku. Bardzo chciał dodać jej otuchy, co sprawiło, że pocałunek stał się namiętny. Spleciony z Ally w uścisku Mark chciał pokazać jej siłę swojej miłości, a ona z zapamiętaniem odpowiadała na pieszczoty.

Wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Czule całował ją po szyi i ramionach, na nowo zachwycił się kształtami ciała i gładkością skóry. Wkrótce uniosło ich gorączkowe pragnienie, które zaowocowało rozkoszą, a potem wróciła czułość. Mark przytulił żonę i powiedział:

- Kocham cię, Ally. Kocham cię, dziewczyno z lasu, która odważasz się burzyć wszystkie konwencje. Kocham cię.

- I ja cię kocham - szepnęła.

Przez całą noc Mark starał się, by Ally nie zapomniała, jak bardzo jest kochana, a ona zdawała się nie mieć nic przeciwko temu. Nic dziwnego - chciała pokazać Markowi, że ich miłość z niczym nie może się równać.

Obudzili się w niedzielę o późnej porze.

Kiedy Ally otworzyła oczy, była pewna, że nie zobaczy Marka obok siebie. Leżał jednak, wsparty na łokciu, i bacznie jej się przyglądał.

Uśmiechnęła się lekko.

- O ile się orientuję, pod drzwiami stoi taca z herbatą i jakąś przekąską - odezwał się. - Mam przynieść?

- Bardzo proszę.

Owinąwszy się ręcznikiem, wyszedł na korytarz i zaraz wrócił z tacą, którą umieścił na łóżku. Dopiero teraz Ally uświadomiła sobie, jaka jest głodna.

- Jeeter, służący doskonały - orzekł Mark. - Nie ma grzanek, bo mogłyby wystygnąć, tylko herbatniki z dżemem i jajka na twardo.

Ally ostrożnie usiadła, żeby niczego nie przewrócić. Nalała herbaty do dwóch filiżanek. Mark zajął się tymczasem herbatnikami.

- Z masłem? - spytał.

- Tak, proszę.

- Cukier do herbaty?

- Tylko śmietanka.

- Dżem?

- Dziękuję.

Ustawwszy przed nimi dość mało stabilną konstrukcję z talerzyków, spodeczków i miseczek, Ally spoważniała.

- Mark, czy to może być prawdą? - spytała

- Powiedziałem ci, że nie wiem i że mało mnie to obchodzi.

- Ale...

- Czy to ma dla ciebie znaczenie? - spytał. - Wychowały cię ciotki i więcej miłości nie zaznałabyś od nikogo. Co zaś się tyczy wszystkich twoich opiekunów...

- A może oni kochają mnie jedynie z lojalności wobec Korony?

- Nie sędzę, Ally, żeby kiedykolwiek poproszono kogoś o otoczenie cię miłością. Może początkowo uznali, że muszą cię chronić. Pomyśl jednak sama. Krzywdzisz bardzo porządnych ludzi, powątpiewając w szczerłość ich intencji.

Spuściła głowę, zaraz jednak się uśmiechnęła.

- Dziękuję.

- Słucham?

- Dziękuję za to, że mi ich oddałeś - powiedziała. - Opowiedz mi, co było wczoraj - poprosiła.

Uśmiechnął się znacząco.

- Poślubiłem bardzo rozpustną istotę.

- To możliwe. Mark, proszę, nie drażnij się ze mną. Co się stało, odkąd wysiadłeś z powozu?

- To było okropne.

- Nie boję się okropności.

- Czegoś takiego jeszcze nie widziałem, Ally. Nie chodzi tylko o brutalność tych zbrodni, krew...

- Morderca jest bezwzględny i wyrachowany - dokończyła.

Skinął głową.

- A. Anonim zaczął podejrzewać istnienie bardziej osobistych motywów zbrodni niż te, z powodu których usiłowano zachwiać brytyjską strukturą władzy.

- Tak, ale jeśli te kobiety były zamieszane... One już nie żyją.

- Eleanor Brandon ma jeszcze małą szansę. Albo miała. Nie wiem, czy dotrwała do rana. Zwraca uwagę brak gazety na tacy, zakładam więc, że Jeeter chce nam zapewnić względny spokój przynajmniej podczas śniadania.

- Jeśli ona przeżyje, to prawdopodobnie pójdzie pod sąd. I zostanie powieszona za współudział w zamordowaniu męża.

- Bóg raczy wiedzieć, co zdecydują sędziowie. Zresztą lekarz nie daje jej wielkich szans. Na wszelki wypadek policja pilnuje jej w szpitalu. Jeśli Eleanor

odzyska przytomność, z pewnością poda nazwisko mordercy. Nie sądzę, żeby chciała zawisnąć zamiast człowieka, który usiłował ją zgładzić.

- Sądzisz, że mordercą może być sir Angus Cunningham? - spytała.

- Skąd to przypuszczenie?

- Umiem czytać, to chyba wiesz. - Zawahała się, a potem dodała: -

Przejrzałam sporo artykułów archiwalnych.

- Ciekawe, jak do nich dotarłaś. - Gdy nie odpowiedziała, przybrał surowy wyraz twarzy. - To Thane Grier, tak?

Milczała.

- Ally, on też jest podejrzany.

- On jest trochę nawiedzony, ma wyolbrzymioną ambicję wyrobienia sobie znanego nazwiska, ale nie jest mordercą.

- Skąd ta pewność?

- Pewna naturalnie nie jestem.

- Trzymaj się od niego z dala - nakazał jej stanowczo Mark.

Ally popatrzyła na niego ze sceptyczną miną.

- Co jeszcze ustaliłaś, czytając artykuły?

- Sądzę, że powinieneś obserwować sir Andrew Harringtona.

- Być może. Naturalnie jest więcej osób, które należałoby wziąć pod obserwację. Poza tym nadal obawiam się o twoje bezpieczeństwo.

- Z powodu włamania do domku?

- Z tego i wielu innych powodów. Nie tylko Lionela Wittburga może interesować twoja tożsamość. A jeśli istnieje ktoś, kto nie wie, że masz potajemne związki z rodem królewskim, ale odkryje, że pisujesz jako A. Anonim? Nie proszę cię, żebyś spędziła życie na słuchaniu moich rozkazów, chociaż przysięgłaś nie tylko kochać mnie i szanować, lecz również okazywać mi posłuszeństwo, ale proszę cię, byś nie igrała z życiem, póki morderca jest na wolności.

- Jestem ostrożna, Mark. Tak samo jak ty. Ujął ją za rękę.

- Ally, przez wiele lat żyłaś w odosobnieniu, w lesie. Chodziłaś, kiedy i dokąd chciałaś. Na razie nie wolno ci wrócić do tych przyzwyczajeń.

- Skończyłaś herbatę? - spytała cicho.

Kiedy skinął głową, zabrała tacę i przytuliła się do męża z nieokiełznaną namiętnością. Dopiero znacznie później wstała i wykapała się, a Mark poszedł do swojego pokoju zrobić to samo. Zaczęła szczotkować włosy, siedząc przy toalecie, kiedy wrócił Mark.

- To dziwne - powiedziała.

- Co takiego?

- Ty pojechałeś z Ianem, ja znajdowałam się w drodze tutaj, a tymczasem morderca cały czas bawił się na naszym weselu.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- O czym ty mówisz?

- Tańczyłam z nim - powiedziała.

- Ally...

Poszła w kątek pokoju i wzięła suknię ślubną, po czym podała ją Markowi.

- Mogą naturalnie istnieć inne wyjaśnienia, ale ten człowiek zabił trzy, a może nawet cztery osoby. Któraś z ofiar mogła go zranić lub skaleczyć. - Położyła suknię na łóżku i wskazała smugi. - Możliwe też, że tancerz skaleczył się, na przykład, krojąc jabłko. Jak powiedziałam, istnieją dziesiątki wyjaśnień. W każdym razie ktoś miał na tyle świeżą ranę, że otworzyła się lub była otwarta w czasie, gdy ze mną tańczył.

Przez chwilę Mark przyglądał się sukni, a potem przyciągnął do siebie Ally tak gwałtownie, że omal nie krzyknęła z bólu. Wsunął jej palce we włosy, spojrzał głęboko w oczy.

- Boże drogi, Ally...

- Mark...

- Tym człowiekiem nawet nie można gardzić. On jest obłąkany. A jednak swobodnie chodzi na wolności. Ośmielił się przyjść na nasze wesele, zatańczyć z tobą, dotykać cię... Jezu! Jeśli go znajdę, nie dożyje szubienicy, przysięgam!

- Mark! - wykrzyknęła przerażona. - Nie możesz sam wymierzać sprawiedliwości! Naturalnie - dodała natychmiast - musisz bronić się wszelkimi środkami, ale nie wolno ci być agresorem. Żałuję, że ci to pokazałam.

- Należy natychmiast zrobić listę twoich partnerów z wesela.

- Miejscowych możemy wykluczyć. Lista obejmowałaby również naszych bliskich, którzy są poza podejrzeniami, na przykład twoich przyjaciół lub moich opiekunów. I tak jednak zostanie sporo osób, w tym sir Angus, sir Andrew...

- I Thane Grier.

- I Thane Grier - przyznała. - To nas prowadzi donikąd. Przepraszam, że zaczęłam...

- Nigdy nie żałuj, że powiedziałaś mi prawdę, Ally. Przysięgam ci też, że będę starał się dzielić z tobą swoje opinie i wyjaśniać wszelkie poczynania. Jest mi trudno dlatego, że te sprawy są często ohydne.

- Tego się nie boję.

- A ja czasem tak - wyznał.

- Muszę być naprawdę częścią twojego życia, Mark. Prawdziwą towarzyszką.

Ujął ją pod brodę.

- Kocham cię, Ally.

- Wiem - zapewniła go. - Domyślam się, że zbójca napadnie znowu?

- Tak? A dlaczego?

- Lord Wittburg omal nie został skazany za zakrwawioną pelerynę, znaną w jego powozie.

Zakładam więc, że morderca nie ucieka z miejsca zbrodni bez obciążających go dowodów. Jeśli zaś wiedział dostatecznie dużo, by podrzucić pelerynę do powozu Wittburga, to musiał być również świadom, że ktoś

domyślił się, jak wygląda jedyny sposób na jego bezkarną ucieczkę, czyli właśnie użycie powozu. Zważywszy więc na to, co stało się piątkowej nocy, należy się spodziewać odkrycia kolejnej zakrwawionej peleryny.

Mark przyjrzał się żonie z widocznym uznaniem.

- A więc zbójca znowu wkroczy do akcji - powiedziała cicho.

- Tak, ale nie dzisiaj.

- Jakie masz plany na dzisiaj?

- Kochać żonę - odrzekł Mark i wziął Ally w ramiona.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Niedziela należała do nich i była jak najwspanialsza fantazja, jak spełnione marzenie. Ally odkryła, że w podziemiach kamienicy lorda Farrow znajduje się pokój bilardowy, są też rzutki, a do jednego i drugiego miała niemały dryg. Grali razem z Markiem, śmiali się i naturalnie wszystko kończyło się namiętnymi uściskami. Jeeter przygotował im wspaniałą kolację przy świecach ze specjalnie wybranym francuskim winem, delikatną przekąską z krewetek i rozpyływającymi się w ustach stekami w charakterze dania głównego.

A potem przyszła noc. Ally nie wyobrażała sobie dotąd, ile pasji może być w pieśczościach. Czuła, że z każdą chwilą jest w Marku coraz bardziej zakochana i przekonana, że powiedział jej prawdę. Graniczyło to z cudem, ale i on ją kochał, i nic więcej zdawało się nie mieć znaczenia.

Wiedziała jednak, że kiedy się zbudzi w poniedziałek, męża obok niej nie będzie. Nie omyliła się.

Z zadowoleniem przypominała sobie, że poprzedniego dnia udało jej się uniknąć składania jakichkolwiek obietnic co do swojego postępowania. Wykąpała się więc, ubrała, po czym zeszła na dół, żeby spytać Jeetera o gazetę.

Wyraźnie ociągał się z jej przyniesieniem, w końcu jednak skapitulował, gdy podawał kawę.

Na pierwszej stronie rzucała się w oczy wiadomość o morderstwach. Chociaż w artykule nie podkreślano rozmiarów przemocy i potworności zbrodni, to również ich nie ukrywano. Z zadowoleniem stwierdziła, że pod tekstem podpisany jest Thane Grier. Skończywszy śniadanie, Ally wróciła na górę. Czowała się trochę jak złodziej, gdy otwierała wszystkie drzwi po kolei, była jednak pewna, że lord Farrow, podobnie jak w domku myśliwskim, również w kamienicy ma maszynę do pisania. Znalazła ją w gabinecie. Spędziła godzinę na pisaniu kolejnego artykułu A. Anonima, a potem zaczęła się zastanawiać, jak wydostać się z domu.

Najciszej jak umiała, zeszła na dół, przekonana, że Jeeter wie, czego należy po niej się spodziewać. Miała jednak nadzieję, że służący nie zdążył jeszcze odnotować końca jej pracy. Ponadto Bertram z pewnością strzegł głównego wejścia do domu, aby nikt nie wszedł do środka bez jego pozwolenia. Nie wydawało jej się jednak, aby przewidział, że ktoś zechce niepostrzeżenie z niego wyjść.

Kamienica była otoczona płotem z zamykaną bramą, ale dyskretne oględziny podwórza za domem pozwoliły Ally zauważyć dąb z pniem sprzyjającym wspinaczce i kilkoma nisko zwisającymi gałęziami.

Mogła dzięki temu przeskoczyć przez płot i dostać się na sąsiednie podwórko.

Sąsiadów nie znała, ale wyglądało na to, że podwórza nikt nie pilnuje, szybko więc przez nie przebiegła i opuściła nieruchomość, korzystając z otwartej bramy dla powozów. Na ulicy zerknęła przez ramię, aby przekonać się, że Bertram wciąż pilnuje wejścia do domu lorda Farrow i nie zauważył jej ucieczki. Potem ruszyła przed siebie zadowolona, że jak na zawołanie podjechał tramwaj konny.

Wybrała się do redakcji z nadzieją, że spotka Thane'a. Wprawdzie posługiwała się nim dla własnych celów, ale on też czerpał z tego korzyści. Nie wierzyła, żeby mógł być sprawcą zbrodni i liczyła na to, że tak bardzo zależy mu na swoim podpisie pod artykułem, iż nie zdradzi wskazówek i informacji, jakie od niej otrzymał.

Po wejściu do budynku, w którym coraz lepiej się orientowała, bez trudu znalazła Thane'a. On również ją zauważył i wstał na powitanie. Ukradkiem położyła na jednym z biurków kopertę z artykułem zaadresowaną do naczelnego redaktora. Thane niczego nie zauważył.

- Ally! Nie spodziewałem się dzisiaj pani zobaczyć - powiedział z uśmiechem, ujmując ją za rękę. - Czytała pani niedzielne wydanie? Przyznaję, że była pani tylko w kronice towarzyskiej, ale fantastycznie udało mi się opisać ślub.

- Dobrze, że chociaż niektóre wiadomości bywają przyjemne - stwierdziła, a ponieważ kroniki towarzyskiej nie czytała, więc szybko dodała:

- Pański artykuł w dzisiejszej gazecie jest znakomity.

- Obawiam się, że dość ponury.

- Za to dobrze napisany. Tylko fakty, podane odważnie, ale bez pogoni za sensacją.

- Dziękuję. Co pani tutaj robi? Jako świeżo poślubiona żona, powinna pani mieć ciekawsze zajęcia.

- Mark jest dzisiaj zajęty - wyjaśniła. - Ten ślub był przyspieszony, pan rozumie. Wkrótce przyjdzie czas na miesiąc miodowy, ale póki co może ma pan chwilę na rozmowę?

Rozejrzał się dookoła i cicho roześmiał.

- Dzisiaj mogę wszystko. Poranne wydanie pobiło wszelkie rekordy. Sprzedaliśmy nawet archiwalne numery z opisami zbrodni, kiedy wszyscy burzyli się przeciwko monarchii. Chodźmy na kawę, znam doskonałe miejsce.

Zaprowadził ją do uroczej kafejki, w której sala była podzielona na łoże i zamówili filiżanki *café au lait*, ostatnią nowość rodem z Francji.

- Czego pani sobie życzy ode mnie? - Ally zmarszczyła czoło, a Thane ciągnął: - Ech, mógłbym zakochać się w pani jak szalony. Nie dość, że piękna, to jeszcze ma przenikliwy umysł, a to wielka zaleta u żony zdobywającego nazwisko dziennikarza. - Uniósł jej rękę, gdy zrobiła zakłopotaną minę. - Niech pani się nie boi. Moje uczucia przerodziły się w podziw i szacunek. Właśnie poślubiła pani Marka Farrow. Cóż więc pani robi tutaj ze mną?

- Trzeba rozwiązać zagadkę morderstw.

- Ally, dziesiątki policjantów pracują nad tą sprawą - powiedział, sącząc kawę. - Nie wspomnę już o pani mężu. Ja opisuję fakty, ale ich nie tworzę.

- Czy ma pan powóz, Thane? Odpowiedział po namyśle.

- Nie, niestety. Potrzebuje pani? Pokręciła głową.

- Właściwie to nie. Spytałam, ot tak, ze zwykłej ciekawości.

- Przykro mi, że, niestety, nie mogę odpowiedzieć twierdząco.

- Przeczytałam artykuły, które od pana dostałam.

- Musiała być pani bardzo zajmującą oblubienicą - odrzekł ze śmiechem, aż się zarumieniła. - Przepraszam. To była wysoce niestosowna uwaga, proszę mi wybaczyć.

- Trochę wolnego czasu od piątku mimo wszystko miałam - zapewniła. - W każdym razie sądzę, że podejrzanych jest dwóch. Trudno mi w to uwierzyć, ale ze wszystkiego, co przeczytałam o antymonarchistach i ich spotkaniach oraz o związkach między ludźmi a miejscami wynika dla mnie, że sprawcą jest albo sir Angus Cunningham, albo sir Andrew Harrington.

Thane głośno nabrał powietrza.

- To pan dał mi artykuły - przypomniała.

- Sir Andrew cieszy się uznaniem we wszystkich londyńskich salonach - przypomniał. - A sir Angus jest szeryfem i do tego bohaterem wojennym.

- Obaj walczyli za nasze imperium poza granicami kraju. Mogli więc mieć powód, żeby znienawidzić królową i monarchię, chociaż morderstwa nie mają wyłącznie politycznego charakteru.

- Niech pani mówi dalej.

- Sir Angus uczestniczył w wielu spotkaniach publicznych, co naturalnie mogło służyć zachowaniu porządku. Takie ma w każdym razie wytłumaczenie. Jako szeryf, łatwo może się przemieszczać i ma po temu powody.

- Zgoda.

- A sir Andrew jest czarujący i pełen ogłady. Otwierają się przed nim wszystkie drzwi. Był również kuzynem Elizabeth Prine. - Wzruszyła ramionami. - Bliskim kuzynem, co kieruje podejrzenie...

- Na sir Angusa - dokończył Thane - ale niekoniecznie. Wilhelm III i królowa Maria też byli blisko spokrewnionymi kuzynami... Proszę spojrzeć najpierw na sir Angusa, a potem na sir Andrew. Z którym z nich nawiązałaby pani romans?

- Żaden mnie nie interesuje - odparła. Z sympatii dla Thane'a dodała: - Szczerze powiem, że gdybym nie była od początku przyrzeczona komu innemu i gdybym go nie pokochała, to od tych dwóch wolałabym pana.

- Naprawdę? Odbudowała pani moją wiarę w siebie. Możliwe, że mordercą nie jest żaden z dwóch pani podejrzanych. Może chodzić o człowieka, który służył w wojsku i przyzwyczaił się do zabijania. Wszak podczas wojny zabijanie ludzi nie jest poczytywane za morderstwo.

- To otwiera inną kwestię. Kimkolwiek jest morderca, czuje się jak zdobywca świata. Pozostaje nieuchwytny mimo wszystkich prób zatrzymania. Na pewno przyszedł na moje wesele, wydarzenie towarzyskie roku. - O smugach krwi na sukni jednak Ally nie wspomniała. - To mu dodało pewności siebie, stanie się znaną zuchwałymi. A wtedy zaczną popełniać błędy.

- Jeśli popełni jakieś błędy, zostanie w końcu złapany - powiedział Thane. Pochyliła się ku niemu.

- Może jest sposób, żeby zmusić go do popełnienia błędu.

Dzień był całkiem jałowy.

Mimo że obstawili odpowiednie drogi, nie natknęli się na powóz sir Angusa Cunninghama lub sir Andrew Harringtona. Gdy dogasało popołudnie, wycofali się do stajni przy domku myśliwskim lorda Farrow. Thomas, Geoff i Patrick zjedli kolację z lordem Farrow, natomiast Mark wybrał się do osady. Złożył wizytę sir Angusowi w jego biurze i poważnie przedyskutowali sprawę morderstw. Okazało się, że gdy zauważono sir Angusa w londyńskim klubie, rozmawiał on akurat z kilkoma osobami o meczu tenisowym. Wkrótce Mark pożegnał się, oznajmiając, że czeka na niego żona.

Powróciwszy do domku myśliwskiego, odprowadził Gallowaya do stajni, po czym dołączył do ojca i przyjaciół. Musiał coś zjeść, wysłuchać kilku ojcowskich rad i wyruszyć w drogę do Londynu.

Jutro znów szykował się ciężki dzień, a następne nie zapowiadały się lepiej. Oczywiście póki morderca nie zostanie złapany. A jeżeli się pomylił? Szuka napastnika wśród arystokratów, a tymczasem to całkiem pospolity człowiek, na przykład robotnik? Niemożliwe. Przecież starannie przeanalizował fakty i poszlaki. Nie mógł sobie pozwolić na pomyłkę.

Thane pokręcił głową.

- Pani oszalała - orzekł.

Przynajmniej nie nazwał mnie idiotką, pomyślała Ally.

- Nie.

- W najlepszym razie kocha pani brawurę. W przeciwieństwie do mnie - dodał uczciwie.

- Mówię panu, że to całkiem realny plan.

- A pani mąż?

- Przyznaję, że on może mieć początkowo zastrzeżenia. Będziemy też mieli wiele kłopotów z powodu tego, że przyszłam z tym do pana. Liczę jednak na to, że również on uzna sensowność tego pomysłu.

- A jeśli nie? Nie będzie mi do twarzy z podbitym okiem.

- Mark jest rozsądnym człowiekiem - zapewniła go z przekonaniem.

Popatrzył na nią sceptycznie, Ally zorientowała się jednak, że przynęta chwyciła.

- Czas na mnie - powiedziała, starając się ukryć zdenerwowanie.

- Boże wielki, na mnie też. Muszę przekonać naczelnego, że jestem na tropie sprawy roku.

- Bo to prawda - oświadczyła z przekonaniem.

Pod budynek, w którym mieściła się redakcja, wrócili razem, a potem Ally poszła swoją drogą z nadzieją, że zaraz złapie tramwaj konny. Zirykowało ją, gdy okazało się, że musi jednak poczekać. Rano miała więcej szczęścia. Dzień już gasł, zaczynało się ściemniać. Pocięszała się, że Mark i tak najprawdopodobniej wróci bardzo późno. Wreszcie tramwaj nadjechał. Wysiadła o przecznicy od kamienicy w Kensington" i żwawym krokiem ruszyła dalej, mijając eleganckie domy kupców, arystokratów i drobniejszej szlachty. W większości okien pozaciągano już zasłony, światło sączyło się z wnętrza jedynie przez szpary. Wyprzedzający ją mężczyzna uchylił kapelusza. Odpowiedziała mu uśmiechem, ale odległość między przecznicami jakby się wydłużyła. Nagle Ally przystanęła, ogarnięta niezwykle wyraźnym przeczuciem, że jest śledzona. Odwróciła się energicznie i zrobiło jej się głupio, gdy idąca za nią para minęła ją z pozdrowieniem. Odprowadziła przechodniów wzrokiem do drzwi pobliskiego domu.

Zaczerpnęła tchu i chciała iść dalej, ale znów usłyszała kroki. Zerknęła kątem oka za siebie. Niczego nie dostrzegła. Zrugowała się w duchu i skupiła myśl na dylemacie, który powinna jak najszybciej rozstrzygnąć. Aby wejść do domu, musiała bezczelnie minąć Bertrama albo ponownie skorzystać z drogi przez podwórze sąsiadów i z wygodnego dębu.

Bertram naturalnie nie dochowałby sekretu i z pewnością powiadomił Marka o eskapadzie żony. A Mark nie mógł się o niczym zbyt szybko dowie-

dzieć, a już na pewno nie od służby. Wybór Ally padł więc na drzewo. Znowu wydało jej się, że słyszy za plecami kroki. Odwróciła się, ale zobaczyła tylko cienie, padające na chodnik od ulicznych latarni. Gdy zaszczeakał pies, aż podskoczyła.

Przeszył ją dreszcz. Na ulicy było dużo zieleni. Prawie przed każdym domem znajdowało się niewielkie podwórko z żywopłotem. Musiała się pośpieszyć.

Odwracając się, zauważyła wyjeżdżający zza rogu ulicy powóz. Usłyszała miarowy stuk podków. Pojazd ciągnęły dwa piękne karosze, a woźnica miał na sobie czarny kapelusz i pelerynę. Ally ruszyła przed siebie, zdawała sobie jednak sprawę z tego, że odległość między nią a powozem zmniejsza się dramatycznie. Zerwała się do biegu.

Z domku myśliwskiego Mark zatelefonował do londyńskiej kamienicy. Po nieudanych próbach, kiedy operator połączył go z krawcem i pracownią modystki, odezwał się wreszcie Jeeter, który zapewnił go, że lady Aleksandra jest na górze i wypoczywa.

Postanowił jej nie przeszkadzać, zadzwonił za to do parlamentu i przedstawił wszystkie fakty oraz przypuszczenia ojcu. Joseph wysłuchał w ponurym milczeniu, a potem ze smutkiem przyznał, że mordercą istotnie może okazać się człowiek, którego dotąd uważali za przyjaciela.

- Przeciężny człowiek nie ma do dyspozycji środków, z których morderca zdaje się korzystać bez najmniejszego trudu - stwierdził lord Farrow. - Czy Eleanor Brandon jest dobrze strzeżona w szpitalu?

- Naturalnie.

- Lord Lionel Wittburg okazał się niewinny.

- Tak, ale jego również obserwujemy. Stan jego ducha wciąż budzi niepokój.

- Może powinniście razem z Ally złożyć mu wizytę.

- Masz rację, ojciec - zgodził się Mark. - W tym tygodniu przeprowadzimy się do mojej kamienicy, więc odzyskasz dom.

- Lubię domek myśliwski. Nie musicie się spieszyć. Nie zamierzam przeszkadzać nowożeńcom, gdyby jednak obowiązki wymagały mojego powrotu do Londynu, zwyczajnie poproszę was o wybaczenie i znów zamieszkać pod swoim dachem.

Po tej rozmowie Mark dosiadł Gallowaya i pogalopował do Londynu, w pobliżu miasta nieco jednak zwolnił, żeby nie sforsować najlepszego wierzchowca. Im bliżej był domu, tym z większą intensywnością rozmyślał o Ally. Wreszcie wyjechał na ulicę, przy której stała kamienica ojca.

Przed sobą zobaczył powóz, duży, elegancki pojazd, nieznanemu mu wcześniej. Chodnikiem szła, a właściwie biegła kobieta. Po chwili z powozu wyskoczył mężczyzna, trzymający coś w ręce. W świetle latarni przedmiot błysnął. Czyżby nóż?

Biegając, Ally obejrzała się za siebie. Z powozu ktoś wyskoczył, ale w mroku nie widziała dokładnie tego człowieka. Niewątpliwie jednak trzymał coś w ręce. Coś rzucającego błyski w świetle ulicznych latarni. W ułamku sekundy oczami wyobraźni ujrzała makabryczne obrazy: histeryzująca Eleanor Brandon w czerni, żalobnica Eleanor Brandon rzucająca klątwę. Wyobrażenia dodała jeszcze Eleanor Brandon w szpitalnym łóżku, ze śladami szwów, znaczącymi cienką czerwoną linię w poprzek szyi... Przyśpieszyła.

- Stój!

Stanowcza komenda uświadomiła jej, że na ulicy jest ktoś jeszcze. Rozpoznała ten głos. To Mark! Odwróciła głowę i w tym momencie ścigająca ją postać wpadła na nią z impetem. Runęli na ziemię. Ally zaczęła krzyczeć wniebogłosy. Zdażyła jeszcze zobaczyć twarz mężczyzny w chwili, gdy Mark poderwał go za ramiona i zręcznym chwytem unieruchomił.

- Thane! - krzyknęła.

- Puść mnie, człowieku - sapnął dziennikarz. - Ludzie, co wy wyrabiacie?
- Oczy wychodziły mu z orbit.
- Gdzie masz nóż? - spytał groźnie Mark.
- Jaki nóż? - spytał Thane, gdy uścisk nieco zelżał.
- Widziałem jego błysk.

W tym samym momencie Ally spojrzała na chodnik i zobaczyła, co upuścił dziennikarz. Leżała tam koperta zamknięta niewielką metalową klamerką. To właśnie klamerka połyskiwała w świetle latarni. Ally podniosła zgubę i podała ją Markowi.

Woźnica zeskoczył z kozła, zachowywał jednak rozsądną odległość.

- Panie Grier? - zawołał z niepokojem. - Czy wszystko w porządku?

- Tak - odparł Thane. - W porządku, prawda? - spytał niepewnie Marka.

Ten jednak nadal go trzymał, więc dziennikarz spróbował perswazji.

- Proszę sprawdzić, nie mam broni.

Mark wreszcie pozwolił mu się wyprostować.

- Żądam wyjaśnień.

Thane spróbował nieco uporządkować zmiętą garderobę.

- Chciałem dać Ally jeszcze kilka wycinków - wyjaśnił.

- Dziękuję panu, Thane - bąknęła, zerkając na Marka. Spojrzenie, którym jej odpowiedział, mogłoby przerazić wojownika o najmężniejszym sercu.

Bezpieczniej było znów zwrócić się do dziennikarza. - Powiedział mi pan, że nie ma powozu.

- Bo nie mam.

- A ten?

- Ten należy do naczelnego. Pożyczył mi, bo przekonałem go, że pracuję nad materiałem stulecia.

Mark nie dał się łatwo przekonać. Bezceremonialnie rozchylił dziennikarzowi poły surduta i metodycznie go obszukał.

- Nie ruszaj się - zapowiedział. Przestraszony woźnica usunął się z drogi, a Mark znikł w powozie.

- Czy on oszalał? - szepnął Thane, kierując pytanie do Ally.

Zaprzeczyła ruchem głowy. Chwilę potem jej mąż wyłonił się ponownie.

- Może wejdziemy do domu? - zaproponowała Ally. Zauważyła, że w sąsiedniej kamienicy ktoś odsłonił firankę i przygląda się rozgrywającej się na ulicy scenie.

- To dobry pomysł - przyznał Mark, choć wciąż patrzył podejrzliwie na Griera.

- Podjedź pod dom lorda Farrow - polecił woźnicy Thane.

Tymczasem również Bertram zdążył się zorientować, że na ulicy coś się dzieje. Wszedł na chodnik i omal nie zemdlął z wrażenia na widok Ally.

- Wielkie... - zamilkł, ujrawszy również Marka. - Przysięgam panu, że przez cały czas pilnowałem drzwi.

- Nie martw się, Bertramie. Nie prosiłem cię, żebyś przeszkodził mojej żonie w skakaniu przez ogrodzenie. Bo właśnie tak wyszłaś z domu, kochanie, prawda?

- Przeszła pani przez ogrodzenie? - spytał Thane, rozbawiony a zarazem pełen uznania. Jednak spojrzenie Marka w ułamku sekundy stłumiło jego uśmiech.

- Przepraszam, Bertramie - bąknęła Ally i wyminąwszy służącego, weszła do domu. Mężczyźni podążyli za nią.

Jeeter powitał ich w sieni. I on skamieniał na widok Ally.

- Jak to...

- Nie przejmuj się, Jeeter - powiedział Mark.

- Chodźmy do biblioteki. - Zaprosił gestem Ally i Thane'a.

Wchodząc, Ally usłyszała, jak Jeeter pyta, czy podać herbatę.

- Macie whisky? - spytał Thane.

- Naturalnie - odrzekł służący.

- Napiłbym się, jeśli można.

- Ja też - podchwyciła Ally.

Jeeter oddalił się, aby przygotować napitki.

Mark przysiadł na krawędzi dużego biurka. Pełna najgorszych przeczuć Ally wybrała fotel, Thane usiadł na drugim.

- No i co? - spytał Mark.

- Poszłam do redakcji - wyjaśniła Ally.

- Zdaje mi się, że zupełnie jasno poleciłem ci zostać w domu i trzymać się z dala od pana Giera.

- Wcale nie obiecywałam, że nie wyjdę z domu - przypomniała mu Ally. Odchrząknęła. - Sam bardzo dobitnie wyjaśniłeś mi, że jednak nie jestem więźniem.

- Czy twój współnik wie, że w czasie gdy mieszkałaś w lesie u ciotek, ktoś próbował się włamać do domku?

- Nie - odrzekł Thane i przesłał Ally zdziwione spojrzenie. - Z jakiego powodu?

- Nie wiem - odparła cicho Ally i wstała.

- Mark, to jest niedorzeczne.

Pukanie oznajmiło im, że idzie Jeeter z napitkami. Ally nie zносиła whisky, ale opróżniła szklaneczkę jednym haustem, zanim Jeeter zdążył rozdać pozostałe szklaneczki.

- Życzy sobie pani jeszcze jedną? - spytał.

- Tak.

- Nie - zaprotestował Mark.

Z kamienną, twarzą służący opuścił bibliotekę.

- Pan sądził, że to ja jestem mordercą - odezwał się Thane.

- Gonił pan moją żonę na ciemnej ulicy.

Thane pokręcił głową.

- Myślał pan, że byłbym zdolny do...

- Ktoś jest zdolny.

- Dlaczego ja?

- Miał pan okazję. Znał pan wszystkich uczestników tej gry. Pisał artykuły o zebraniach antymonarchistów.

- Taką mam pracę. Przysięgam, że za nic nie mógłbym... za nic...

- Ally? - przynaglił Mark.

- Mark... Napisałam następny artykuł.

Wiedziała, że nawet ruch brwi Marka może zbić z pantałyku, więc na wszelki wypadek odwróciła wzrok, podniosła się z fotela i zaczęła przechadzać wzdłuż półek z książkami.

- A. Anonim zyskał rozgłos - oznajmiła i nagle przestała obawiać się gniewu męża. - Jestem dumna z moich artykułów, ale nie mam ambicji dziennikarskich. Zamierzam dalej pisać, marzę jednak o literaturze. - Miała nadzieję, że głos jej się nie załamie. - Postanowiliśmy rozpuścić pogłoskę, że A. Anonim to Thane Grier.

Mark zmarszczył czoło i wbił wzrok w dziennikarza.

- To był pomysł Ally.

- Bliski wyrokowi śmierci - ocenił Mark.

- Niekoniecznie. Trzeba tylko zapewnić mu ochronę, gdy pogłoska się rozejdzie - powiedziała Ally.

- Jestem gotów podjąć się tego zadania - oznajmił Thane.

- Sam umiem zastawiać pułapki - burknął Mark.

- To dobrze, bo ja nie jestem taka pewna siebie - wtrąciła Ally.

- Chciałbym się dowiedzieć, co znajduje się w dzisiejszym artykule - zażądał Mark.

- Zaczyna się od tego, że ludzie chętnie wyciągają pochopne wnioski i widzą to, co chcą widzieć w danej sytuacji - wyjaśniła Ally. - Potem jest o tym, że zbyt często nasze życie staje się maskaradą, że wszyscy nosimy maski. Tu następuje wzmianka o życiu Jacka i Elizabeth Prine'ów, gdzie źródłem tragedii

stała się chciwość i pragnienie kobiety, aby połączyć się z kochankiem. -
Zawahała się. - Dalej autor sugeruje, że wie więcej, niż napisał, i że wysoka
pozycja człowieka w społeczeństwie nie wyklucza wzięcia go pod lupę, w razie
gdyby stał się podejrzany o popełnienie tak strasznych czynów.

Mark przyglądał się dziennikarzowi i z niedowierzaniem kręcił głową.

- Naprawdę chce pan stać się kozłem ofiarnym? Każdy człowiek w tym
kraju mający choćby najniższy tytuł będzie gotów utopić pana w łyżce
wody.

Thane nieco zbladł, ale skinął głową.

- Przepraszam, nie czytałem tego artykułu, ale niezupelnie nadażam za
twoją relacją - zwrócił się Mark do Ally. - W jaki sposób to ma kogokolwiek
sprowokować? - Spojrzał koso na Thane'a. - I jak ma to panu pomóc w karierze?

- Kiedy wszystko się skończy, Thane będzie miał znakomity materiał.
Ponadto zostanie ujawnione, że ostatni artykuł miał na celu sprowokowanie
mordercy - wyjaśniła Ally.

- Zgoda, to tłumaczy brak rozsądku u pana Grier'a, który zgadza się
uczestniczyć w realizacji tego planu. Skąd jednak twoje przeświadczenie, że
zdołasz skłonić mordercę do uderzenia w miejscu i czasie, które pozwolą go
schwytać, zanim poderżnie Grierowi gardło?

Thane zbladł jeszcze bardziej.

- Moim zdaniem, istnieje tylko jeden problem - odparła Ally. - W jaki
sposób rozpuścić pogłoskę, że Thane to A. Anonim.

- Nic prostszego - mruknął Mark, a Ally wyraźnie się ucieszyła, że jej
pomysł trafił na podatny grunt. - Będę jadł lunch w klubie. Może potem zagram
z kimś w tenisa. Albo nawet powiem to w zaufaniu Angusowi i Andrew,
naturalnie każdemu z osobna.

- Możesz dodać, że Thane zamierza przeprowadzić ze mną wywiad w
domku. Moje dzieciństwo w lesie, wychowanie przez ciotki, a potem ślub

z przyszłym hrabią to przecież znakomity temat do artykułu. A mordercę trzeba zatrzymać po drodze.

- Oczywiście ciebie w domku nie będzie - oświadczył z naciskiem Mark.

- Muszę tam być. Wszystko trzeba przeprowadzić zgodnie z pogłoską.

Raczej nie należy spodziewać się napaści na Thane'a w drodze do domku, bo jego nieobecność zostałaby zbyt szybko zauważona.

- Nie chcę, żebyście się do tego mieszała - oświadczył stanowczo Mark.

- Co takiego?!

- Ten plan nie jest zbyt pewny - próbował przekonywać Thane.

Ally zdawała się go jednak nie słyszeć. Wpatrywała się w męża.

- Co powiedziałaś?!

- Podczas powrotu musiałbym ubezpieczać Thane'a, a to oznacza, że ty zostałabyś w domku sama.

- Równie dobrze mogę jutro iść do redakcji i oznajmić, że to ja jestem A. Anonimem.

Mark zeskoczył z biurka.

- Nie dasz rady, jeśli będziesz leżeć związana w sypialni.

- Naprawdę powinienem już iść - powiedział Thane. - W ciągu godziny muszę oddać powóz.

Ally stanęła tuż przed Markiem, z ramionami skrzyżowanymi na piersi tak, jak on zwykł to robić.

- Jutro ukazuje się artykuł - oznajmiła.

- Wygląda na to, że będziesz związana przez cały dzień.

- Chcesz mnie skuć łańcuchami do końca życia?

- Tak, jeśli będę musiał.

- Mark, proszę cię.

- Czas płynie - wtrącił nieśmiało Thane.

- A co z ciotkami? - spytał surowo Mark. - Czy ich bezpieczeństwo w ogóle nie jest dla ciebie ważne?

- Nie bądź śmieszny. Odwiezie się je do zamku Carlyle, gdzie na pewno nic im nie grozi.

- Zapominasz o jednym.

- Mianowicie?

- Sir Angus Cunningham jest szeryfem.

- I co z tego? - Ally próbowała zrozumieć, do czego zmierza Mark.

- Jeśli będzie chciał, może najechać na domek, urządzać kanonadę, a kiedy już was pozabija, twierdzić, że to Thane był mordercą, a ty padłaś ofiarą wymiany strzałów.

- Ja nawet nie mam broni - zastrzegł się dziennikarz.

- To nie ma znaczenia. Zostanie pan znaleziony z bronią.

- On ma rację - przyznał Thane, spoglądając na Ally błagalnie.

- Posłuchajcie, coś trzeba zrobić - przekonywała ich Ally. - Nie możemy pozwolić, żeby morderca pozostał bezkarny. Tobie wydaje się, Mark, że włamanie do domku zdarzyło się dlatego, że sprawca wie, kim jestem, albo dlatego, że śledził mnie, gdy odwiedzałam pocztę, i poznał prawdziwą tożsamość A. Anonima. Może będzie więc najlepiej zwolnić Thane'a z obowiązku. Powiesz przyjaciołom, naturalnie w największym zaufaniu, że podejrzewasz swoją nowo poślubioną żonę o pisywanie artykułów do gazety.

Mark ujął się pod boki, podszedł o krok i zmierzył Ally gniewnym spojrzeniem.

- Czyś ty całkiem rozum postradała, kobieto?!

- Naprawdę muszę już iść - bąknął Thane. Ally położyła mężowi dłoń na torsie.

- Mark, ten artykuł jutro się ukáže, czy tego chcesz, czy nie, a twoim zdaniem, ktoś może wiedzieć, że A. Anonim to ja. Jeśli naprawdę zależy ci na zapewnieniu mi bezpieczeństwa, musisz zgodzić się na to, abym została przynęta.

Chwycił jej rękę i odepchnął.

- Niczego więcej nie zrobisz - oznajmił wściekły. - Wiem, co mówię, Ally. Niczego.

- Artykuł i tak wyjdzie drukiem...

- A ja wtedy będę miał plan! - odburknął i wyszedł z biblioteki. Po chwili usłyszeli trzask frontowych drzwi.

Thane przeciągle westchnął

- Poszło, hm... całkiem nieźle. - Wstał. - Ally... kiedy będziesz gotowa i on będzie gotowy... powiedzcie mi po prostu, co mam zrobić.

- Dziękuję, Thane.

Patrzyła, jak opuszcza bibliotekę i myślała, że druga whisky naprawdę dobrze jej zrobi.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Gdy Thane Grier opuścił dom lorda Farrow, aby jak najszybciej odstawić do redakcji pożyczony powóz, zastał na podjeździe Marka.

- Właśnie zmanipulowała nas obu, chyba pan zdaje sobie z tego sprawę - powiedział.

- Przecież nie mogła wiedzieć, że za nią pojedę - sprzeciwił się Thane.

- Za to skorzystała z okazji.

- Ale...

- Gdyby pan nie przyjechał, i tak posłużyłaby się pańskim nazwiskiem. Zrobiłaby wszystko, żeby utwierdzić mnie w przekonaniu, że owszem, ten plan ma szansę powodzenia, jeśli tylko pan się zgodzi, a potem wykręciłaby kota ogonem i wykazała, że niebezpieczeństwo grozi jej bez względu na wszystko, więc właściwie powinienem przystać na każdy jej pomysł.

- Sądzi pan, że rzeczywiście coś jej grozi?

- Ktoś próbował włamać się do domku, kiedy Ally była tam sama. Ten ktoś mógł wiedzieć, że ciotek akurat nie ma. Wówczas wydawało mi się, że morderca chce działać jak najciszej. Teraz sądzę, że nie zawahałby się zabić wszystkich czterech mieszkanek domku.

- Jak taki człowiek może funkcjonować w codziennym życiu i nie zdradzić się ani słowem?

- Pewnie w końcu się zdradzi. - Mark spojrzał na dziennikarza. - Tylko co jeszcze do tej pory się zdarzy?

- Ma pan plan? - spytał Thane.

- Dopiero powstaje.

- Powiedziałem już Ally, że chętnie pomogę, jeśli tylko będzie dla mnie rola - zadeklarował się Thane.

Mark położył mu rękę na ramieniu.

- Dam panu znać.

Thane skinął głową i wszedł do powozu.

Ally wciąż siedziała w bibliotece, gdy Mark wrócił do domu. Zastał ją w tym samym miejscu, sączącą drugą whisky.

- Ciekawy widok - powiedział.

- Jaki?

- Ty - dodająca sobie odwagi alkoholem.

- To paskudztwo - stwierdziła.

- Jesteś gotowa odegrać rolę przynęty na jednego z najokrutniejszych morderców w historii tego kraju, ale potrzebujesz whisky do snucia planów, jak owinać mnie dookoła palca.

Ally się zarumieniła.

- No nie! Cóż, obawiałam się, że nie będziesz zachwycony.

Przyklął obok jej fotela i wyjął jej z dłoni szklaneczkę.

- Czy naprawdę wolisz pisać powieści niż kontrowersyjne artykuły, które mogą sprowadzić na ciebie nieszczęście?

- Zawsze o tym marzyłam.
- Chodź. - Wstał, ujął ją za ręce i pociągnął za sobą.
- Dokąd? - szepnęła.
- Na kolację i do łóżka - oznajmił.
- Chyba nie chcesz naprawdę...
- Przywiązać cię?
- Wspomniałeś o czymś takim.
- Nie, kochanie. Najpierw kolacja, potem łóżko - oświadczył

zdecydowanie.

Zdążyli najeść się do syta i wejść na górę, gdy usłyszeli dzwonek. Mark przeprosił Ally i poszedł odebrać telefon, nie chciał bowiem, aby Jeeter miał dylemat, czy może państwu przeszkadzać.

Ally weszła więc do sypialni i przebrała się w skromną bawełnianą koszulę. Potem rozczesała włosy, ale Mark nie wrócił. Wciąż siedząc przy toalecie, zaczęła nerwowo obracać w palcach otrzymanego w prezencie od Kat skarabeusza, którego w dniu wesela przypięła na szczęście do ślubnej sukni.

Skarabeusz chroniący przed klątwami. Wyjątkowo kunsztowny przedmiot. Jakże była niemądra, że dopuściła do siebie lęki! Eleanor Brandon okazała się oszustką i niedocenioną aktorką. Miała jednak pecha, bo drogo zapłaciła za współudział w zamordowaniu męża. Wreszcie usłyszała pukanie do drzwi. Podskoczyła na taborecie, spłoszona, ale zaraz roześmiała się ze swojej reakcji i z potrzeby chwili przypięła skarabeusza do koszuli nocnej.

- Milady? - cicho zawołał z korytarza Jeeter. Otworzyła drzwi.
- Co się stało? - spytała.
- Nie byłem pewien, czy pani nie śpi.
- Jak widzisz, nie. Co się stało?
- Sir Farrow został wezwany w pilnej sprawie.
- Przez kogo i w jakiej sprawie?

- Powóz nie dotarł do redakcji. Ponieważ pan Grier pożyczył go specjalnie, aby tutaj przyjechać, wiadomo, gdzie go szukać.

Ally zrobiło się zimno. Jeśli coś złego spotka Thane'a Griera, będzie to wyłącznie jej wina. Co gorsza, jeśli coś się przydarzy Markowi...

- Pojechał z nim Bertram - dodał cicho Jeeter, a ona zaczęła się zastanawiać, czy służący umie czytać w jej myślach, czy raczej miała wszystko wypisane na twarzy.

- Dziękuję - powiedziała.

- Proszę się nie martwić, milady. Jestem cały czas w domu.

- Dziękuję - powtórzyła i tym razem zdołała się nawet uśmiechnąć. - Mając cię tutaj, będę bardziej spokojna.

Służący wyszedł, a ona zamknęła drzwi i zaczęła nerwowo krążyć po sypialni. Położyła się i znowu wstała. Wiedziała, że nie zaśnie przed powrotem Marka. W pewnej chwili przypomniała sobie o kopercie Thane'a. Na bosaka zeszła na dół. Przez salon, w którym nie było Jeetera, dotarła do biblioteki. Odpięła niefortuną klamerkę i wysypała zawartość koperty na biurko. Artykuły były podobne do poprzednich. Wydarzenia towarzyskie, przyjęcia, zebrania i oświadczenia stowarzyszeń antymonarchistów. Przeglądała je systematycznie, szukając wzmianki, która wskazywałaby, że sir Andrew lub sir Angus należą do antymonarchistów. Obaj mieli tytuł szlachecki, więc pominięcie przy promocji nie wchodziło w grę jako motyw. Niektóre artykuły były ilustrowane zdjęciami lub rysunkami. Zatrzymała się na dłużej właśnie przy artykule opatrzonym rysunkiem. Studiując go, w pewnej chwili wydała cichy okrzyk. Sam anonimowy artykuł o nieprawidłowościach w prawie majątkowym i tytułarnym był długi i bełkotliwy. Zainteresowała ją jednak ilustracja, pochodząca prawdopodobnie sprzed dwóch lat. Kobieta na rysunku mogłaby być łatwo Elizabeth Prine. Obok stał pocieszający ją mężczyzna. Sir Andrew? A może sir Angus bez bokobrodów i zarostu?

Westchnęła rozczarowana brakiem pewności i odsunęła od siebie artykuły. Po chwili jednak zainteresowała się nimi ponownie. Jeden nie miał nic wspólnego z antymonarchistami. Dotyczył kwesty charytatywnej w kościele. Przy nim również znajdował się szkic.

Mnóstwo kwiatów i kobiety w pięknych kapeluszach. Poprzedni proboszcz, ojciec Mason, przemawia do zebranych. A na przedzie kobieta podobna do Elizabeth Prine. Przy niej mężczyźni. Ally przyjrzała im się z uwagą, zawiedziona, że autor szkicu pominął szczegóły. Czy jednym z tych mężczyzn był jej mąż? Nie, i tym razem postać przypominała bardziej sir Angusa Cunninghama bez zarostu i bokobrodów. A drugi z nich... to kuzyn Elizabeth, Andrew Harrington.

- Ciekawe - powiedziała do siebie - z kim wolałabyś mieć romans? Z eleganckim, lecz za blisko spokrewnionym kuzynem, czy ze starszym człowiekiem owianym sławą czynów wojennych?

Rozważając to pytanie, usłyszała głuchy stuk na dworze, tuż przed frontowymi drzwiami. Wydało jej się także, że słyszy kogoś na górze. Po chwili podeszła do drzwi z zamiarem zawołania Jeetera, coś jednak kazało jej zachować milczenie. Przemierzyła salon, jadalnię, zajrzała do kuchni, pokoju śniadaniowego i pozostałych pomieszczeń. Nigdzie go nie znalazła. Czy wobec tego służący był na górze? Wróciła do salonu i stanęła przy telefonie. Niestety, aparat był bardzo głośny w użyciu. Gdyby ktoś niepowołany rzeczywiście dostał się do wnętrza domu, mógłby natychmiast odkryć miejsce jej pobytu.

Hałasy na górze nasiliły się, a wydawały się dochodzić z sypialni, w której powinna teraz spać. Rozległ się też kolejny odgłos na dworze, przed frontowymi drzwiami. Była w rozterce. Z telefonu nie wolno jej skorzystać. Jeśli ktoś się włamał, dopadłby ją, zanim połączyłaby się z operatorem. Poza tym mógł wcześniej przeciąć kabel.

Podeszła do drzwi od frontu i stwierdziła, że chwieją się uchylone. Nie otwarto ich kluczem, raczej wyłamano. Znów coś zaszurało na górze. Niedaleko

niej ktoś cicho jęknął. Gdzie, na Boga, podział się Jeeter? Aż bała się o tym myśleć. Po następnej serii odgłosów z góry włosy zjeżyły jej się na karku. Tym razem były to miarowe głuche uderzenia. Położyła dłoń na gałce i modląc się, by zawiasy były dobrze naoliwione, wyszła przed próg i już wiedziała, kto jęczał i dlaczego.

Telefon Marka do Iana Douglasa zainicjował zakrojone na szeroką skalę poszukiwania. Mark z pomocą Bertrama przeczesywał okolice domu lorda Farrow, policjanci rozproszyli się po całym Londynie. Mark z Ianem znajdowali się w pobliżu stacji King's Cross, gdy pojawił się umundurowany policjant.

- Milordzie! - zawołał do Marka. - Znaleziono powóz niedaleko Hyde Parku. Proszę za mną.

Biegiem dotarli we wskazane miejsce. Ian stanął pierwszy przy otwartych drzwiach pojazdu.

- Pusty - powiedział do Marka.

- A Grier?

- Ani śladu.

Mark wskoczył do powozu. Oględziny schowka nie dały rezultatu. Nie było też ani woźnicy, ani Thane'a Griera, ani żadnego kompromitującego dowodu. Już chciał wyjść, gdy jego wzrok padł na siedzenie. Ciągnął się na nim krwawy ślad, jakby świadectwo niewielkiego zranienia.

Nagle usłyszał wołanie. Wyskoczył z powozu i zobaczył jednego z policjantów, wskazującego krzaki na poboczu.

- Tu leży ciało, sir! - krzyknął.

Ian i Mark podbiegli w to miejsce. Na ziemi leżał mężczyzna twarzą odwrócony do ziemi. Ian ujął go za przegub. Pokręcił głową i przekręcił ciało. Szeroko otwarte nieruchome oczy człowieka spoglądały z przerażeniem. Ian wstał.

- To woźnica Thane'a Griera - powiedział Mark. - Widziałem go dzisiaj. - Odwrócił się i zaczął szybko się oddalać, polecając po drodze Bertramowi, żeby wracał do domu.

- Dokąd tak się spieszysz? - zawołał za nim Ian.

- Do domu! Przyślij tam tylu ludzi, ilu możesz!

Wskoczył na grzbiet Gallowaya i ścisnąwszy jego boki, pognął galopem przed siebie.

- Thane! - krzyknęła Ally i przyklękła obok dziennikarza, który leżał z wyciągniętą ręką, jakby starał się dosięgnąć gałki drzwi. - Thane?

Dotknęła go i przekonała się, że żyje. Był ciepły, poza tym oddychał, chociaż bardzo płytko. Przekreśliła go na plecy i uniosła mu głowę. Poruszył powiekami, ale nie zdołał ich podnieść. Na czole miał szerokie rozcięcie. Ally wiedziała, że musi sprowadzić pomoc. Ostrożnie ułożyła głowę Griera na podłodze. Tym razem udało mu się otworzyć oczy, najpierw troszeczkę i nagle dużo szerzej.

Ally uświadomiła sobie, że ktoś otwiera drzwi wejściowe. Odwróciła się i wtedy poczuła na sobie czyjeś ramiona. Pod nos podetknięto jej ohydnie cuchnącą szmatę. Przypomniała sobie o skarabeuszu. Walcząc z falą mdłości, oderwała żuka od koszuli i odgięła zapinkę. Bliska omdlenia wycelowwała w górę z nadzieją, że trafi napastnika w oko. Rozległ się chrapliwy wrzask. Uścisk ramion osłabł. Ally, półprzytomna, instynktownie wykonała zamach nogą. Kopnięcie, choć niezbyt mocne, zaskoczyło napastnika. Upadł.

Ally rzuciła się naprzód, próbując dotrzeć do ulicy. Niestety, zobaczyła, że na jej drodze w cieniu krzaków stoi druga postać, zakapturzona, odziana w czarną pelerynę. Zawróciła biegiem na tyły domu. Dopadła drzewa, ale słyszała zbliżającą się pogoń. Ustami nabrała haust świeżego powietrza i wspięła się na dąb najszybciej, jak zdołała. Zeskoczyła na podwórze sąsiadów, podbiegła do drzwi i zaczęła walić w nie pięścią. Próbowwała też krzyczeć. Za jej plecami

rozległy się łoskot i stłumione przekleństwo. Napastnik również pokonał ogrodzenie. Nadal gorączkowo biła pięścią w drzwi.

- Ratunku!

Jej głos brzmiał wątle, ale przecież łomotanie musiał ktoś słyszeć.

- Ratunku!

Mężczyzna był tuż-tuż. Nie pozostało jej nic innego, jak gnać w stronę ulicy z nadzieją, że zdoła tam dobiec pierwsza. Niestety, jej gorączkowe modlitwy nie zostały wysłuchane. Drugi bandyta już na nią czekał. Gdy ją chwycił, poznała oczy, które tyle razy widziała pełne wesołości. Próbowwała się bronić, otworzyła usta do kolejnego krzyku. Tym razem nie udało jej się uniknąć kontaktu z nasyconą jakimś świństwem szmatą. Zapadła się w czerń.

Mark zeskoczył z konia przed domem i serce podeszło mu do gardła. Frontowe drzwi stały otworem. Biegając do nich, zauważył przy furtce połamane krzaki. Pochyliwszy się nad schodkami, odkrył ślady krwi. Bertram znalazł się przy nim chwilę potem.

- Ktoś tu był - powiedział Mark.

- Już go nie ma - odparł służący.

Na ulicy stanął mężczyzna w nocnej koszuli, kapciach i szlafmocy. Markowi wydało się, że jest jednym z sąsiadów.

- Usłyszałem krzyki i rwetes! Zszedłem najszybciej, jak mogłem, niestety... powóz odjechał.

- W którą stronę? - spytał Mark.

Mężczyzna wskazał ręką, ale Mark uświadomił sobie nagle, że i bez pokazywania wie, gdzie należy szukać pojazdu.

- Proszę pana - zwrócił się do mężczyzny w szlafmocy. - W domu jest mój służący. Nie wiem, czy żyje. Niech pan spróbuje mu pomóc. Bertram, zadzwoń do domku myśliwskiego, do ojca. Niech czeka przed domem z tyłoma ludźmi, ilu zdoła znaleźć. Powiedz policji, żeby jechali za mną najszybciej, jak mogą.

Z tymi słowami wskoczył na siodło i ruszył w pościg.

Ally ocknęła się i zdziwiła, że jeszcze żyje, aczkolwiek mdłości bardzo dawały jej się we znaki. Nie była pewna, czy nie wolałaby pozostać nieprzytomna. Szczególnie przykre były dla niej szarpnięcia i podskoki powozu, pędzącego przez noc stanowczo za szybko. Nie miała pojęcia, jak długo leżała bez świadomości ani dlaczego jej nie zabito. Z czasem zorientowała się, że podróżuje na podłodze i obija się to o czyjeś nogi, to o bezwładne ciało. Bardzo ostrożnie uchyliła powieki.

Po jednej stronie leżał Thane. A po drugiej stronie...

- A to suka! Oślepiła mnie - usłyszała.

Ten niski, dudniący głos znała od bardzo wielu lat. Należał do szeryfa, sir Angusa Cunninghama.

Nagle uświadomiła sobie, do czego doszłaby, gdyby jeszcze trochę postudiowała wycinki i ilustracje. Morderców było dwóch. Z jakiegoś powodu wszyscy zakładali, że woźnica jest służącym mordercy, a nie jego partnerem. Mylili się. Krzyknęła, z całej siły bowiem szarpnięto ją za włosy. Spodziewała się ostrza noża na gardle, ale szeryf tylko chciał zajrzeć jej w twarz. Z zadowoleniem stwierdziła, że wycelowała dobrze. Lewe oko miał ledwie uchylone i zapuchnięte.

- I jak się teraz czujesz? Powinienem ci też wydłubać oko! - warknął.

Starła się spojrzeć na niego nie ze strachem, ale z pogardą, choć prawdę mówiąc, czuła bezbrzeżne przerażenie. W każdym razie szeryf jeszcze jej nie zabił, zwlekał. Musiał mieć jakiś plan.

Zapewne wciąż wierzył w to, że uda mu się ocalić własną skórę.

- Co pan zrobił Thane'owi? Dokąd nas pan wiezie i po co? - spytała z nadzieją, że zyska w ten sposób na czasie.

- Do domku w lesie, rzecz jasna.

Jeszcze chwilę wcześniej myślała, że większej trwogi odczuwać nie można. Była w błędzie. Co się stanie z ciotkami?!

- Kto by pomyślał - rzekł szeryf - że takie urocze dziecko może wyrosnąć na śmiertelnego wroga. A. Anonim, pfuj! - zakończył z obrzydzeniem.

- Pan mnie śledził - powiedziała.

- Od czasu kwesty. W ogóle nie interesowałam się tym, co dzieje się dookoła. Bez kłopotu przeczytałam adres na kopercie. Założę się, że nawet ten twój przemądrzały mąż nie rozumie znaczenia pseudonimu Oliwia Cottage. Mieszkam w domku, więc rozumiem.

- Myślę, że całkiem zmyślnie go wybrałam, skoro dostarczyło to panu tyle rozrywki.

- To naprawdę nie ma żadnego znaczenia.

- Pan to dopiero był zmyślny - próbowała podtrzymać rozmowę. - Dużo czasu minęło, nim się zorientowałam, że poszukiwany morderca to w rzeczywistości i pan, i sir Andrew.

- Ech, moja droga, chyba wciąż nie rozumiesz, że to żaden z nas. - Uśmiechnął się groteskowo. - To ten przystojny młody dziennikarz poderżnie ci w domku gardło. Zakochał się w tobie, ale jesteś mężatką i nigdy nie będziesz jego, więc musisz zginąć. Niestety, żaloszny głupiec nie był w stanie udźwignąć swojego czynu. Wyrzuty sumienia popchnęły go do samobójstwa. Strzelił sobie w łeb. Twój mąż naturalnie przybędzie tam, gdzie trzeba. Będzie sobie pluł w brodę, że zaufał dziennikarzowi. Kto wie? Może nawet uświetni wieczór drugim samobójstwem?

Wciąż mocno trzymał ją za włosy, więc nie miała wyboru, musiała na niego patrzeć.

- Mark Farrow za nic nie popełni samobójstwa. A pan jest głupcem. On wie, że to pan i sir Andrew jesteście mordercami.

Sir Angus przechylił głowę.

- Gdyby wiedział - powiedział cicho - dawno zostałbym aresztowany.

- Najpóźniej jutro będzie pan siedział - obiecała.

Przyjrzał jej się z uwagą, ale wreszcie ją puścił i spokojnie się rozsiadł. Teraz mogłoby się wydawać, że prowadzą zwykłą, grzecznościową konwersację.

- Wiesz, Ally, mimo że mnie tak skrzywdziłaś, jest mi cię żal. Zawsze byłaś ślicznym, dociekliwym i fascynującym dzieckiem. - Roześmiał się ochryple. - Przeznaczona do czynienia dobra. Kochana przez lorda Stirlinga. Potajemnie obiecana Markowi Farrow. Czy sądziłaś, że nie dowiem się prawdy o tobie? - spytał.

Znowu poczuła dreszcz na plecach.

- Jakiej znowu prawdy? - spytała.

- Jeszcze zanim zaczęłaś mi tak paskudnie bruździć, miałem obawy, że będę musiał się tobą zająć, moja droga.

- Zająć mną?

- Naturalnie nie mam dowodu, ale dokładnie przeanalizowałem sytuację. Wiem wszystko o pracy Maggie na East Endzie i wiem też, że o mało nie padła ofiarą mężczyzny, który, według moich informacji, jest uważany za Rozpruwacza. To znaczy, że twój chory, ciężko myślący tata był niewinny. A potem trzeba cię było ukryć przed monarchią. Dużo lepiej się stanie, jeśli znikniesz z tego świata, zanim prawda wyjdzie na jaw.

Ally kręciło się w głowie, ale za wszelką cenę starała się zachować jasność umysłu.

- Jeśli taka jest prawda, pańska logika pozostawia wiele do życzenia. Gdyby rzeczywiście chciano mnie ukryć przed monarchią, nie miałoby wiele sensu oddanie mnie pod opiekę lorda Stirlinga.

Pokręcił głową, najwyraźniej zbity z tropu. Zastanawiała się, czy szeryf nie zaczyna przypadkiem czuć się osaczony.

- Jeśli daruje mi pan życie, może pana nie powieszają - powiedziała.

- Przykro mi, naprawdę, a w każdym razie byłoby mi przykro, gdybyś mnie nie okaleczyła, ale obawiam się, że nie ma wyjścia. Po prostu musisz umrzeć - odparł.

- Gdybyście z sir Andrew nie pozabijali tych kobiet, mielibyście szansę ujść cało. Pod sąd trafiłby biedny lord Wittburg.

- Wiem. Może nawet i tobie by się udało, bo byłaś czymś w rodzaju asa w rękawie. Chora głowa lorda Wittburga bardzo się przydała. Co on chciał ci powiedzieć? A może i on znał prawdę o twoim urodzeniu? Niestety, nie było mnie tam, nie słyszałem. To Andrew wpadł na genialny pomysł, żeby podrzucić staruchowi zakrwawioną pelerynę do powozu. Musiał wykazać się małpią zręcznością, bo mogli go na tym złapać.

- A to co? - spytała Ally.

- Co takiego?

Szeryf gorączkowo rozejrzał się dookoła. Obok niego na siedzeniu Ally zauważyła eter. Musiała jakoś odwrócić jego uwagę, żeby zdobyć flakonik. Naturalnie nawet gdyby udało jej się pozabawić go przytomności, wciąż jeszcze pozostawał woźnica, sir Andrew.

- Proszę posłuchać - powiedziała.

- Nic nie słyszę - odparł, ale natężył słuch.

Ku swemu zaskoczeniu, Ally naprawdę usłyszała stukot końskich kopyt. Wymyśliła go, ale teraz... Ktoś spieszył z odsieczą.

Nigdy w życiu Mark nie cwałował z takim zapamiętaniem. Modlił się tylko, żeby mordercy chcieli dojechać do zaplanowanego miejsca i nie obawiali się, że mogą zostać wcześniej zatrzymani. Czy naprawdę sądzili, że uwierzył w historyjkę o dziennikarzu, który zabił woźnicę, a potem porwał Ally? Pędził na złamanie karku, dziwiąc się, że czas płynie tak wolno. W końcu jednak zobaczył tył powozu. Wciąż jeszcze był dość daleko przed nim. Mark spał ostrogami Gallowaya. O dziwo, ogier zdawał się mieć nieograniczone zapasy energii.

Dystans wyraźnie się zmniejszyła, tymczasem sir Andrew, powożący w czarnej pelerynie i kowbojskim kapeluszu, zerknął przez ramię. Widząc, co się dzieje, mocno smagnął konie lejcami po bokach, i sięgnął po pistolet. Mark musiał zwolnić. Wiedział, że sir Andrew doskonale strzela, a on już mocno zbliżył się do powozu.

Huknął strzał. Kula świsnęła mu tuż koło głowy, poczuł nawet ruch powietrza na policzku. Znów spał ostrogami Gallowaya, zajeżdżając powóz z drugiej strony. Tym razem był w pełni przygotowany. Prawdę mówiąc, przy tej prędkości nawet on miałby kłopot z trafieniem do celu, więc na broń palną nie mógł liczyć.

Użycie bicza było jeszcze bardziej ryzykowne, ale Mark wykonał zamach z mistrzowską precyzją i końcówka rzemienia owinęła się wokół szyi sir Andrew. Ten wydał z siebie zduszony charkot, ale mocne szarpnięcie ściągnęło go z kozła na ziemię.

Mark nie miał czasu sprawdzać, czy bandyta skręcił sobie kark. Konie wciąż gnały jak szalone. Zbliżył się do nich i udało mu się chwycić za lejce. Musiał dostać się do wnętrza powozu, ale nie chciał jeszcze zdradzić swojej obecności, więc zamiast krzyknąć „Prr!”, spróbował powściągnąć lejce. Konie wreszcie zaczęły zwalniać, wtedy wybił się z siodła i uchwycił krawędzi pudła. Przez chwilę zdawało mu się, że odpadną mu ramiona, rozpaczliwie szukał oparcia dla stóp. I nagle stał się cud, bo je znalazł.

- Co to? - zagrział sir Angus.

Coś obijało się o burtę powozu. Szeryf chwycił za pistolet i na oślep wystrzelił. Potem próbował wycelować. W tym momencie Ally chwyciła flakonik z eterem. Sir Angus wrzasnął ze złości i znów szarpnął ją za włosy. Ally wiedziała, że liczą się najbliższe sekundy. Wyjąc z bólu, wyszarpnęła korek i chlusnęła zawartością flakonika w twarz napastnika. Pistolet wystrzelił, kula poleciała w przestrzeń, a ona mogła tylko się modlić, żeby nie trafiła

Marka. Smród eteru uderzył ją w twarz. Drugi raz tego wieczoru ogarnęła ją czerń.

Huknął strzał i kula przeszła Markowi rękaw. Drugi strzał przedziurawił dach powozu. Pojazd nadal zwalniał. Markowi udało się otworzyć drzwi i serce zamarło mu z przerażenia. W środku były trzy osoby: Thane Grier, sir Angus, którego ciało blokowało wejście, i leżąca obok niego na podłodze Ally. W twarz uderzył go słodkawy odór. Wstrzymał oddech, choć pierwsza fala wystarczyła, by zrobiło mu się niedobrze. Powóz wciąż jeszcze wolno się toczył. Mark wypchnął na zewnątrz ciało sir Angusa i chwyciwszy Ally, sam wyskoczył z nią na drogę. Powóz zatrzymał się kilkanaście jardów dalej.

Mark ostrożnie ułożył Ally na ziemi. W tej właśnie chwili usłyszał tętent. Ktoś zbliżał się z naprzeciwka. Pierwszym jeźdźcem okazał się jego ojciec, a obok galopował Brian Stirling.

- Wyciągnijcie z powozu Grier! - zawołał Mark. - Ostrożnie, tam jest rozlany eter!

Brian zeskoczył z konia i pobiegł wykonać polecenie. Joseph Farrow przykląkł obok syna.

- Co z nią?

- Oddycha. Puls też jest wyczuwalny. Wrócił Brian Stirling, niosąc bezwładne ciało

Thane'a Grier.

- Najbliżej jest stąd do zamku. Tam trzeba ich zabrać.

Tymczasem pojawił się również Bertram z kilkoma uzbrojonymi policjantami. Brian powierzył opiekę nad Grierem jednemu z nich i wydał rozkazy do dalszej jazdy. Mark nie zważał już na nic. Trzymał w ramionach Ally i szedł jak najostrożniej do okrytego pianą Gallowaya.

- Jeszcze trochę, koniku - powiedział. - Jeszcze kawałek.

Czas włókł się niemiłosiernie, w końcu jednak dotarli do zamku. Shelby otworzył bramę. Camille czekała na schodkach, otoczona przez ciotki. Mimo

wielkiego niepokoju, jaki wybuchł, gdy pojawili się mężczyźni, wiozący bezwładne postacie, wszystko przebiegło sprawnie.

- Zanieście Ally do jej pokoju - zakomenderowała pani domu. - Czy to jest pan Grier? Można umieścić go w pokoju obok.

- Co im jest? - spytał Shelby.

- Eter - wyjaśnił krótko Mark.

- Skoro tak, wyjdą z tego - zawyrokowała Camille.

Rozległ się cichy szloch Merry.

Mark nie zwracał jednak uwagi na ciotki. Musiał jak najszybciej położyć Ally do łóżka i sprawdzić, w jakim jest stanie.

- Wydobrzeje - powiedziała z przekonaniem Camille. Potem wezwała służącą Molly i poprosiła ją o zajęcie się panem Grierem, póki nie przyjedzie lekarz.

Mark ułożył Ally na łóżku w jej pokoju i natychmiast znowu sprawdził puls. Był mocny. Przyłożył ucho do klatki piersiowej i poczuł, jak się unosi. Mimo to umierał z niepokoju. Camille przesłała mu krzepiący uśmiech. Zobaczył też trzy ciotki, które, przytulone do siebie, stanęły nieco z tyłu. Merry pierwsza odważyła się wysunąć naprzód.

- Ally przeżyje - oznajmiła. - To jest nasza droga księżniczka i na pewno będzie żyła.

Ally miała na sobie podartą i uwalaną błotem koszulę nocną. We włosy wplątały jej się gałązki i źdźbła trawy. A jednak nigdy nie wydawała się Markowi piękniejsza niż teraz, gdy leżała blada i milcząca na łożu boleści. Głęboko poruszony pochylił się nad nią i delikatnie musnął jej wargi. Ally poruszyła powiekami i nieznacznie je uniosła. Chyba chciała się uśmiechnąć, ale oczy znowu jej się zamknęły. Mark opadł na kolana i zaczął dziękować Bogu.

Ally będzie żyła.

Otworzyła oczy, ale dopiero po chwili zorientowała się, gdzie jest. Uświadomiła sobie, że żyje, choć mogłaby też pomyśleć, że leży w egipskim

grobie, dookoła miała bowiem popiersia, urny i papiirusy. Odetchnęła z ulgą. To był jej pokój w zamku. Po chwili ujrzała twarz Marka, wyrazistą i jakże kochaną.

- Przez moment zdawało mi się, że wyruszyłam na spotkanie faraonów - szepnęła.

- Nie, jesteś w zamku. Niestety, nie w naszym, chociaż, jak wiesz, my też posiadamy zamek. - Ujął ją za rękę i pocałował.

- Obudziła się! - usłyszała czyjś głos.

Ostrożnie rozejrzała się dookoła. Wciąż kręciło jej się w głowie i szybko przekonała się, że gwałtowne ruchy znacznie pogarszają ten stan. W każdym razie obok stały ciotki, Violet, Merry i Edith. Zaraz potem dostrzegła Maggie, Camille i Kat. Uśmiechnęła się i zwróciła najpierw do ciotek. Wiedziała, że jej przybrane matki to zrozumieją.

- Cały czas o was śniłam - powiedziała. - Jesteście moimi najdroższymi wrózkami, które fruwać nade mną i mnie strzegą.

- Wrózkami? Wielkie nieba. Jesteśmy solidnymi Angielkami - oburzyła się Violet.

- Ally zawsze miała niezwykłą wyobraźnię - rozmarzyła się Merry.

- Żartuje z nas - orzekła Edith i wyminąwszy Marka, delikatnie uściskała wychowanicę.

- Uścisk gigant - zapowiedziała Ally.

Udało jej się objąć wszystkie trzy ciotki naraz, co nawet Violet skwitowała chichotem. Potem tak samo uhonorowała Maggie, Kat i Camille. Cała szóstka kobiet sznureczkiem opuściła pokój. Camille zapewniła Marka na odchodnym, że skoro Ally nie śpi, to zaraz zostanie podana herbata.

Nagle Ally mocno chwyciła męża za rękę.

- Nic ci się nie stało? Nie postrzelili cię?

- Nie. Ty mnie uratowałaś.

- A ty mnie. - Uśmiechnęła się. - Jak to było? Co się stało z sir Angusem i sir Andrew? Gdzie znajduje się Grier?

- Thane odzyskał przytomność i jest dopieszczany na wszystkie sposoby w sąsiednim pokoju. Sir Andrew nie żyje.

- Jak to się stało?

- Spadł z kozła i skręcił sobie kark. Skinęła głową i znów chwyciła go za rękę.

- A Jeeter?

- Tylko go ogłuszyli. Pewnie potraktowali to jako środek doraźny, w każdym razie nic mu nie będzie. Jeszcze go zresztą nie widziałem. To zamieszanie zbudziło naszego sąsiada, okazało się, że ambasadora Szwecji. Wykazał przytomność umysłu, bo zanim odwiózł Jeetera do szpitala, zawiadomił o tym policję. Niedawno zatelefonował do mnie i powiedział, że wszystko jest na dobrej drodze. Naturalnie Jeeter będzie bardzo nieszczęśliwy, na pewno uważa, że nas zawiódł. Niełatwo będzie go przekonać, że sir Angus i sir Andrew tworzyli śmiertelnie niebezpieczną parę.

- A sir Angus?

- Zawisnie, jeśli przeżyje.

- Co z nim?

- Nie szukałem zemsty, ale... - Odchrząknął i wyjaśnił: - Kiedy odzyskał przytomność, próbował zaatakować jednego z policjantów. Ian był zmuszony go odciągnąć, ale wtedy rzucił się na Iana i inny policjant go postrzelił.

- Gdzie jest teraz?

- W szpitalu więziennym. Prawdopodobnie nie przeżyje.

Skinęła głową. Nie czuła żalu. Angus był szeryfem, przysiągł stać na straży prawa, a tymczasem sam odbierał życie innym.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił Mark.

Znowu skinęła głową. Potem uświadomiła sobie, że nie ma już na sobie podartej białej koszuli, lecz delikatną złocistą. Czy to na pewno jej? Nie pamiętała takiej.

- Lady Maggie - wyjaśnił krótko, zauważywszy jej zdziwienie.

- Mark, to naprawdę okropne, jeśli dobrze pojmuję, co się stało.

- Wygląda na to, że sir Andrew musiał mieć jakieś przykre wspomnienia z wojska.

- A Angus? - spytała.

- W okresie budowy imperium wielu żołnierzy nabrało przeświadczenia, że Korona ich zdradziła, wysyłając do walki z marnym wyposażeniem i uzbrojeniem. Chociaż sir Angus otrzymał tytuł szlachecki, pielęgnował w sobie zabójczą nienawiść. Wykorzystał więc urok osobisty, nawiązał przyjaźń z wieloma członkami elity i w ten sposób zyskał mocny fundament dla swej pozycji społecznej. Nie przestał jednak żywić nienawiści do monarchii, co było tym łatwiejsze, że w naszych czasach wielu ludzi ją podzielało. Często jest przecież przekonanie, że rząd powinien wprowadzić rozległe reformy, również częste pytanie, czy Wiktorja z rodziną nie są raczej kosztownym obciążeniem niż dyplomatycznym atutem. Sir Andrew od dawna pożądał swej kuzynki Elizabeth, wygodnie więc było mu zaprzyjaźnić się z jej mężem, dzielącym z nim nienawiść do monarchii. Jack dysponował dużymi pieniędzmi, a ponieważ Andrew miał potrzeby ponad swoje możliwości, musiał przecież grać w tenisa, jeść wykwintne lunche i rozkoszować się napitkami w klubie oraz zapełniać garderobę, więc od dawna dojrzewał do realizacji swojego pomysłu. Jeśli zaś chodzi o jego związek z sir Angusem, to prawdopodobnie pomógł mu uzyskać stanowisko szeryfa, a ponieważ wyczuł w nim człowieka łatwo ulegającego wpływom, przekabacił go na stronę antymonarchistów. Angus to człowiek, który chce mieć jak najwięcej władzy, i najprawdopodobniej uwierzył, że będzie ją miał, jeśli zdoła zaprowadzić nowy porządek na świecie. Obaj popełniali morderstwa z dwóch powodów: dla zaspokojenia potrzeb finansowych i dla

ureczywistnienia celów politycznych. Gdy Andrew spłoszył się, że Elizabeth go wyda, doraźna potrzeba okazała się silniejsza od uczuć. Zabijając kobiety, pozbyli się współpracowników, które mogły złożyć przeciwko nim zeznania albo wydać ich przez zwykłą nieostrożność.

- Biedny lord Wittburg omal nie stracił życia przez ich zbrodnie. Nie rozumiem jednak tego, co zaszło w ostatniej chwili.

- Wygląda na to, że sir Angusa nie było dziś w osadzie. Pojechał do Londynu i odwiedził redakcję pod pretekstem zakupu ogłoszenia, popularyzującego jakieś lokalne święto. Wcześniej śledził cię, kiedy szłaś na pocztę, i dzięki temu poznał twoją tajną tożsamość. A dziś po prostu sprzyjało mu szczęście. Spotkał się w klubie z sir Andrew i zaczęli snuć plany.

- Rozumiem.

- Mogę tylko się cieszyć, że nie zabili cię od razu w Londynie.

- Wydawało im się, że jeśli zamordują mnie i Thane'a w domku, to uwierzysz, że Thane zabił mnie z zazdrości, a potem popełnił samobójstwo, nie mogąc znieść wyrzutów sumienia. - Zawahała się. - Poza tym sir Angus wiedział o moim pochodzeniu. Chciałby mnie zabić pewnie nawet wtedy, gdybym nie pisała jako A. Anonim. Również ty miałaś zginąć. Podejrzewam, że Thane jako fanatyczny obrońca królowej miał pozabijać wszystkich dookoła. - Ally zadrzała na tę myśl.

Mark mocno uściskał jej dłoń.

- Nie mieli szans. Zrozumiałem, co się stało, w chwili, gdy znaleźliśmy woźnicę Thane'a. Niestety, biedak dołączył do ofiar tej tragedii.

- Grałam na zwłokę.

- Słucham?

Ani na chwilę nie puściła jego ręki.

- Tego wieczoru, kiedy Eleanor miała swoją wielką scenę hysterii i rzuciła na mnie klątwę, Kat dała mi w prezencie broszkę w kształcie skarabeusza. Dźgnęłam nią Angusa w oko.

- Długo się zastanawialiśmy, co mu się stało. Błyskotliwa z ciebie dziewczyna - pochwalił żonę Mark.

- Czasami. - Pociągnęła go ku sobie. - A ty jesteś bardzo błyskotliwym chłopakiem - zażartowała.

Pochylił się i znów ją pocałował. Starał się być delikatny, wciąż martwił się skutkami, jakie wywarły na niej napaść i oszołomienie eterem. Ally była zdecydowana postawić na swoim, więc po prostu wziął ją w ramiona i położył się obok.

Królowa chciała poznać Ally i Thane'a, dziennikarza, którego artykuł poświęcony ostatnim morderstwom nadał sprawie właściwą perspektywę i uspokoił nastroje w kraju. Mark zaprowadził ich na audiencję w sali przyjęć, przylegającej do prywatnych komnat monarchini.

Nie ulegało wątpliwości, że królowa lubi Marka. On z kolei czarował elegancją. Wiktoria przyjrzała się Ally z uwagą i sympatią, choć i z wielkim smutkiem. Tak przynajmniej odebrała to Ally. Thane był bliski ekstazy, zwłaszcza gdy Wiktoria zaprosiła ich na herbatę.

- I co teraz, Mark? - spytała imperatorskim tonem. - Czy potrafisz się ustatkować i być szczęśliwym nowożeńcem?

- Tak, Wasza Wysokość - odrzekł Mark, a Ally pomyślała, że w tej rozmowie ważne jest również to, co nie zostało powiedziane głośno. - Tak sądzę. Moja żona chciałaby, zdaje się, przeżyć przygodę w Egipcie. Prawdopodobnie pojedziemy tam z przyszłoroczną ekspedycją Stirlingów i MacDonaldów. Nie wykluczam, że również lord Jamie i lady Maggie zechcą się przyłączyć.

- To znakomicie. - Królowa była wyraźnie ukontentowana. Westchnęła głęboko. - Będę wam towarzyszyć myślami. A potem, Mark?

- Potem, Wasza Wysokość, wrócę do Anglii i będę służył Koronie najlepiej, jak umiem.

- Jesteś teraz żonaty - przypomniała mu.

- Tak, ale mam absolutnie niezwykłą żonę. Wierzę, że będę mógł dzielić z nią wszystkie moje myśli, marzenia, pragnienia i przygody. - Uśmiechnął się do Ally, która ujęła jego rękę i uścisnęła.

- To wielki dar losu - powiedziała królowa. - Jestem przekonana, że pan, panie Grier, będzie kontynuował karierę jako dziennikarz.

Thane skinął głową i trochę się zarumienił.

Wkrótce dopili herbatę i audyencja się skończyła. Wszyscy troje wstali, a dama dworu królowej wyprowadziła ich na zewnątrz.

- Oto pałac Buckingham - powiedział Thane, gdy wychodzili przez bramę. - I pomyśleć, że byłem tu gościem.

- Zasluguje pan na to, żeby zabłysnąć przed królową - stwierdziła z uśmiechem Ally.

- Zabłysnąć i wrócić do codziennej pracy - zauważył kwaśno.

- Nie inaczej - potwierdził Mark i popatrzył na Ally, po czym podał rękę dziennikarzowi. - My w każdym razie na tydzień wyjeżdżamy.

- Dokąd jedziecie?

- Na północ. Ally musi obejrzeć zamek naszego rodu.

- Szczęśliwej podróży. I nie zapomnijcie o mnie - zastrzegł się Thane.

- Nigdy - obiecała mu Ally.

Rozstali się. Thane obejrzał się za nimi. Szli ręka w rękę, co chwila wymieniając uśmiechy.

- Żyli długo i szczęśliwie - powiedział pod nosem, po czym z uśmiechem na twarzy ruszył ulicą w stronę redakcji.

